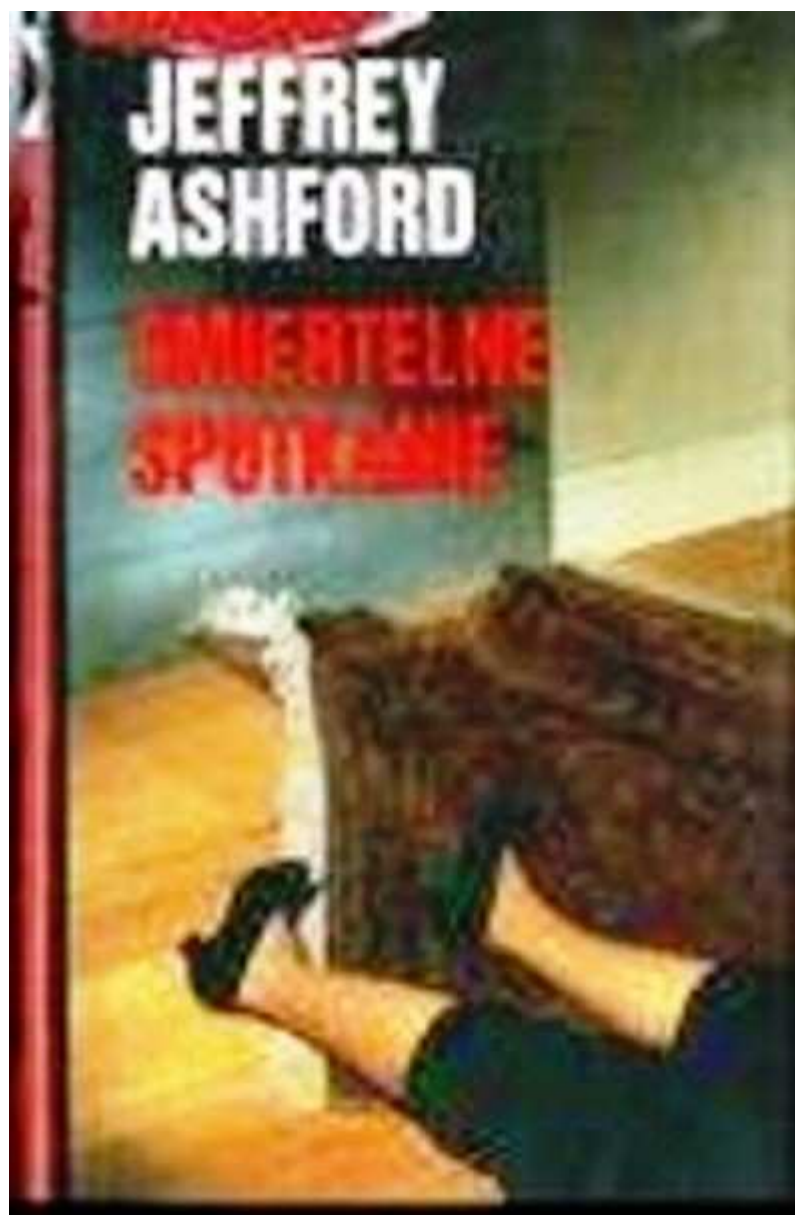


**JEFFREY
ASHFORD**

**UNNUTZELNE
SPOTKASNE**



JEFFREY ASHFORD

Śmiertelne spotkanie

TŁUMACZYŁA
STEFANIA SZCZURKOWSKA



Agencja Praw Autorskich
i Wydawnictwo INTERART
Warszawa 1993

Jeffrey Ashford — Śmiertelne spotkanie
Tytuł oryginału — Deadly reunion

Redaktor merytoryczny: Ewa Wierzchowska
Redaktor techniczny: Zygmunt Sulek
Korekta: Wanda Korolczuk

© Copyright by Jeffrey Ashford, 1991

Copyright for the Polish edition by Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo
INTERART, Warszawa 1993

Copyright for the Polish translation by Stefania Szczurkowska

Agencja Praw Autorskich i Wydawnictwo
INTERART, 00-403 Warszawa, ul. Solec 30A/31
Wydanie I.

Ark. wyd. 11; ark. druk. 12
Skład: Danuta Kaśka, Warszawa
Druk i oprawa: Drukarnia Naukowo-Techniczna, Warszawa

ROZDZIAŁ 1

— Na Boga! To przecież pocziwy, stary Aggie! — ryk, który dotarł do uszu Gary'ego Westona, przerwał jego rozmyślenia, niepasujące wcale do olśniewającego blasku słońca.

Kiedy Gary się odwrócił, znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną, którego gigantycznie bujna, ruda broda była czymś najbardziej rzucającym się w oczy. To „Aggie” towarzyszyło Westonowi w latach szkolnych, wyęźzał więc wszystkie siły, żeby skojarzyć tego człowieka z którymś z chłopaków z dawnych czasów. Kręcone włosy, jeszcze bardziej rude niż broda, niskie czoło, intensywnie niebieskie oczy, orli nos, ukryte gdzieś w głębi zarostu zmysłowe usta. Mocna sylwetka z wystającym brzuchem. Zaprzeczenie schludnego wyglądu — szorty i podkoszulek pomięte, nie mówiąc o tym, że mogłyby być czystsze. Gary zdołał sobie przypomnieć aż trzech rudzielców, w tym jednego, który nie stosował się do żadnych reguł.

— Jason? — zapytał. — A może Windy? — dodał po chwili.

— Zabrało ci to cholernie dużo czasu! — Farley wysunął wolne krzesło i usiadł, nie zważając na to, że znalazł się poza zasięgiem chroniącego przed słońcem, umocowanego pośrodku stolika parasolla. — A może miałeś nadzieję, że spłynąłbym stąd, gdybyś udawał, że nie możesz sobie mnie przypomnieć?

— Przywołanie na pamięć wszystkich brodaczy musiało trochę potrwać.

— Nie przestałeś być dyplomata — Farley rozglądał się za kelnerem. Kiedy spostrzegł jednego, zmierzającego w kierunku stolików od strony plaży, zawołał do niego po hiszpańsku. Kelner obsłużył

właśnie kogoś w sąsiedztwie i przyspieszył kroku. — Co pijesz? — Farley spytał Westona.

— Gin z tonikiem. Ale nie sądzę, żebym chciał jeszcze. Dzięki.

— Mięczak — powiedział w stronę odchodzącego kelnera. — Wiesz, co ci powiem? Wciąż pamiętam, jak patrzyłeś na mnie ze wstrętem i politowaniem, kiedy powiedziałem ci, że mnie wylali. Zastanawiałeś się tylko, jak szybko będziesz miał z tym spokój.

— Nic z tych rzeczy — odparł Weston z rozbawieniem. — O ile pamiętam, zastanawiałem się, w jaki sposób można by ci pomóc.

— A czy mówiłem, że potrzebuję pomocy?

— Nie, ale wyłącznie dlatego, że uważałyś to za przejaw słabości.

— Nadal nic nie rozumiesz. Nie masz najmniejszego pojęcia, dlaczego zaprowadziłem Madge do gabinetu jej ojca zamiast do siłowni.

— Masz rację, że nie wiem dlaczego. To było kompletne szaleństwo, z którego mogły wynikać same kłopoty.

— Zrobiłem tak, ponieważ dwa dni wcześniej, w holu, zanudzał nas na śmierć tymi swoimi przestrogiami na temat zgubnych skutków rozkoszy. Co ten świętoszkowaty, wyschnięty hipokryta mógł wiedzieć o uciechach namiętności — Farley parsknął śmiechem. — Nie nakryłby nas, gdyby jego córka nie bawiła się tak dobrze i nie robiła tyle hałasu. Często się zastanawiam, czy ona wytłumaczyła mu później, ile stracił.

— Ponieważ była jego córką, cała sprawa musiała wyglądać trochę inaczej, niż myślisz.

— Jej zajęcie w ciążę stary mógłby odebrać wyłącznie jako spełnienie nudnego obowiązku.

Kelner wrócił z dwiema szklaneczkami i postawił je na stole. Farley powiedział coś, co wywołało chwilowy uśmiech na jego zmęczonej, spoconej twarzy, kiedy nadziewał świstek papieru na szpikulec podstawki. Potem szybko odszedł. Farley przysunął ją do siebie i przeczytał rachunek.

— Cholerni złodzieje — powiedział. — W cenie tych dwóch drinków można kupić cały litr całkiem przyzwoitego ginu. Nic dziwnego, że barmani jeżdżą porsche.

Na plaży jakaś młoda, zgrabna kobieta, mająca na sobie tylko dół bikini, nagle wstała. Zwinęła matę, zabrała ręcznik i torebkę. Szła chodnikiem. Potem przeszła na drugą stronę jezdni, do hotelu. Obserwujący ją Farley, odwrócił się z powrotem do stolika i pociągnął łyk.

— Jak tam twój życiorys? — spytał. — Żonaty, dwoje dzieci, dom na przedmieściu, własność hipoteczna, i tylko jedno pragnienie — żyć tak długo, żeby zdążyć pobierać emeryturę.

— Cóż za zwariowane pomysły!

— Dodaj więc do tego teściową, cierpiącą na chorobę Alzheimera, i będziesz miał rację.

— Owszem, mam teściową, ale daleko jej jeszcze do zgrzybiałości. — Mógłby co najwyżej dodać, że jest złośliwa.

— Makler giełdowy, Lloyd, wicedyrektor Nat West?

— Public Relations.

— Nie myślę, żebyś był aż takim oszustem.

— Chyba masz rację. Właśnie zostałem zwolniony.

— Jesteś bezrobotny?

— Określenie „niepracujący” działa na mnie lepiej.

— A gdzie to pani małżonka? W hotelu? Odpoczywa, także wolna od zajęć?

— Została w domu.

— Dostałeś pozwolenie na pozamałżeńską dawkę słońca, morza i seksu?

— W ostatniej chwili okazało się, że nie może jechać.

— Zawsze był z ciebie niezły szczęściarz. — Fortuna kołem się toczy, a szczęściu trzeba pomagać.

Farley zaczął się śmiać.

— Mam nadzieję, że umieścisz dzieciaki w St Brede, gdzie uczą się różnych szkolnych piosenek, oczywiście w odpowiednio ocenzurowanej wersji.

— Nie mamy dzieci.

— Czyżby ona wolała czytać książkę?

— Prawdopodobnie któreś z nas jest bezpłodne — odparł Weston, ukrywając niesmak z powodu tak bardzo osobistego pytania.

— Pamiętasz tego obleśnego Moczymordę?

Wszyscy mieli jakieś przezwiska, czasami tak okrutne, że życie tych, którym je nadano, stawało się parszywe. Weston przeniósł się

myślami w przeszłość, odnajdując w niej w końcu postać niskiego, nerwowego i wiecznie tęskniącego za domem chłopaka, który bardziej bał się ostentacyjnej bufonady Farleya aniżeli sporadycznych, sadystycznych uwag znęcającego się nad klasą belfra.

— Już go kojarzę — zareagował Weston.

— Parę lat temu byłem w Anglii i wpadłem na niego na Mincing Lane. Ten mały, głupi drań próbował udawać kompletnie zdezorientowanego na mój widok. — Farley opróżnił szklaneczkę, rozejrzał się naokoło i zauważył tego samego kelnera, który obsługiwał go wcześniej. Ten na dany ręką znak, posłuszny wezwaniu, zaczął przeciskać się między stolikami, nie zwracając uwagi na podobne skinienie kogoś siedzącego bliżej.

— Dla mnie nic więcej — oznajmił Weston.

Farley powiedział coś szybko do kelnera.

— Kiedy po raz ostatni zdarzyło ci się być na cudownej bani?

— Jakiś czas temu i nie było w tym nic fantastycznego.

— Jak zawsze nieszczęśliwy — Farley zauważył z pewną satysfakcją w głosie. — Wobec tego jak spędzasz ten swój nędzny czas w Restinie?

— Robiąc to, co przychodzi samo. Pływam, opalam się, za dużo jadam, piję z umiarem i sypiam snem sprawiedliwych.

— Żadnych kobiet?

— Można się bez nich obejść.

— Można żyć na kozim mleku i bananach, ale kto by tak chciał, do diaska. Byłeś już w El Diablo?

— Chyba nie. Cóż to takiego i gdzie to jest?

— Klub nocny i występy, jakich nie uświadczysz w Surbiton. Zabiorę cię tam. A może twoja konwencjonalna dusza wzdryga się na samą myśl o czymś niekonwencjonalnym?

— Moją dewizą jest tolerancja — to intrygujące, że trzeba było odeprzeć szyderstwo Farleya, zupełnie jak w czasach szkolnych.

Kelner wrócił z dwiema szklaneczkami, zabrał pustą Farleya i zostawił następnego rachunek.

— Nadal żeglujesz? — zapytał Jason, popijając.

— Ostatnio nie. Jakoś się nie składało. — W szkole obaj byli zapalonymi żeglarzami i stanowili dobraną załogę. Farley był żywiołowy, Weston — ostrożny. Połączenie obu tych cech okazywało się skuteczne, kiedy pływali po jeziorze otoczonym wzgórzami, pomiędzy których wiatr wiał jak z wentylatora, a potem stawał się nierówny i kapryśny. Dwa lata pod rząd wygrywali regaty międzyszkolne. — A ty? Pływasz?

— Trochę, od czasu do czasu. — Farley naumyślnie odpowiedział wymijająco i opróżnił szklaneczkę. — Gdzie się zatrzymałeś?

— W Bahia Azul.

— Mówisz po hiszpańsku jak Anglik, który próbuje powiedzieć coś po szwedzku. Będę z tobą w kontakcie i wybierzemy się do El Diabla. Przynajmniej będziesz miał o czym opowiadać żonie — Farley wstał. — Załatwię z kelnerem, więc nie daj się oszukać — ściągnął świstki papieru ze szpikulca. — Ci wszyscy andaluzyjscy Cyganie wykantują każdego, kto nie patrzy im na ręce.

— Za jedną kolejkę płacę.

— Pamiętaj, że jesteś bezrobotny.

Uprzejmy odruch, który wypadł niezręcznie, czy też lekceważący gest, który świadczy o braku ogłady? Weston nie mógł się zdecydować. Nie potrafił też powiedzieć, czy to nieoczekiwane spotkanie było dla niego przyjemne.

Przeszedł przez hotelowy pokój, usiadł na łóżku po lewej stronie, podniósł słuchawkę i poprosił recepcjonistkę o połączenie z domowym numerem telefonu.

— Halo, jak się masz, kochanie?

Stephanie nie sprawiała wrażenia zadowolonej, że słyszy jego głos. Odpowiedziała, że ma kłopoty. Matka nie czuła się zbyt dobrze, zadzwoniła do przychodni i powiedziała rejestratorce, żeby przekazała lekarzowi zgłoszenie wizyty domowej. Tamta załatwiła ją odmownie, ponieważ nie wiedząc, co jej dolega, nie mogła stwierdzić, czy to nagły przypadek. Matka przywołała tę bezczelną dziewczynę do porządku. Lekarz powiedział jej, że nie będzie tracił czasu na wizytę domową, skoro nie jest obłożnie chora, a z jej głosu nie wynikało, żeby była...

Gary w pełni podzielał stanowisko doktora, ale nie zamierzał dolewać oliwy do ognia.

— Obawiam się, że lekarze niechętnie udzielają porad domowych...

Ona przerwała mu, żeby szczegółowo wyrazić opinię na temat lekarzy, którzy mają pacjentów absolutnie za nic i nie potrafią odróżnić ziarna od plewy. Nie spytała go ani o samopoczucie, ani o to, czy jest zadowolony z wakacji. Nie zareagowała, kiedy powiedział, może trochę dla przyzwoitości, że za nią tęskni. Potem się pożegnał.

Alkohole w barze hotelowym były drogie. Kupił więc butelkę ginu i trzy toniki w pobliskim supermarkecie oraz paczkowany lód na stacji benzynowej. Nalał sobie szczodrego drinka, wyszedł na taras i usiadł w trzcinowym fotelu.

Sząc gin, przyznał w duchu, że spotkanie z Farleyem zakłóciło mu pewien porządek. Mówiąc ściśle wprowadziło zamęt w myślach. Czyżby jego życie stało się aż tak bezbarwne, jak sugerował Farley? Czy trzeba rzucać życiu wyzwania, żeby przeżyć je w pełni? Czy konformizm musi koniecznie wiązać się z tym, że wszystko jest bez znaczenia?

Wpatrywał się w morze zupełnie czarne z wyjątkiem miejsca, w którym srebrzyła się cienka smuga księżycowej poświaty. Powoli przesunęła się czerwone światło późno powracającego jachtu, który zmierzał do portowej kei. Gary obiecywał sobie, że po skończeniu szkoły nie zaprzestanie żeglować. Kiedy pozwalał sobie na odrobinę marzeń, śnił, że jest w załodze zwyczajnego dwunastometrowca w Pucharze Ameryki... Marzenia na jawie nie stanowią wyłącznie przywileju młodości. Podczas wieczoru kawalerskiego, będąc w przyjemnym nastroju, kiedy to nie jest się już zupełnie trzeźwym, a jeszcze nie jest się pijanym, sam siebie zapewniał, że już od jutra Stephanie nie będzie potrzebny związek uczuciowy z matką... Cynicy mawiają, że małżeństwo jest loterią, z której wycofano wygrany los. Jego małżeństwo wkrótce stało się pełne goryczy, ponieważ Gary usiłował przekonać Stephanie, że jej związek z matką nie może być ważniejszy od układu z nim...

Kiedy skończył drinka, wszedł do sypialni i nalał sobie jeszcze jednego. Przynajmniej to spodobałoby się Farleyowi.

ROZDZIAŁ 2

Trzydzieści pięć lat temu Restina była małym portem rybackim na Costa del Sol, wciąż żyjącym przeszłością. Do tej trudno dostępnej miejscowości prowadziła tylko jedna droga, od czasu do czasu wymywana, gdy ulewne deszcze padające w górach sprawiały, że przepełnione wodą potoki występowały z brzegów. Jedyne przybyszami, jacy odwiedzali Restinę, byli młodzi, zaradkujący mężczyźni i kobiety o zmierzwionych włosach. Z załadowanym na plecy bagażem, z niewielką ilością pieniędzy lub w ogóle bez grosza, którzy poszukiwali sensu życia i wychwalali zalety ubóstwa. Wieśniacy, którzy najlepiej wiedzieli, czym jest bieda, uważali ich za stukniętych i wykazywali wyrozumiałość.

Kiedyś jakiś zwolennik postępu zapuścił się w głąb tej jedynej drogi land-roverem. Wspiął się nim na górę, wysiadł i zaczął się przyglądać prymitywnym domom z surowego kamienia — w tym z zielonymi żaluzjami mieszkała usługowa wdowa. Patrzył na jeden jedyny bar i jeden jedyny sklep. Obserwował morze błękitne jak na pocztówce i sponiewierane łodzie rybackie, wyciągnięte na dziewiczą, piaszczystą plażę. Zamiast tego wszystkiego zobaczył hotele, apartamenty, restauracje, kawiarnie, sklepy, lokale, w których sprzedaje się lody, dyskoteki...

Trzydzieści pięć lat później Restina zmieniła się w pełen rozmachu letni kurort znany setkom tysięcy ludzi. Zwolennik postępu został multimilionerem, a wszystkie zarobione na czarno pieniądze ulokował bezpiecznie za granicą. Oszukiwani, zdeorientowani, wyzuci z własnych wartości wieśniacy stali się niechcianymi azylantami, którzy nie potrafili zrozumieć, dlaczego ich własne dzieci, zamiast darzyć rodziców szacunkiem, wyśmiewają się z nich, że nie

umieją czytać i pisać. Nawet usłużna wdowa, albo raczej jej następczyni, zdała sobie sprawę, że było kiedyś kilku takich głupców, którzy płacili jej po parę peset, podczas gdy młodzi i piękni turyści nie regulowali rachunków.

Jose Muñoz wyglądał przez okno w barze, obserwując Miguela, który wsiadł do kabrioletu marki Escort i odjechał. Jose wypił do dna i odstawił szklaneczkę na kontuar. Barman, gburowaty Hiszpan z prowincji Galicja, sięgnął po butelkę brandy, gotów do nalewania.

— Nie chcę więcej — zaprotestował Muñoz.

— Sto trzydzieści — barman mówił tylko tyle, ile musiał.

— Sto trzydzieści za dwa koniaki? Czyżbyś zaczął brać od nas jak od turystów, ty parszywy złodzieju?

— Płać — barman nie przejął się obelgą. Otworzył szufladę i wyciągnął kilka różnych, niedużych plików papieru pospianych spinaczami. Znalazł ten, którego potrzebował. — Tysiąc piętnaście. W soboty — widniał napis na pierwszej kartce.

— Dobra, dobra. Zapłacę ci jak jasna cholera w tę twoją sobotę, że aż cię szlag trafi.

— Nie rób tego — odezwał się czyjś głos z sali. — Daj nam wszystkim się bawić.

Muñoz wyszedł i zaczął iść chodnikiem naprzód. Mijał wystawy sklepów, w których sprzedawano tandetne pamiątki dla turystów, przechodził obok kawiarni, barów, kilku restauracji. Podzwaniał monetami w prawej kieszeni spodni. Miguel pojechał do Rondy odwiedzić swoją umierającą ciotkę, starą pannę. Wybrał się w tę podróż nie z miłości, ale dlatego, że ta stara krowa była właścicielką kilku domów wartych wiele milionów peset. Mógł teraz bez przeszkód odszukać blond Norweżkę, która przy każdej okazji demonstrowała rozkoszne ciało, wystarczająco kształtne, aby przywrócić do życia siedemdziesięciolatka.

Tymczasem Miguel Bartret wcale nie pojechał do Rondy, tylko do pobliskiej Oredy. Jak wieść niesie, zdrowie ciotki poprawiło się. Bartret wrócił więc do Restiny piętnaście po jedenastej, zostawił samochód na jednym z parkingów nad samym morzem i zaczął iść brukowaną uliczką, biegnącą wzdłuż plaży na odległość pół kilometra.

Kiedy był w połowie drogi, zszedł na piasek w poszukiwaniu Marthe wśród opalającego się tłumu. Jednak jej tam nie znalazł. Zagadał do właściciela wypożyczalni rowerów, który powiedział mu, nie bez złośliwej wesołości, że owszem Marthe była na plaży wcześniej, a potem sobie poszła w towarzystwie mężczyzny.

— Kto to był? — Bartret z wściekłością zażądał odpowiedzi.

— Jose. Nie wiedziałeś?

Miguel zaklął rozjuszony. Jose, jego najlepszy przyjaciel. Cygański bękart, który nie spuszczał wzroku z Marthe jak pies grzejący się w pogoni za suką.

Bartret pojechał do domu po największy nóż myśliwski, jaki miał. Powiedział matce, kiedy zobaczyła go z tym narzędziem w ręku, że szuka jednego takiego ścierwa i jak je znajdzie, to obetnie mu jaja. Kobieta chciała tłumaczyć synowi, żeby nie robił takich niebezpiecznych rzeczy, ale było w niej tyle dumy, że nie mogła wypowiedzieć tak tchórzliwych słów. Jeżeli mężczyznę pozbawia się honoru, odbiera mu się rację istnienia.

Był we wszystkich możliwych miejscach, w których mógłby spotkać Marthe z Jose. Na próżno. Nagle przypomniał sobie, że ona często prosiła go, żeby ją zawiózł jeszcze do Puig Leone, gdzie ze szczytu rozciągał się wspaniały widok. Nigdy jej tam nie zabrał, ponieważ uważał to za bezsensowną stratę czasu. Ale ten kutas Jose mógł ulec jej zachciance, w zamian za zaskarbione łaski.

Główną szosą nadbrzeżną dało się jechać szybko i brawurowo. Tymczasem kiedy skręcił na wąską i prostą jak strzała drogę, prowadził jeszcze szybciej i bardziej po wariacku. Gdy wjechał na kręty, górski odcinek, nie przestawał ryzykować.

Teren wokół położonego jakieś dwieście metrów poniżej szczytu Puig Leone punktu widokowego został wyrównany i poszerzony, aby mógł pomieścić kilka autokarów turystycznych i kilkanaście samochodów osobowych. Teraz nie było tam żadnych autobusów, stały tylko trzy auta, a wśród nich zdezelowana, zielona ibiza, należąca do Jose. Widać było jeszcze jakąś parę i grupkę czteroosobową. Ale to nie byli ci, których śledził. Ten perfidny łotr zaprowadził ją

gdzieś, gdzie będzie mógł przypuścić atak na jej niewinność. Jedyna droga, którą mogli pójść, nie będąc wytrawnymi wspinaczami, prowadziła grzbietem górskim w lewo w kierunku lasu piniowego, który nie wiadomo dlaczego tam wyrósł. Miejsce to stanowiło wspaniałe ustronie. Miguel przeszedł za balustradę i zaczął się wspinać na szczyt góry.

Zobaczył ich pod drzewami w cieniu piętrzących się skał. Jose najwyraźniej wyglądał na bardziej zmieszanego niż Marthe. Zupełnie bez sensu chwycił koszulę i zasłonił się nią. Marthe tylko patrzyła, a na jej pięknych ustach malował się spokojny uśmiech. Miguel wyciągnął nóż i rzucając dzikie groźby, pędem ruszył naprzód. Nagle prawa noga wpadła mu w szczelinę i runął na ziemię. Walnął głową o skałę i stracił przytomność.

Farley wszedł do baru Espanol.

— Szukam Miguela Bartreta — powiedział do gburą z Galicji. — Zjrzałem do niego do domu, ale go nie zastałem. Matki też nie było. Masz jakiś pomysł, gdzie mogę go znaleźć?

Gdyby inny cudzoziemiec przyszedł do baru i pytał o Bartreta, barman albo wcale by nie odpowiedział, albo udał, że go w ogóle nie zna. Jednak błyskotliwość Farleya i przyjazny sposób bycia sprawiły, że zdołał wydobyć odpowiedź nawet od człowieka z Galicji.

— Ona się nim opiekuje w szpitalu — usłyszał po chwili.

— Co się stało?

— Ma pękniętą czaszkę — dobiegł głos z sali.

— Co za cholerny pech.

— Co za cholerne szczęście dla Jose — rozległ się śmiech.

Farley zaproponował wszystkim drinka. Kiedy go podano, wyciągnął paczkę krótkich cygar i zastanawiał się, co też naprawdę mogło się przytrafić poczciwemu Miguelowi. Tamci wprawdzie mu powiedzieli, nawet barman dorzucił swój grubiański komentarz.

Farley wyszedł z baru i podążył wzdłuż drewnianego budynku, w którym mieściły się kabiny telefoniczne dla turystów, czynne tylko w sezonie. Sprawdził numer telefonu miejscowego szpitala i poprosił urzędującą za kontuarem kobietę o połączenie. Nie minęła

nawet minuta, a już dano znak, żeby wszedł do kabiny.

W Hiszpanii należy do zwyczaju, że odmawia się wszelkich informacji, nawet jeżeli ktoś zwraca się do osoby obowiązanej do ich udzielania z tytułu wykonywanego zawodu. Farley, wykorzystując cały swój osobisty wdzięk, zdołał namówić dziewczynę w szpitalu, z którą właśnie rozmawiał, żeby dowiedziała się możliwie wszystkiego o stanie zdrowia Miguela Bartreta.

Powiedziała mu, że pacjent doznał pęknięcia czaszki i chociaż nic nie wskazuje na to, aby cierpiał na jakiś uraz mózgu, upłynie kilka dni, zanim lekarze to potwierdzą i będą mogli go wypisać.

Farley zapłacił za rozmowę, wyszedł z budynku i w pobliskim kiosku kupił sobie lody pistacjowe. Jedząc je, obserwował łodzie przycumowane w zachodniej odnodze przystani i z hiszpańskim polotem i angielską szorstkością po cichu przeklinał Miguela. Do wypłynięcia zostały tylko dwa dni, a tymczasem nie ma załogi. — Co tu robić, do diabła? Popłynąć samemu? To byłoby możliwe, chociaż ryzykowne. Mogłoby się wydawać, że traktował życie bez troski, jednak nigdy nie był szaleńcem na morzu. Musi znaleźć innego członka załogi. Wprawdzie kilkanaście łodzi wypływało stąd na połów i każdy rybak by się nadawał, żeby go zamustrować, ale jak tu wiedzieć na pewno, że nie będzie miał długiego języka. Wiadomo, że Miguel musi trzymać gębę na kłódkę. Nad żadnym innym rybakim Farley nie miał takiej władzy...

Obserwował, jak kecz wychodzi na silniku rufą z miejsca postoju i kieruje się na wprost wejścia do portu. Młoda, długonoga dziewczyna przygotowywała się już do wciągnięcia spinakera. Farley krytycznie oceniał każdy jej ruch, ponieważ był tradycjonalistą i uważał, że jachty i kobiety wykluczają się. A jednak jakoś widok dziewczyny podsunął mu pewną myśl. Zapalił krótkie cygaro, analizując swój pomysł, który na pierwszy rzut oka wydał mu się absurdalny. Z reguły uczciwy człowiek świadomie nie zaangażuje się w nieczysty interes. Jeżeli zostanie wciągnięty podstępem, przy najbliższej sposobności powiadomi o wszystkim odpowiednie władze. Jednak jeżeli pojęcie uczciwości powinno dla człowieka uczciwego

być czymś niezmiennym, jego reakcja na nieuczciwość — nie musi. Bywa tak wtedy, gdy pod wpływem przeszłości lojalność okazuje się silniejsza niż uczciwość...

W St Brede, podobnie jak w innych szkołach, każdy nowo przyjęty chłopak musiał nauczyć się i przestrzegać obowiązujących, niepisanych praw. Jedno z nich miało najbardziej doniosłe znaczenie i brzmiało: nie wolno zdradzić kolegi. Nawet jeżeli nad którymś niemiłosiernie się znęcano, żaden z przełożonych nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Obowiązywała absolutna lojalność. Gary Weston należał do naiwnych idealistów, którzy jeszcze długo przestrzegać będą zasad lojalności, chociaż życie powinno ich nauczyć, że opłaca się je stosować wyłącznie wobec samego siebie.

ROZDZIAŁ 3

Weston siedział na tarasie hotelu, kiedy zadzwonił telefon. Wtedy nagle sobie przypomniał, że powinien był przecież zatelefonować do Stephanie. Musztarda po obiedzie. Odstawił szklaneczkę, wbiegł do pokoju, usiadł na łóżku i podniósł słuchawkę.

— Halo, kochanie. Usiłowałem się do ciebie dodzwonić, ale nie mogłem uzyskać połączenia.

— Śmiertelnie mnie rozczarowałaś — słychać było piskliwy, męski głos.

— Kto... kto mówi?

Zamiast odpowiedzieć, ten ktoś parsknął ochryplym, ryczącym śmiechem.

— To ty, Jason?... Przepraszam za przywitanie, ale myślałem, że dzwoni Stephanie.

— Tym razem ci wierzę. Schodź na dół i jedziemy coś zjeść — odłożył słuchawkę.

Weston wrócił na taras, podniósł szklaneczkę i dokończył drinka. To był cały Farley. Nie zwracał sobie głowy pytaniem, czy on w ogóle ma ochotę wychodzić na kolację.

Farley, w sandałach, ubrany w jaskrawą kolorową koszulę i szare, lniane spodnie za obcisłe w pasie gawędził z uśmiechniętą recepcjonistką. Rzucił ostatnią uwagę, która wywołała w dziewczynie głośny śmiech, i ruszył przez środek foyer.

— Zaryzykujemy Casa Pepe. — Zdezelowane renault 18 kombi stało pod samym hotelem, zaparkowane na wyraźnie namalowanej żółtej linii.

— Nie prezentuje się najlepiej, ale chodzi — Farley poklepał auto po dachu, zupełnie jak gdyby to był zad ulubionego konia. — Tutaj nie ma sensu jeździć czymś przyzwoitym. Mechanicy nie odróżniają świecy od wału korbowego, a na drogach wszędzie pełno

poobijanych aut, jakimi można się przejechać w wesołym miasteczku.

Farley zjechał z chodnika wprost przed nadjeżdżającą taksówkę. Chyba on jednak przestrzega miejscowych zasad, pomyślał Weston, przygotowany już na zderzenie.

Jechali drogą nadbrzeżną aż do strefy lasu piniowego, wyznaczającego zachodni kraniec Restiny. Potem skręcili w głąb łądu.

— Nigdy nie masz gwarancji, jakie ci dadzą żarcie w tych miejscowych knajpach — stwierdził Farley. — Casa Pepe bywa na ogół w porządku. Przynajmniej wybór nie ogranicza się do jajek z cienko struganymi frytkami i paelli w stylu angielskim. W Restinie nie dostaniesz nic poza tym.

— W hotelu jedzenie jest całkiem znośne — zauważył Weston.

— Nigdy nie narzekaj, nigdy się nie tłumacz i nigdy nie przyłóż nauczycielowi publicznie. Tak brzmiała nieoficjalna dewiza korpusu kadetów w St Brede (maksyma oficjalna — ad unum omnes). Tę pierwszą na swój sposób rozumieli sprośni koledzy.

— Pamiętasz Świntucha? — Farley ciągnął swoje.

— Świntuch? Armitage? — Weston cofnął się myślami. — Tamtego dnia, kiedy wychowawca zdrowo go opieprzył, Świntuch powiedział mu, dokąd ma pójść i co zrobić, jak już się tam znajdzie.

Farley nie przestawał wspominać. Weston wielu zdarzeń już nie pamiętał, a przypomnienie ich kosztowało go sporo wysiłku. Dziwiły go te nostalgiczne nastroje Farleya — nie leżały w jego charakterze.

Ujechali jeszcze kilka kilometrów i zawrócili w kierunku wybrzeża. Restauracja położona była w połowie porośniętego piniami wzgórza, skąd rozciągał się widok na zatokę. Większość stolików ustawionych na patio pod gołym niebem była zajęta. Szef kelnerów poinformował ich łamaną angielszczyzną, że zarezerwowane są również pozostałe stoliki i będą musieli jeść wewnątrz. Farley użył całego swojego wdzięku i kelner uznał, że prawdopodobnie jeden stolik będzie wolny.

Usiedli. Kelnerka podała każdemu kartę wydrukowaną po hiszpańsku, angielsku, niemiecku i francusku. Ktoś inny postawił przed nimi miseczkę oliwek i talerz grubo pokrojonego pieczywa. Przyniesiono też

kartę win. Farley, nie zwracając sobie głowy żadnymi uzgodnieniami, zamówił butelkę Codorniu Extra Brat i Torres Sangre de Toro.

— Oliwki przygotowują na miejscu, dlatego mają one specyficzny smak — powiedział. — Jeżeli lubisz pikantną arnikę, będą lepsze.

Weston wziął jedną oliwkę na spróbowanie. Była wystarczająco gorzka, aby przekonać się, że nie jest to coś, co by mu smakowało.

Farley szybko przestudiował kartę.

— Dają tu gazpacho według przepisu andaluzyjskich Maurów — zupa naprawdę jest dobra. Polecałbym też lomo con col, pod warunkiem, że nie masz prowincjonalnych upodobań.

— Jestem na tyle prowincjonalny, że chciałbym wiedzieć, co to jest, zanim się zdecyduję.

— Połudwica wieprzowa zawinięta w liście kapusty z sobrasada — to rodzaj surowej kiełbasy, jaką jedzą na Balearach — do tego ziarenka szyszek pinii, rodzynki, no i trochę resztek, które zostały z poprzedniego wieczoru.

— Z twojego opowiadania wynika, że to istny przysmak bogów.

— Gdzież jest, do diabła, ten szampan? — Farley uśmiechnął się i rozejrzał dookoła.

Weston obserwował rozciągającą się w dole zatokę. Słońce było już nisko; wkrótce zajdzie za zachodnie wzgórze. Jego blask na niebie, z powodu wielkiego upału, przechodził teraz w fioletowo-różową poświatę. Morze było błękitne jak na plakacie z biura podróży. Kilka jachtów o wielobarwnych żaglach, prawie niewypełnionych wiatrem, zmierzało do wschodniego wybrzeża zatoki. Bliżej brzegu woda pieniała się od motorówek ciągnących za sobą narciarzy. O takiej scenerii zwykł marzyć londyński urzędnik w zimny i dżdżysty, styczniowy dzień.

Kelner przyniósł szampana w kubelku z lodem i dwa strzeliste kieliszki. Otworzył butelkę, napełnił kieliszki i życzył gościom smacznego.

— G.S.Z.M.T. — wzniósł toast Farley.

Okrzyk ten towarzyszył chłopakom, ilekroć udało im się Przemyć do szkoły kilka puszek piwa i ukradkiem je wypić. Rozpierała ich niczym nieuzasadniona radość, że ostatnie dwie litery, stanowiące

skrót Mnóstwo Tego, stawały się hasłem: Golnij Swego Zakazanego Mnóstwo Tego. Weston przypomniał sobie, że to chyba Farley ułożył toast. Był także prowodyrem tego rodzaju akcji. Zresztą bez przerwy prowokował przełożonych.

— Nie jest to najlepszy rocznik Dom Perignon, ale nie smakuje najgorzej — stwierdził Farley.

— Często serwują go w Anglii po drugim kieliszku oryginalnego szampana.

— I dyskretnie chowają etykietkę pod serwetką?

— Oczywiście.

— I ty to pochwalasz?

— Dlaczego nie? Zwłaszcza jeżeli to ja płacę rachunek.

— Nie przeszkadza ci w życiu hipokryzja? Zaskakujesz mnie. Uważałem cię za rzadki okaz człowieka zawsze mówiącego prawdę, nieważne czy z odwagi, czy z głupoty. No tak, ale wtedy wymknęłaby ci się kariera w Public Relations.

— A tobie umknął fakt, że już tam nie pracuję.

— Zawsze byłem nieokrzesanym draniem — Jason wyjął butelkę z kubeczka z lodem i napełnił kieliszki.

— Nie licz na to, że zaprzeczę.

— No pewnie — uśmiechnął się Farley i zaraz spowaźniał. — Obawiam się, że powoli zaczynasz mieć kłopoty finansowe, czy tak?

— Niezupełnie — odpowiedział Weston, chociaż nie znosił tych osobistych pytań. Najprawdopodobniej Farley mu nie uwierzył podejrzewając, że stara się zachować trochę godności. W pewnym sensie jego odpowiedź była prawdziwa. Przecież Stephanie jest bogata i nie zniósłaby, gdyby ktokolwiek pomyślał, że nie mają pieniędzy.

— Zapalisz? — Farley wydobył paczkę ulubionych cygar.

— Nie, dziękuję.

— Nadal zdrowy zarówno na ciele, jak i na umyśle?

— Ostatnio nie mogę przebiec stu metrów bez zadyszki. Mój umysł jest pewnie w podobnej formie.

— Niedługo wypływam w krótki rejs — Farley zmienił temat, czule pieścąc w dłoni kieliszek.

— Dokąd? — spytał Weston.

— Tam, dokąd poniesie mnie fantazja.

— Jaki masz jacht?

— Nie mój, pożyczony. I nie żaden czternastometrowy kecz Camper i Nicholsons, tylko osiemnastometrowy Alder i Farson.

— Jeżeli już musisz iść na silniku, nie może być chyba gorszy niż Rollsa.

— Też tak uważam. Jacht nadaje się do żeglugi na niezłym kawałku wody. No i te wszystkie luksusy, skoro już o tym mowa. Łóżka zamiast koi, prysznice, umywalnie, z których nie wychodzisz cały mokry, jeżeli odkręcisz mocno kran, wszystkie elektroniczne urządzenia do nawigacji, jakie dotychczas wynaleziono, lodówka, która pomieści kilkanaście butelek szampana, zamrażarka i kuchenka mikrofalowa, dzięki której można gotować szybko i komfortowo, kończąc raz na zawsze z niewolniczą rolą cooka.

— Zupełnie jak u Ritza.

— Jeżeli weźmie się ze sobą kogoś do towarzystwa, to nawet więcej niż Ritz. Przynajmniej nie jest tak obrzydliwie duszno w pokoju, który rezerwujesz dla jednej osoby, a śpią w nim dwie. Zastanawiałem się... — Farley wypił do dna. — Może się wybierzesz? — spytał po chwili. — Masz okazję uciec od tych pseudoturystów z wycieczek grupowych i ich nieznośnych dzieciaków.

— To brzmi wspaniale, tylko...

— A jeżeli chodzi o ładunek specjalny, jakie masz preferencje? Blondynka, brunetka, a może ruda? — przerwał mu Farley.

— Zapominasz, że jestem żonaty.

— Dwa punkty przewagi dla ciebie z racji doświadczenia.

— W tych sprawach mam raczej staroświeckie zasady.

— Przeszarżałe i cholernie przedpotopowe. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to Matka Natura da ci zdrowego kopniaka. Wypływamy we wtorek o dziesiątej.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Boisz się, że Matka Natura cię zbałamuci?

— We wtorek odlatuję.

— Co takiego? Mówiłeś, że w ten wtorek przyjechałeś. Chyba się nie mylę?

— Zgadza się, ale wybrałem się tylko na tydzień.

Farley skubał brodę. Dopiero po chwili przemówił, uważnie dobierając słowa. Rozejrzał się za kelnerem od alkoholu i wykrzyknął

zamówienie na jeszcze dwie brandy. Zapalił następne cygaro.

— Wiesz, co ci powiem. Popłyn z mną, a ja załatwię ci nowy bilet do domu.

— Przykro mi, Farley.

— Boisz się, że zastaniesz kogoś na swoim miejscu w łóżku, jeżeli nie będzie cię trochę dłużej?

Weston zapomniał, jak grubiańsko Farley potrafi ubliżać, jeżeli nie udaje mu się dopiąć swego. To urodzony przywódca, którego największy błąd polega na tym, że od wszystkich, którzy za nim pójdą, żąda ślepego posłuszeństwa.

Kelner wrócił z butelką Carlosa I i napełnił kieliszki. Farley wyrzła na zatokę, pogrążoną teraz w kompletnych ciemnościach. Linie brzegową wyznaczały tylko światła. Najwyraźniej był wściekły.

ROZDZIAŁ 4

W poniedziałek wieczorem po kolacji Weston siedział na tarasie, przylegającym do pokoju hotelowego i rozmyślał na przeróżne tematy. Był już po trzech czwartych butelki Bacha i szczodrej dawce Soberano, kiedy zadzwonił telefon.

— Weston przy aparacie — tym razem postanowił nie dać się zaskoczyć.

— To twój ostatni wieczór. Jedziemy do El Diablo — usłyszał głos Farleya.

— Cóż to takiego?

— Klub nocny, o którym ci opowiadałem. Zabieram cię za piętnaście minut — oznajmił i odłożył słuchawkę.

Weston zastanawiał się, czy nie powinien odmówić, aby pokazać Farleyowi, że nie może dyktować innym, co mają robić. Tylko czy nie zostanie to odebrane jako małostkowy, prowincjonalny gest, zasługujący na szydercze wyśmianie?

Jak przystało na Hiszpanię, do przyjazdu Farleya do hotelu upływały trzy kwadranse. Nie był sam.

— Jemma i Marcia — oznajmił, nie zadając sobie trudu, aby określić, która jest która. Obie były wysokie, długonogie i cienkie jak tyczki. Ta z czarnymi, kręconymi włosami miała ciemnobrązowe oczy, trochę zadarty nos i roześmianą buzię. Druga o falistych, blond włosach była niebieskooka, nos miała prosty, a usta pełne i wilgotne. Obie nosiły sandały, dzinsy i podkoszulki. Zachowywały się swobodnie i beztrudnie.

Farley i tym razem zaparkował renault na odznaczającej się żółtej linii. Westona z blondynką posadził na tylnym siedzeniu. Po pięciu minutach jazdy, Gary dowiedział się, że dziewczyna obok niego ma na imię Jemma.

Zatrzymali się pod dużym, brzydkim, obłożonym kamiennymi płytami budynkiem. W neonowym napisie nad wejściem, chyba dla

niepoznaki brakowało dwóch liter. Kiedy weszło się do pustego holu, a potem krótkiego, słabo oświetlonego korytarza, stało się jasne, że chodzi o dyskrecję. Dopiero za wahadłowymi drzwiami, prowadzącymi do właściwej siedziby klubu nocnego, można było się zorientować, że to obskurne przejście służyć miało osiągnięciu lepszego wrażenia na widok wnętrza.

Całą przestrzeń podzielono na dwie części. W większej stały stoliki i było miejsce do tańca. Mniejszą część stanowiła półokrągła scena. Na podwieszanej kurtynie przedstawiony był motyw dworu rzymskiej bogini Diany i greckiego Artemisa. Jak się później okazało, osoba zapowiadająca show, albo nie miała pojęcia o mitologii klasycznej, albo należytego poczucia humoru. Dekoracja w głębi sceny ukazywała epizod polowania, w którym prawdziwe zwierzęta i mityczne stwory padały ofiarą ludzi podobnych do bogów. Na samym środku sceny ustawiono złociste podium, a na nim złoty tron, początkowo pusty. Dziewczyny w obficie udrapowanych szatach, z obnażoną jedną piersią, prowadziły na złotych smyczach charty afgańskie.

Kelnerka, która wskazała towarzystwu Farleya stolik na samym przodzie, miała tak głęboki dekolt, że prawie nie było widać bluzki. Jej zbyt krótka spódniczka niewiele zakrywała, na nogach lśniły jedwabne, czarne pończochy, przypięte do podwiązek. Dziewczyna była znudzona i nadaśana, lecz szybko zmieniła wyraz twarzy, kiedy Farley zamówił dwie butelki szampana.

Zaraz po napełnieniu kieliszków wypili. Kiedy zaczęła grać muzyka, znów mieli nalane. Jemma mówiła coś do Westona, który dawał znak ruchem głowy, że wokół jest zbyt wielki hałas, aby mógł usłyszeć jej słowa. Dziewczyna przechyliła się w jego stronę. Teraz jej usta od ucha Westona dzieliły zaledwie centymetry. Zaproponowała, żeby zatańczyli. Doskonale czuł miękkość jej piersi na górnej części ramienia.

— Nie jestem zbyt dobrym tancerzem — powiedział.

Dziewczyna wyprostowała się, wstała, chwyciła go za rękę i pociągnęła do siebie. Na parkiecie było tłoczno, ale nie aż tak, żeby musiała mocno przytulać się do niego. Jednak to robiła. Instynktownie, nie wiedzieć dlaczego, próbował się odsunąć. Wtedy ona przybliżała się jeszcze bardziej. Ich nogi często splatały się w tańcu.

Muzyka ucichła i pary wróciły do stolików. Przygasły światła. Zaczęto bić w werble. Dziewczyny, przez bramę ozdobioną winoroślą, wyprowadziły charty afgańskie ze sceny. Kiedy wróciły bez psów, była wśród nich Diana — uderzająco piękna, w typie nordyckim, ubrana w długą, przezroczystą, fałdowaną szatę, migoczącą złotymi nićmi. W prawej ręce trzymała łuk. Orszak dziewcząt prowadził ją w kierunku podium i pomógł jej na nie wejść. Stała teraz z boku swojego tronu z napiętym łukiem gotowym do strzału. Tymczasem nie było do kogo mierzyć. Zawiedziona zasiadła na tronie i jakby ze znużenia przymknęła oczy. Dziewczęta z orszaku naradzały się między sobą w podnieceniu, a potem zbiegły ze sceny. Wróciły z młodzieńcem w postrzępionej, koźlej skórze. Wskazały mu tron. Przyglądał się bogini z zachwytem i przerażeniem, a potem padł na kolana, odwracając wzrok. Dziewczęta zawołały w stronę Diany, która otworzyła oczy i zobaczywszy młodzieńca wstała, podniosła łuk, naciągnęła go i wypuściła niewidzialną strzałę. Młodzieniec wydał z siebie krzyk, wstał powoli i zaczął zbliżać się do tronu jak lunatyk.

Weston opróżnił kieliszek. Przedstawienie było dosyć zręcznie zrobione, ale okrutnie przestarzałe. W Londynie można było obejrzeć coś podobnego czterdzieści lat temu. Farley sięgnął przez stół z zamiarem nalania sobie szampana i porozumiewawczo mrugnął. Jemma wyjęła mu z ręki kieliszek, wypila połowę i oddała go, upewniając się, że ślady szminki pozostały od strony twarzy Farleya.

Tymczasem na scenie Diana zstąpiła właśnie z podium. Podeszła do młodzieńca i nachyliła się nad nim, żeby musnąć wargami jego kręcone włosy. Ponieważ nie zareagował, ze złością uczyniła gest w kierunku dziewcząt. Dwie spośród nich podeszły do młodzieńca i zdjęły z niego koźlą skórę. Był nagi. Diana przesuwiała dłonie po jego policzkach w dół w kierunku szyi, wzdłuż ramion, na piersi...

Weston uświadomił sobie swoją naiwność, kiedy porównywał ten akt do innych, pokazywanych w Londynie. Czując się zażenowany w towarzystwie obu dziewczyn, po cichu przeklinając Farleya, że je tutaj przywiózł, zaproponował Jemie, aby wyszli, zanim nastąpi nieuchronny finał. Jednak ona dała mu wyraźnie odczuć, że scena ta wcale nie budzi w niej zgorszenia, lecz wprawia ją w podniecenie.

ROZDZIAŁ 5

Weston obudził się z ciężkim bólem głowy, żołądkiem jakby rozdeptanym przez dwunastu krasnoludków w butach podkutych ćwiekami, w świetle, który się poruszał. O ile pękająca głowa i obolały żołądek nie były mu obce, o tyle poruszający się świat stanowił żywioł nieznany. Szampan może i jest napojem królewskim, ale pozostawia podłego kaca.

Gary otworzył oczy. Sufit w sypialni znajdował się bardzo nisko i jakby nadal opadał. Odwrócił głowę i zdał sobie sprawę, że ściany stają się coraz mniejsze. Wkrótce zostanie zmiażdżony... Postanowił wziąć się w garść. Sufity się obniżają, a ściany kurczą tylko w świetle Poe'go, to znaczy, że myli go jego wzrok. Te hiszpańskie trunki muszą atakować nerwy wzrokowe, nie mówiąc o wszystkich innych, które uszkadzają. Następnym razem wyłącznie szkocka... Nagle przypomniał sobie, że to przecież dzień wyjazdu. Nie mógł sobie pozwolić na spokojne dochodzenie do siebie bez pośpiechu. Czekąca go przecież półtoragodzinna jazda autobusem, stanie w kolejkach, jedzenie bez smaku... Podniósł lewą rękę i po chwili jego elektroniczny zegarek wyświetlił godzinę. Było piętnaście minut po dziesiątej. Oznaczało to, że ma zaledwie dwie godziny do odlotu, a musi się jeszcze ogolić, wziąć prysznic, spakować... nie mówiąc o upominku dla Stephanie. Piekielnie trudno jest wybrać prezent dla kogoś, kogo stać na wszystko. Dlatego zwlekał z zakupem do dzisiejszego ranka. Zamiast natchnienia miał gigantycznego kaca. Będzie musiał coś znaleźć w sklepie wolnoctwowym, ponieważ nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby przyleciał z pustymi rękami. Jak na osobę uczuciowo zimną, przywiązywała niebywałe znaczenie do prezentów...

Mając przed sobą dwie godziny, od których trzeba odjąć czas na szykowanie się, mógł sobie pozwolić na jeszcze chwilę relaksu w łóżku. Tyle tylko, że nie dało się odpoczywać, ponieważ świat wciąż się poruszał w sposób, który teraz wydawał mu się znajomy, ale niemożliwy do określenia. Był w tym wszystkim jakiś regularny rytm, potem jakby przyspieszony ruch w górę i w dół, głuche odgłosy, stopniowo zanikające drgania, jak w przypadku delikatnie sfalowanej wody... Woda. Łódź na morzu. Nareszcie skojarzył, że opadający sufit — to pokład, a malejące ściany — to grodzie. Te ustalenia nie mogą przynieść ulgi psychicznej, ponieważ są nieprawdopodobne. Czyżby szampana zmieszano z LSD albo z jakimś innym szalejącym ostatnio narkotykiem? Odległy szmer okazał się falą od dziobu, którą wiatr rozbił na pył wodny, okrągłe okienko — bulajem. Promień słonecznego światła przemieszczał się nie dlatego, że Westona mylił wzrok, lecz dlatego, że łódź była w ruchu.

Gary usiadł, jęknął i zaczął obracać się z nogami w górze, aż znalazł się nad balustradą osłaniającą łóżko podczas sztormu. Zsunął się na podłogę, wyobrażając sobie, że skoro wszystko jest nieprawdopodobne, na zewnątrz kajuty morze będzie pomarańczowe, a niebo zielone. Zorientował się, że bardzo krótkie przejście prowadzi do stopni wychodzących na pokład. Był jeszcze luksusowo wyposażony salon, otwarty pokład górny, na końcu którego podwieszono na davisach tratwę ratunkową. Wreszcie morze, odpowiednio niebieskie.

Od rufy płynął szkuner z mocno wybranymi żaglami. Za lekką mgłą spowodowaną upałem, niewyraźnie widać było położony na płaskim lądzie port, za którym piętrzyły się wzgórza. Nagle jachtem potężnie zakołysało. Weston musiał bardzo się pośpieszyć, żeby dosięgnąć uchwyty i nie stracić równowagi. Obserwował spienioną smugę kilwatera, który jak gdyby zlewał się z rufą, a potem nikał, i na próżno usiłował sobie przypomnieć moment wchodzenia na pokład.

Po chwili ruszył naprzód wzdłuż trapu między nadburciem a ścianą nadbudówki salonu, aż ukazała mu się sterówka. W jej wnętrzu rozpoznał tył głowy i plecy Farleya. Wspiął się po drabinie i wszedł do środka.

— Żyjesz? — zapytał go Farley. — A ja już miałem zamiar szykować worek i zaszyć cię w nim, przeciągając ostatni szew przez

środek nosa, żeby się upewnić, że nie śpisz zwyczajnym snem.

— Co to wszystko, do diabła, ma znaczyć?

— Robimy siedemnaście węzłów, stan morza cztery, wiatr wschodnio-północno-wschodni, lekka fala. Wszystko w porządku.

— Morze było jego prawdziwym żywiołem. Na lądzie stawał się niedbały albo ekscentryczny, w zależności od norm przyjętych przez tych, którzy go oceniali. Na morzu prezentował się jak rasowy żeglarz, naprawdę wspaniale.

— Do cholery, przecież nie o to pytałem — Weston ciągnął swoje. Nagle przyszła fala pod nieco innym kątem. Jachtem potężnie zakołysało, kiedy zapadał się dziobem w wodę. Gary, nie czekając ani chwili, złapał się kurczowo wolnego fotela sternika. Czuł, jak żołądek podjeżdża mu do góry i opada zgodnie z przechyłem łodzi.

— Na litość, wyglądasz jakbyś miał chęć sobie rzygnąć. Robi ci się taki zabawny świński ryj — Farley ryczał ze śmiechu.

— Po co tutaj jestem?

— Ponieważ w końcu zdecydowałeś przystać do twardzieli. Najpierw, jak cię spotkałem, był z ciebie straszny mięczak — wtedy przy tęgo zakrapianej kolacji w miejscowym klubie golfowym. Ale wczoraj wieczorem zaskoczyłeś.

Farley zaczynał mówić językiem z lat szkolnych, co sprawiało, że Westonowi jeszcze trudniej było zrozumieć, co się wydarzyło.

— Za niecałe dwie godziny muszę być na lotnisku.

— Zadanie niewykonalne.

— Co to jest? — spytał Weston, wskazując port.

— Wybrzeże między Puerto Punos i Cala Besuna.

— To mi nic nie mówi. Ile potrzeba czasu, żeby dostać się do Restiny z Cala Besuna?

— Samochodem? Jeżeli się dobrze przycisnie, można zajechać w godzinę.

— Zmień kurs i dopłynemy tam.

— Nie da rady.

— Czy ty, do cholery, nie rozumiesz, że ja dzisiaj odlatuję do domu? Żona na mnie czeka.

— Wcale nie. Z Hiszpanii nadają jeszcze telegramy za granicę, więc zadepeszowałem do niej, wyjaśniając, że wszystko jest w

porządku, że spotkałeś starego przyjaciela i że zostaniesz jeszcze na kilka dni. Dołączyłem mnóstwo uścisków i pocałunków, ale taktownie nie wspominałem, że zawarłeś nową znajomość. Żony potrafią być bardzo nietolerancyjne.

— Któryś z nas chyba zwariował.

— Zgoda. W dzisiejszych czasach tylko szaleńcy mogą cieszyć się życiem. Aha, rozmawiałem też z obsługą hotelu i obiecali bezpiecznie przechować bagaż, dopóki nie wrócisz.

Kiedy Weston przestał już kurczowo trzymać się fotela sternika, jachtem zaczęło kiwać nierównomiernie, aż nagle bujnęło nim tak gwałtownie, że Gary stracił punkt podparcia i o mało się nie przewrócił. W ostatnim momencie zdołał utrzymać równowagę. Z trudnością udało mu się usiąść na fotelu.

— Po co ja tutaj jestem? — ponowił pytanie.

— Potrzebna mi załoga.

— W jakim celu?

— Rejs do Maroka.

— Płyniemy prawie idealnie na wschód, Maroko jest na południe — odczytał z tarczy kompasu.

— Compos mentis! Odzyskało się władzę na umyśle. Pamiętasz pons asinorum? Euklides powiedział, że najbezpieczniejszą odległość między dwoma punktami stanowi odległość największa.

— Do czego ta mowa?

— Komendant straży przybrzeżnej jest na ogół logicznie myślącym człowiekiem, ale ma ograniczony umysł. Jeżeli widzi łódź płynącą kursem na wschód, uważa, że zmierza ona do brzegu.

— Jeżeli próbujesz ukryć cel swojej podróży, musisz działać niezgodnie z prawem.

— Cóż za frajerski sposób stawiania sprawy, drogi chłopcze.

— O Boże — wymamrotał zrezygnowany Weston. — Odstaw mnie na brzeg, a ja wrócę sobie do hotelu i o wszystkim zapomnę

— Weston był coraz bardziej przerażony, zwłaszcza że Farley uśmiechał się do niego dziwnie rubasznie.

— Słowo harcerza?

— Oczywiście.

— Gówno prawda — Farley parsknął śmiechem, wysuwając do przodu podbródek.

Nagle przez otwarty bulaj sterówki wpadł silny podmuch, wichrząc brodę Farleya. Teraz wyglądał on jak prawdziwy pirat.

— Przysięgam — zapewniał Weston.

— Czy ciebie w ogóle stać w życiu na coś mniej nadętego niż to cholerne gadanie... Chłopcze, tkwię przy sterze od wielu godzin i marzę o kubku kawy. Nie zrobiłbyś? Może przywróciłaby życie moim zbolałym członkom. Główny zawór gazu jest na poziomie dolnego pokładu.

— Szmuglujesz narkotyki?

— Cholernie głupie pytanie — w głosie Farleya nie było pełnej rozbawienia ironii, była wściekłość. — Sądziś, że splamiłbym się czymś takim?

— Cokolwiek robisz, działasz nielegalnie.

— Nielegalnie nie znaczy dla wszystkich jedno i to samo.

— A co znaczy dla ciebie?

Farley wyszczerzył zęby jak wilk.

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Twoja mięczakowata natura się przepłoszyła?

— Nie lubię łamania prawa.

— Może uspokoisz swoje sumienie, jak się dowiesz, że zanim będziesz o dwa dni starszy, staniesz się stokroć bogatszy.

— Nie dotknę nawet pensa.

— Tu nie chodzi o pensy. To dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Nie interesuje mnie nawet sto tysięcy.

— Przypominasz mi tego skurwysyna, starego durnia Wileśa, który próbował uczyć nas literatury angielskiej. „Stać nas na to, abyśmy byli uczciwymi Anglikami”. Uczciwość to taki sam towar jak każdy inny. Jaka jest twoja cena? — Farley zsunął się z fotela. — Zdaje się, że masz głowę tak nabita frajerskimi pytaniami, że sam będę musiał zrobić kawę. Przejmij ster. Kurs zero osiem pięć.

Farley przeszedł wzdłuż rufy i zaczął schodzić po stopniach w dół. Weston przesiadł się niezdarnie na drugi fotel. Okazało się, że zboczyli z kursu o dziesięć stopni. Ustawił więc ster na lewą burłę.

Kiedy znaleźli się z powrotem na kursie, zwolnił koło sterowe. Jak, do diabła, zmusić go, żeby zrozumiał. Samowolny z natury

Farley uważał, że praworzędność, dążenie do przestrzegania zasad i pragnienie postępowania zgodnie z prawem stanowią oznaki słabości. Jak mu wytłumaczyć, że tak nie jest? Perswazją? Błaganiem? Udowodnił już, że pozostaje głuchy na wszelką argumentację rozumową, a błagalny ton wzbudziłby w nim na pewno pogardę zamiast zrozumienia.

Zamęt w myślach sprawił, że tak dużo czasu zabrało Westonowi uświadomienie sobie, iż może próbować wziąć sprawę w swoje ręce. Przetawiał ster w lewo na burzę i zawrócił we właściwym kierunku, na północ. Trudno było ocenić odległość od lądu, ponieważ wciąż utrzymywała się lekka mgła spowodowana upałem. Farley z pewnością wróci, zanim zaczną zbliżać się do brzegu i będzie czas, żeby znaleźć odpowiednie słowa i go przekonać.

Był już z powrotem, bez kawy. Usiadł w fotelu z prawej burty. Popatrzył przed siebie i nie zareagował na zmianę kursu.

- Nie masz zamiaru zmienić zdania i przyłączyć się do mnie?
- Nie.

Farley przechylił się i rozłożył trzy zdjęcia na pulpicie przed kołem sterowym. Weston, spoglądając na nie, zobaczył z początku tylko jakiegoś nagiego mężczyznę i nagą kobietę, których splecione ciała w skomplikowany sposób uprawiały miłość. Po chwili, przerażony, rozpoznał w nich Jemmę i siebie.

— Przyznam, że mnie zaskoczyłeś, Aggie. Gotów byłem sądzić, że brakuje ci zarówno wyobraźni, jak i techniki. Powinno mi się przypomnieć, co powiedziała pewna aktorka do biskupa. „Koloratka nie daje gwarancji, że marzenia w miejscach świętych będą niewinne”.

- Kto... kto to zrobił?
- Marcia. Ma dobrą rękę do zdjęć.
- Ale po co?
- Może to ją rajcuje — Farley powiedział drwiąco.
- To prostytutki. Zapłaciłeś im?
- Co za cholerny purytanin z ciebie, chyba że jesteś au naturel z Jemmą... Nie są prostytutkami, tylko radosnymi amatorkami śródziemnomorskiego słońca, zawsze gotowe kupić sobie większą jego

ilość za walutę, na której brak się nie skarżą.

— Wrobiłeś mnie w to z premedytacją.

— Powiedzmy, że wystawiłem cię na pokusę. I muszę przyznać, że zrobiłem to powodowany niemałą ciekawością, czy szlachetna cnota zwycięży grzeszny występki?

— A teraz?

— To zależy od ciebie.

— Jeżeli ci nie pomogę, wykorzystasz te zdjęcia?

— Jestem przekonany, że jako człowiek obdarzony wyjątkowo zdrowym rozsądkiem, będziesz wiedział, co leży w twoim interesie.

Dla Stephanie nawet pozycja klasyczna byłaby czymś obrażającym. Te zdjęcia ją zbulwersują.

— Z twojego wyrazu twarzy wynika, że myślisz o podarciu fotografii. Proszę bardzo, zrób to. Oczywiście negatywy są w bezpiecznym miejscu.

Weston patrzył przez bulaj, wiedząc że nie odważy się sprawdzić, czy Farley blefuje.

— Wrócimy na poprzedni kurs?

Gary nie dotknął steru.

— Muszę zapewnić twoją nieskazitelną duszę, że ta wyprawa nie ma w ogóle nic wspólnego z narkotykami. Tak naprawdę, najściślej rzecz ujmując, mocno wątpię, żeby było w niej cokolwiek nielegalnego.

Gary zmienił kurs.

Farley stał w salonie. Wkrótce udał się na górę do sterówki, żeby sprawdzić, czy automatyczny sternik dobrze utrzymuje kurs i czy nie widać przypadkiem jakiejś jednostki, z którą mogliby się zderzyć. Weston odkrył, że Farley, jak na ironię, na morzu skrupulatnie zabiega o bezpieczeństwo, unikając jakiegokolwiek ryzyka, mogącego zagrażać innym, podczas gdy na lądzie jest absolutnie beztrocki. Czy wobec tego jest on pierwszorzędnym żeglarzem czy też podrzędnym szcurem lądowym?

Farley wrócił po kilku minutach i usiadł.

— Daleko stąd płynie jakiś kontenerowiec, nie widać mu nawet kadłuba, a z lewej burty spokojnie mijamy się z innym jachtem.

Niebo przestaje mi się podobać. Chmury wyglądają tak, jak by gdzieś już wiało, chociaż komunikaty nic o tym nie mówią. Jeszcze nam tylko brakuje huraganu w tym luksusowym pałacu. Weston nie odezwał się słowem.

— Wciąż się zdręczasz? Rozluźnij się, chłopcze. Naucz się brać życie takim, jakie jest. No cóż, straciłeś trochę szacunku dla siebie samego, ale masz za sobą doświadczenie, o jakim większość mężczyzn tylko marzy. Niedługo będziesz mógł do tego jeszcze dorzucić dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Powiedziałem już, że nie.

— Tak, tak. Nie dotkniesz nawet jednego parszywego dolara, chociaż wiadomo, jak bardzo potrzebujesz gotówki. Ciekaw jestem, czy będzie tak samo, kiedy zobaczysz forszę przed sobą. Założyłbym się, że wszelkie zasady zawieszono są w próżni.

— Przy twoim stylu życia, prawdopodobnie tak jest.

— Znowu oceniasz po pozorach? To typowe. Nie możesz uświadomić sobie, że im bardziej szlachetny wygląd, tym większa hipokryzja... — Farley spojrział na zegarek. — Upłynęło pięć minut od czasu, kiedy byłem na górze. Teraz ty idź sprawdzić.

Weston poszedł do sterówki. Kontenerowiec na horyzoncie był teraz niewiele większy od przyszcza, a wkrótce w ogóle przestanie być widoczny. Jacht płynął już daleko za rufą. Żadna inna jednostka nie pojawiła się w polu widzenia. Morze nie było bardziej wzburzone, chociaż nadal dosyć sfalowane. Wiatr bliżej czwórki niż trójki, kurs — dziewięćdziesiąt jeden. Weston wychylił się ponad lewą burłę, usiłując rozpaczliwie znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Usłyszał, jak Farley idzie do góry po stopniach. Nie odwrócił się, kiedy tamten wszedł do sterówki.

— Zastanawiałem się, czy nie wypadłeś za burłę — zwrócił się do Westona.

— Jakoś mi się udało.

— Ależ z ciebie ponurak — zareagował Farley, usadowiwszy się w fotelu z prawej burty. — W pewien sposób przypominasz mi czasem Kate. Jest w niej tyle wiary w idealne dobro, że wciąż traci czas, próbując mnie odmienić.

— Zapewne nie zna ciebie zbyt dobrze.

— Przeciwnie. Całe lata mieszkaliśmy razem.

— To twoja żona?

— Wyobrażasz mnie sobie w roli męża? Czy sądzisz, że jakaś kobieta chciałaby poślubić... Nie, Kate jest moją siostrą. — Farley wyjął z kieszeni cygara i zapalił. — To jedna z najbardziej lojalnych kobiet, jakie spotkałem, tyle tylko, że straszliwie uparta. Po tym jak przedstawiła mnie Keithowi, oznajmiając, że zamierza go poślubić, powiedziałem jej, że on jest gównem wart.

— Z pewnością była ci za to niezmiernie wdzięczna.

— Potrafi mieć język ostry jak brzytwa — Farley zachichotał. — Bóg raczej wie, dlaczego nie umiała zobaczyć go takim, jakim był naprawdę — od urodzenia przegrany. A może właśnie to najbardziej ją w nim pociągało? Zawsze się nabierała na tych potrzebujących pomocy. On był w ogóle bez grosza, wobec tego po ślubie zamieszkali w skromnym domu w Anstey Cross, przeznaczonym dla nas obojga. Kate nie miała pieniędzy na odkupienie mojej części, więc pomyślałem sobie, że jej ją podaruję. I tak jestem w Anglii tylko wtedy, kiedy muszę. Potem zdałem sobie sprawę, że, jeżeli ona umrze pierwsza, to tamten zagarnie dom. Przeklinałbym siebie, gdybym poszedł na takie ryzyko — Farley zaciągnął się cygarem, wypuszczając dym przez nos. — Prawdę mówiąc, czasami przypominam sobie kwitnącą jabłoń na środku trawnika i jestem cholernie zadowolony, że połowa domu nadal należy do mnie.

Weston po raz pierwszy słyszał słowa Farleya, powracającego do sentymentalnych wspomnień.

— W zeszłym roku ten gównem wart kurdupel odpłynął do takiej cichutkiej myszki bibliotekarki. Wiesz dlaczego? Nareszcie znalazł sobie kogoś jeszcze bardziej bez wyrazu niż on sam. Dzięki temu poczuł się dowartościowany. Przez cały czas, kiedy był z Kate, nie potrzebował lustra, żeby zobaczyć, jak bardzo jest mały... Powinna się mnie posłuchać.

— Mogłeś równie dobrze zachować swoje zdanie dla siebie, a wtedy ona nie musiałaby za niego wychodzić, by udowodnić swą niezależność. W swoim czasie przekonałaby się, czy miałeś rację, czy nie... Schodzę na dół dokończyć jedzenie.

- W porządku, doktorze Freud — powiedział Farley z irytacją w głosie. — Jak będziesz gotowy, to przeleć na rufę.
- Głową czy nogami do przodu?
- Na tratwie ratunkowej — Farley odzyskiwał humor.
- Po co?
- Żeby nakleić nową nazwę jachtu i portu rejestracji, zanim zaczniemy płynąć na południe.
- I żeby nikt nie skojarzył nas z Cristiną II, która wypłynęła z Restiny, w razie, gdyby nas zauważyli i złożyli meldunek.
- Uczysz się, mój chłopcze, uczysz.

ROZDZIAŁ 6

Noc była ciemna, niebo całkowicie zachmurzone. Morze wzburzyło się, fala podniosła. Zatrzymanym jachtem potężnie kołysało. Słysząc było nieustanne pomrukiwanie kadłuba — uspakajający dźwięk dla każdego żeglarza, który przekonany jest, że cisza na łodzi świadczy o zagrażającym niebezpieczeństwie. Ekran radaru wskazywał, że są w odległości pół mili od wybrzeży Maroka. Włączająca się dwukrotnie w ciągu dziesięciu sekund latarnia morska, na tyle, na ile jest to możliwe, potwierdziła ich położenie. Mapa informowała o plaży, płaskim lądzie w kierunku wschodnim, urwisz tym brzegu na zachodzie i małym miasteczku Menache za cypłem.

— Nadal nic? — spytał, stojący przed ekranem radaru, Farley.

— Nic — potwierdził Weston.

— Niech to diabli! Jeżeli będziemy tutaj zbyt długo marudzić, może się znaleźć jakiś ciekawski. Marokańscy mają kilka szybkich łodzi patrolowych obsługujących wybrzeże

— Farley podświetlił tarczę swojego zegarka. — Czterdzieści pięć minut spóźnienia. Hiszpanie gotowi są spóźnić się nawet do nieba. Gdzież są ci dwaj, do cholery?

Weston dowiedział się dopiero teraz, że mają zabrać jakichś dwóch Hiszpanów. Co za sens szmuglować Hiszpanów do Hiszpanii, jakby nie mogli podróżować legalnie. Oczywiście sama nasuwała się odpowiedź, że albo mieli oni coś wspólnego z narkotykami, albo byli terrorystami. Ponieważ Farley przekonująco zaprzeczał jakoby kiedykolwiek miał do czynienia z narkotykami, pozostawała ta druga ewentualność. Mógł wyczuwać w nich pokrewną duszę, gdyż oni także przeciwstawiają się prawu. Nigdy nie zastanawiałby

się nad skutkami ich działalności — nad ludźmi o złamanym życiu, cierpieniem, śmiercią, zniszczeniem... Tymczasem on, Weston, ulegając brutalnemu szantażowi, mógł być posądzony o przemykanie oczu na prawdopodobne skutki poczynań Farleya. Każdy człowiek ma swoją cenę, nie zawsze mierzoną w pieniądzech. Wartość Westona trzeba by mierzyć w kategoriach godności osobistej i, być może, korzyści własnych. Na brzegu zaczęły połyskiwać czerwone światełka — dwa długie, dwa krótkie i znów dwa długie. Sekwencję powtórzono.

— To oni. No to jazda, i dawaj ich tu jak najszybciej. Ponieważ światła na jachcie były wygaszone, musiał torować sobie drogę na wycucie, niemalże na pamięć. Był już na rufie i odwiązywał cumę tratwy ratunkowej, która kołysała się na fali, kiedy dołączył do niego Farley.

— Gdzieś niedaleko wieje znacznie silniej — powiedział wciągając powietrze. — Dlaczego, u diabła, ci eksperci od pogody jeszcze tego nie wychycili? — Szczur lądowy naśmiewałby się z samego pomysłu, że nadciągający wiatr można wyczuć. Żeglarz jednak wie, że to możliwe.

Weston zwolnił cumę, podając ją Farleyowi. Przeskoczył przez reling i znalazł się na tratwie. Czynność ta wymagała zręczności i utrzymania równowagi; aby jej nie stracić wskutek jednego, niezdarnego ruchu, potrzebna jest odrobina szczęścia.

— Oddaj cumę — zarządził Weston.

Lina, wijąc się jak wąż, wylądowała u jego stóp.

Gary umieścił wiosła w dulkach — Farley zabronił używania silnika — i tratwa zaczęła powoli odpływać od jachtu. Weston poczuł silny prąd od lądu — droga powrotna będzie łatwiejsza. Już po kilku minutach wiosłowania stwierdził z przekonaniem, że przyjąłby z wdzięcznością każdą nadchodzącą pomoc. Tratwą trudno było manewrować — przypominała kwadratową arkę. Po twarzy, szyi i plecach Gary'ego spływał pot.

Morze nabrało jak gdyby przyspieszenia. Tratwa przepłynęła przez rozbijające się o brzeg spienione masy wody i dotknęła piasku. Kiedy zawracająca fala zaczęła wciągać ją z powrotem, Weston wyskoczył, chwycił cumę i wciągnął tratwę na lekko wznoszącą się ku górze plażę.

Usłyszał ich głośne rozmowy, nie wskazujące na to, żeby przywiązywali nadmierną wagę do względów bezpieczeństwa. Ponieważ zachowywanie ciszy nie miało w tej sytuacji większego sensu, zawołał. Kiedy ktoś odpowiedział szybko po hiszpańsku, zaczął iść w jego kierunku.

— Tratwa jest tutaj — powiedział, zbliżając się na odległość pozwalającą rozróżnić sylwetki. Były trzy, nie dwie.

— Kto płynie ze mną? — spytał.

Ponownie dobiegła do niego rozmowa prowadzona po hiszpańsku.

— Co takiego? — Ktoś odezwał się wreszcie w języku angielskim.

— Pytałem o te dwie osoby, które mają z nami popłynąć.

— Wszyscy płynąć.

— Spodziewaliśmy się tylko dwójki.

— Ale płynąć wszyscy.

Weston zaklął po cichu. Za jednym razem mógł zabrać na tratwę tylko dwie osoby.

— Wobec tego jeden będzie musiał poczekać, aż po niego wrócę — oznajmił.

Słowa Gary'ego, przetłumaczone na angielski wywołały, jak się zorientował z tonu rozmowy, ostrą kłótnię. Spór jednak wkrótce ucichł.

— Dlaczego nie móc zabrać wszystkich? — padło pytanie.

— Bo nie mogę — zabrzmiała krótka odpowiedź. Tamci znów zaczęli się spierać.

— Pospiesz się z decyzją — Weston naciskał.

— W porządku. Oni płynąć, a ja zostać.

Gary wskazał im drogę do tratwy.

— Pomóżcie mi zepchnąć ją na wodę.

Obaj ani drgnęli. Weston zaklął i całą siłą sam ciągnął tratwę, aż znalazł się po kolana w wodzie.

— A teraz włąćcie.

Trudno było o większe niezdary. Chwiali się na boki, wpadali na siebie, ślizgali się, obryzgiwali wodą. Zanim wreszcie usadowili się na rufie, byli prawie tak mokrzy, jakby przed chwilą pływali.

Weston włączył latarkę, uprzedzając Farleya, że już wypływają i dając mu znak, żeby zapalił przyćmione światło, wskazujące im drogę. Sam wskoczył do tratwy niemalże bez wysiłku, w porównaniu

ze zmaganiem tamtych. Jedno wiosło leżało swobodnie, drugie było uwięzione. Kiedy silnie je pociągnął, usłyszał przeraźliwy krzyk siedzącego na nim mężczyzny, który gwałtownie podskoczył, powodując potężne kołysanie tratwy. Weston pomyślał, że chyba byłoby bezpieczniej znaleźć się poza nią.

Umocował wiosła w dulkach i ruszył na przód. W tamtą stronę wiosłowanie szło mu opornie, ale teraz było jeszcze bardziej uciążliwe pomimo korzystnego prądu. Odczuwał przejmujący ból w mięśniach i groźne drętwienie palców.

Kiedy znaleźli się przy burcie jachtu, Farley przywitał ich w typowy dla niego sposób.

— Do diabła, gdzieście się podziewali? Zawieruszyliście się na jakimś cholernym pikniku? — przeszedł na hiszpański. Kiedy pasażerowie wstali, tratwę zaczęło bujać. Jeden z nich stracił równowagę i o mało nie wpadł do wody. Farley klnąc po angielsku, wychylił się ponad relingiem i z pomocą Westona wciągnął obu na pokład.

— Pospiesz się. Podwieś szybko tratwę. Załogi łodzi patrolowych jakoś nie mogą spać dzisiejszej nocy. A poza tym, jeżeli nie zanoszą na burzę, to ja jestem święty turecki, bez względu na to, co mówi prognoza pogody.

— A co z tamtym facetem?

— Co ty gadasz?

— Czekają ich trzech. Mogłem wziąć tylko dwóch, trzeciego zostawiłem na plaży, mówiąc, że po niego wrócę.

Farley odwrócił się, żeby porozmawiać z Hiszpanami, którzy stali na rufie, mokrzy i przygnębieni. Odpowiadali równocześnie i dopóki Farley nie wytłumaczył jednemu z nich, żeby był cicho, nie mógł zrozumieć, co mówili.

— Szkoda, że nie mieli ich jeszcze więcej, do cholery, najlepiej kilka tuzinów. Płyn po tego głupiego skurwysyna — Jason przeklinał.

Weston zwolnił cumę i wiosłował już z powrotem w kierunku plaży. Trzeci Hiszpan dostał się na tratwę bez większego trudu, zupełnie inaczej niż jego niezdarni towarzysze. Kiedy się zorientował, że Weston słabnie przy wiosłach, chwycił za jedno. Posługiwał się nim, stosując, jak większość wiosłarzy na Morzu Śródziemnym, energiczne wyrzuty w przód. Przesiadł się na Cristinę II równie zwinnie jak Gary.

Zanim umocowano tratwę, jacht osiągnął już maksymalną prędkość. Trzymali kurs na północny wschód. Fala szła od dziobu z lewej burty, a przechył boczny wprawiał łódź w szarpiący ruch śrubowy, który bezustannie wybijał dziób z rytmu. Zapadał się on w dół grzebieni fal, wydając głuche, spazmatyczne odgłosy i wzbijając całe ściany pyłu wodnego.

Kiedy Weston wszedł do salonu, zobaczył dwóch pasażerów siedzących bezładnie w fotelach. Najwyraźniej dokuczały im objawy choroby morskiej. Obaj byli w średnim wieku, mieli nalane twarze i sflaczałe ciała, typowe dla ludzi przejadających się i zaniedbujących ruch. Raczej nie wyglądali na terrorystów.

Trzeci pasażer był w sterówce. Stał obok fotela z lewej burty. Był zdecydowanie młodszy od swoich towarzyszy i w przeciwieństwie do nich sprawiał wrażenie, że jest w dobrej kondycji fizycznej. Mówił bardzo szybko po hiszpańsku. Farley udzielał mu krótkich odpowiedzi.

— Koniecznie chce wiedzieć, kim jesteś, ponieważ załoga miała być hiszpańska — Farley zwrócił się do Westona. — Powiedziałem mu, że spodziewaliśmy się tylko dwóch pasa żerów, a wtedy byłaby nas czwórka.

Hiszpan znów się rozgadał i wkrótce wybuchła zażarta sprzeczka. Farley już gorzej nie mógł pograć, kiedy zaczął mówić do Westona, złościąc się i nie zważając na to, że Hiszpan prawdopodobnie wszystko rozumie.

— Tyle w nim cholernej podejrzliwości, że gotów byłby udowodnić własnemu ojcu, iż to właśnie on jest jego synem — ciągnął swoje Farley. — Musiałem mu wyjaśnić, że jesteś moim kumplem od niepamiętnych czasów, że byłeś w Restinie, kiedy Miguel wyładował w szpitalu, że ufam tobie bardziej niż samemu sobie i własnej żonie, że... — Przerwał, kiedy fala pochwyciła dziób i rzuciła jachtem na prawą burtę. W pośpiechu dał ster na lewą burtę. — Idź posłuchać lokalnego komunikatu, dobrze? Radio nastawione jest na stację Alacho, która co godzinę podaje prognozę dla statków, najpierw po hiszpańsku, a potem w języku, który oni nazywają angielskim.

Radio stało na półce przytwierdzonej do przedniej ściany salonu. Weston włączył odbiornik i już po kilku minutach muzyki nastąpiła przerwa. Później podano sygnał czasu, po którym odezwał się głos

hiszpańskiego spikera, mówiącego tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą. Gary czekał, przyglądając się dwójce pasażerów. Ciekaw był, który z nich pierwszy dostanie choroby morskiej. Spiker przeszedł teraz na angielski i, wbrew temu co sugerował Farley, rozumiało się go z łatwością.

— Wreszcie się zdecydowali, że nadciąga sztorm — oznajmił Weston po powrocie do sterówki. — Siła wiatru może dojść do siedmiu, morze będzie wzburzone.

— Czy to mieć jakieś znaczenie? — spytał Hiszpan.

— Sztorm zawsze ma znaczenie — Farley odparł lakonicznie.

— My być na czas?

— Jachtem dopływa się na czas wtedy, kiedy morze mówi tak.

— Musieć być na czas.

— Wobec tego porozmawiaj sobie z Panem Bogiem.

— Ty nie rozumieć.

— Rozumiem bardzo dużo. Jeżeli stan wiatru i morza przybiorą na sile zgodnie z prognozą pogody, weźmiemy kurs na najbliższy port.

— Ty tego nie zrobić.

Farley, zdumiony, przyjrzał się Hiszpanowi. W tym samym momencie zuchwała fala wałnęła z hukiem o dziób i zmiotła ich z kursu. Jason, który szczylił się swymi umiejętnościami w prowadzeniu jachtu, zaklął, zanim przestawił ster. Łodzią straszliwie szarpnęło. Weston zdołał chwycić się pulpitu i wesprzeć na nim, ale Hiszpanem rzuciło na ścianę sterówki.

Farley, zgarbiony, uważnie patrzył przez bulaj, jak gdyby chciał przebić wzrokiem ciemności, spojrzeć ponad horyzont i ocenić potęgę żywiołu.

ROZDZIAŁ 7

O świcie morze było wzburzone i wciąż utrzymywała się fala, zmieniając tylko natężenie. Cristina II spisywała nawet lepiej niż wskazywałaby na to wcześniejsza, nie pozbawiona pewnej dozy pogardy relacja Farleya. Jednak łódź nie sprawiała wrażenia szczęśliwej, ponieważ utraciła prawie wszystkie swoje zalety w wyniku zmniejszonej prędkości. Gwałtownie podnosiła i opuszczała dziób, wchodziła w duży przechył, poruszała się szarpiącym, śrubowym ruchem. Wszystkimi nie zabezpieczonymi przedmiotami rzucało po pokładzie. Fordek często zalewała woda, która miała zielony kolor. Radar odmówił posłuszeństwa, a głuche odgłosy wydobywające się z kadłuba i pokładu, zamiast uspokajać, były teraz bardzo stresujące.

— Wyjdź na zewnątrz i zobacz, co wyczynia wiatr — Farley musiał krzyknąć, żeby jego głos przebił się przez huk sztormu.

Weston wybrał moment, w którym jacht był względnie stabilny i wyszedł na nawietrzną burtę, próbując przedostać się na przód. Mocno wspierając się na nogach i kurczowo trzymając relingu, stanął twarzą w twarz z wiatrem. Pył wodny sprawił, że po kilku sekundach był kompletnie przemoczony.

— Wiatr tężeje — oznajmił po powrocie do sterówki.

Dziób wspinał się w górę i opadał z trzaskiem na nacierające fale. Zielone masy wody chwytały go w swoje władanie i eksplodowały wirującym pyłem, który wzbijał się niemal po linii horyzontu, uderzał o przednią ścianę nadbudówki z prawdziwie artyleryjskim hukiem i na pewien czas przesłaniał widok przez bulaje.

— Czas poszukać zacisznego miejsca — powiedział Farley.

Pochylił się do przodu i zwolnił obie dźwignie regulujące dopływ paliwa, żeby jeszcze bardziej zredukować prędkość. — Weź mapę i podaj mi kurs do najbliższej zatoki.

Niewielki stolik nawigacyjny znajdował się pod tylną ścianą. Weston zapalił umieszczone nad nim światelko i studiował rozłożoną mapę, którą przytrzymało wystające naokoło obramowanie. Po raz ostatni zaznaczali pozycję pół godziny temu, wykorzystując dane pochodzące z elektronicznego nawigatora. Weston posłużył się teraz cyrklem, aby określić brakujący półgodzinny przebieg obecnym kursem. Wybrzeże północne i zachodnie nie było zachęcające ze względu na skały i brak osłony przed żywiołem. W kierunku wschodnim znajdowała się zatoka z niewielkim portem o nazwie San Balieu. Za pomocą dwóch linijek określił kurs, którym należałoby tam płynąć, i naniósł go na mapę.

Krótkimi krokami, prawie bez odrywania nóg od podłoża, ruszył z powrotem. Była to jedyna metoda bezpiecznego przemieszczania się.

— Mamy tylko jedną możliwość — San Balieu. Oznacza to zwrot i kurs zero pięć jeden, biorąc poprawkę na błąd kompasu.

Farley wzruszył ramionami. Nie byli przecież w stanie utrzymać na tyle precyzyjnego kursu, żeby błąd kompasu miał jakiegokolwiek praktyczne znaczenie.

— Stawaj obok — zarządził Farley.

Oceniając zbliżające się fale i ich skutki nie do przewidzenia, a także odwołując się do własnych umiejętności i intuicji, nabytych latami doświadczenia, czekał teraz na odpowiedni moment, żeby dać ster na prawą burtę.

Przez chwilę wydawało się, że wszystko pójdzie bez problemu, lecz nagle pochwyciła ich krótka, szarpiąca fala, która natarła szybciej niż to robiły jej poprzedniczki. Jachtem zaczęło gwałtownie miotać, przemieszczał się jakby spiralnie, a wszystko to nadwierało kadłub i cały takielunek. Farley ze wzmoczoną uwagą przeprowadził ich przez nawałnicę i wszedł na nowy kurs.

— Ile potrzebujemy czasu na dojście? — krzyknął.

— Około trzech godzin.

— Przydałaby się przerwa na kawę. Przejmij ster.

Weston stanął przy fotelu z lewej burty. Farley czekał, aż wyrównali kurs, żeby ześliznąć się z siedzenia. Gary zajął już miejsce przy kole sterowym.

Najmłodszy z trójki Hiszpanów szedł właśnie do sterówki, z trudem trafiając na stopnie, kiedy mocniej zakołysało łodzią. Chwycił się oparcia drugiego fotela i zdenerwowany zaczął mówić coś po hiszpańsku. Farley mu odpowiedział, a potem wszczęli kłótnię. Hiszpan jedną ręką nerwowo gestykułował, a drugą mocno się trzymał.

— Ten głupi bękart chce wiedzieć, dlaczego zmieniliśmy kurs — Farley odezwał się po angielsku. Specjalnie mówił powoli, dając wyraźnie odczuć Hiszpanowi, że życzy sobie, aby go rozumiał. — Uważa, że bez względu na stan morza powinniśmy nadal płynąć tamtym kursem. Jeszcze się domaga, żebym przyspieszył.

— Rób, jak kazać.

— Ja tu jestem kapitanem, a na morzu kapitan jest sam sędzią, ławą przysięgłych i katem. Dlatego nie zmienimy kursu i nie popłyniemy szybciej. Dzięki temu będziemy mieli szansę dotarcia do portu, nie narażając jachtu na śmiertelne niebezpieczeństwo.

— Radzić ci zmienić kurs.

Odpowiedź Farleya była krótka i węzłowata.

Wyglądało na to, że Hiszpan analizuje w milczeniu argumentację kapitana. Przez chwilę przyglądał mu się z wściekłością, aż nagle sięgnął ręką pod lnianą marynarkę i wyciągnął pistolet automatyczny z bardzo krótką lufą.

— Zmieniać kurs. Ale już — wykrzyknął.

Z początku Farley był tak zaskoczony, że nie zrobił nic. Jednak po chwili lekko się przygarbił i, starając się wyczuć kołysanie łodzi, zrobił krok do przodu.

— Oddaj mi to i zjeżdżaj ze sterówki, albo będę musiał wciśnąć cię do szpicgatu.

— Ja strzelać.

— Niedoczekanie twoje — powiedział Farley ze złośliwą pogardą w głosie. Nie dopuszczał do siebie strachu. Hiszpan zrobił szybki ruch w przód, po raz pierwszy zachowując równowagę na rozhuśtanym jachcie.

— Zmienić kurs albo ja strzelać — przyłożył wylot lufy do szyi Westona.

Gary'emu wydawało się, że czuje dotknięcie silnie zmrożonego lodu. Po raz pierwszy śmierć stanęła przy nim tak blisko.

Farley mógł nie lękać się o siebie, lecz bał się o Westona.

— Posłuchaj. Mnie podobnie jak tobie zależy na dotarciu do celu na czas — powiedział. — Bez względu na to, jak ten jacht radzi sobie w niepogodę, mamy sztorm, który przybiera na sile, i musimy się schronić. Jeżeli wrócimy do poprzedniego kursu i szybkości, ryzykujemy zatonięciem.

Hiszpan nie odpowiedział od razu. Tymczasem Farley popełnił błąd. Zamiast milczeć i czekać, aż gwałtowne rzucenie jachtem potwierdzi prawdziwość jego słów, próbował rozładować straszliwie napiętą sytuację za pomocą marnego dowcipu.

— Obawiasz się, że przyplyniesz dzień później? — spytał. — Spóźnianie się jest przecież starym, hiszpańskim zwyczajem.

— Zmieniać kurs albo ja strzelać! — wydarł się Hiszpan.

— Wygląda na to, że on naprawdę ma zamiar to zrobić, Aggie — Farley zwrócił się do Westona. — Lepiej będzie, jak się go posłuchasz. Zawróć, jak możesz najszybciej.

W takich warunkach zmiana kursu nie jest wskazana. Dlatego, jeżeli ktoś znalazł się już w sytuacji przymusowej, powinien wykonać manewr bardzo powoli i niezmiernie uważnie. Weston był przekonany, że Farley mówił, aby tym razem zmienić kurs brawurowo, mając nadzieję, że gwałtowny przechył zmiecie Hiszpana z nóg. Ostro obrócił kołem i dał na lewą burtę.

Fale przewalały się przez pokład i przez kilka sekund dziób opadał w prawo. Jacht wreszcie posłuchał się steru i odbił w lewo. Zielone masy wody wtargnęły na przedni pokład, jak gdyby eksplodując na ścianie sterówki. Dostali taki przechył, że górna część burty znalazła się pod wodą. Po chwili rzuciło nimi gwałtownie na przeciwległą burtę...

Zarówno Hiszpan, jak i Farley, który przygotowany był na to, co się stanie, upadli na podłogę. Farley pozbierał się pierwszy i kiedy próbował wstać, poślizgnął się prawą nogą na leżącym ołówku i padł ponownie. Tym razem Hiszpan pierwszy stanął na nogi i znów przyłożył lufę pistoletu do szyi Westona. Farley zebrał się w sobie,

kiedy minęły już skutki popełnionego błędu, chociaż Hiszpan najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że żaden sternik nie zmieniłby kursu w taki sposób, jeżeli nie miałby zamiaru okaleczyć załogi.

— Jak daleko mieć do Restina? — Hiszpan spojrzął na zegarek, końcem lufy dźgając szyję Westona.

— Nie umiem powiedzieć bez mapy — odpowiedział Weston niewyraźnie.

Podczas gdy Hiszpan mówił coś szybko w swoim języku, Farley przeszedł ostrożnie do stolika nawigacyjnego. Wystające obramowanie chroniło mapę przed wypadnięciem; dodatkowe zabezpieczenie stanowiło ciężkie, wypełnione piaskiem płótno. Kapitan usunął je ze stolika, wziął do ręki cyrkiel, ustawił go na szerokość pięciu minut i zaznaczył ukłuciem odległość, dzielącą ich od obecnej orientacyjnej pozycji, do Restiny.

— Dwanaście godzin — oznajmił.

— My dopłynąć do wieczora?

— Jeżeli zostawimy obecny kurs i nie zmienimy prędkości, najprawdopodobniej nie dopłyniemy ani dzisiaj wieczorem, ani kiedykolwiek.

— Szybciej.

— Nie da rady, do diabła. Już teraz prowadzimy ryzykowną grą. Jeżeli choć trochę przyspieszymy, może nawet nie wystarczyć czasu, żeby się pomodlić.

— Szybciej albo ja strzelać.

— Czyżbyś był ślepy, do cholery? Spójrz na wysokość fali — Farley wskazał lewą ręką.

Kiedy Hiszpan wyjrzał odruchowo przez bulaj, Farley podniósł ciężką, lnianą narzutę i rzucił nią. Wtedy łódź przechyliła się, a on nie był aż tak szybki, żeby skorygować swój rzut. Płachta z piaskiem niedosięgnęła głowy Hiszpana, lecz z trzaskiem uderzyła w ścianę. W tym momencie padł strzał. Kula trafiła w prawe ramię Farleya, a siła rażenia była tak duża, że odrzuciła go do tyłu. Najpierw upadł na stolik nawigacyjny, a potem runął na podłogę.

Hiszpan raz jeszcze przystawił lufę pistoletu do szyi Westona i teraz zrobiło się naprawdę gorąco.

— Przyspieszyć — krzyknął.

Zszokowany Weston pochylił się do przodu i lekko przesunął obie dźwignie regulujące dopływ paliwa.

— Jeszcze, jeszcze.

Powtórzył manewr.

— Z jaką prędkością teraz płynąć?

— Dziesięć węzłów — odparł Weston, mając nadzieję, że obeznanie Hiszpana z morzem jest wystarczająco słabe, by nie zorientował się, że obecny wzrost obrotów silnika nie mógłby spowodować podwojenia prędkości.

Wiatr osiągał w porywach siłę ośmiu stopni. Morze stawało się coraz bardziej wzburzone i nieokiełznane. Fałom brakowało jakiegokolwiek rytmiczności — bezustannie rozbijały się o przedni pokład, a masy wody przewalały się z hukiem w kierunku rufy. Dziobowa część relingu z lewej burty chyliła się do wewnątrz, jak gdyby przekreśliła go niedbale jakaś potężna łapa. Jeden z bulajów w sterówce popękał, wpuszczając do środka cienką strużkę wody. W części mieszkalnej jachtu wciąż się coś przetaczało, wywołując głuche odgłosy kadłuba na całej długości.

Farley leżał na podłodze z nogami unieruchomionymi w szafce. Jego twarz, w miejscach, gdzie nie rosła broda, była blada i naprężona. Lewą ręką przyciskał zakrwawioną chusteczkę do rannego ramienia. Hiszpan siedział na kanapce z prawej burty, z pistoletem na kolanach. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie nieświadomego zagrażających niebezpieczeństw. Zasiadający z lewej burty na miejscu sternika Weston wykrzesywał z siebie wszystkie nabyte kiedyś umiejętności — a także i te, których być może jeszcze nie posiadał — próbując ratować ich przed sztormem. Przewidywał sytuacje, oceniał je, korygował swoje ruchy, traktując ster podobnie jak kierowca rajdowy, manewrujący kierownicą ferrari na wyścigach formuły jeden.

Morski żywioł przybierał na sile. Było coraz bardziej oczywiste, że, jeżeli nie zmienią kursu i nie zmniejszą szybkości, praktyka i szczęście nie wystarczą, żeby utrzymać się na powierzchni.

Musimy kierować się do portu — rzucił nagle Weston, przerywając długie milczenie.

— Nie — zaprotestował Hiszpan.

— Przynajmniej pozwól mi zredukować prędkość.

— Niczego nie wolno zmieniać.

— Czy ty, do cholery, nie rozumiesz, że jak będziemy płynąć tak dalej, to się potopimy? Co znaczy, do diabła, jeden dzień spóźnienia wobec alternatywy śmierci pod wodą? — wykrzyknął leżący na podłodze Farley.

— Jutro być w Bajols.

— Prędzej znajdziemy się w piekle! — Farley opuścił głowę, mocniej przyciskając ramię. Nie mógł powstrzymać się od jęku.

Hiszpan niczego nie rozumie, pomyślał Weston. Każda motywacja jest w nim silniejsza niż instynkt samozachowawczy. Dalsze trwanie w tym musi doprowadzić do niechybnej katastrofy. Czy próbować wytrącić mu broń? W tym celu musiałyby puścić ster. Zaledwie kilka sekund wystarczyłoby, żeby dziób jachtu odpadł z kursu. Bez możliwości natychmiastowego skontrowania sterem, doszłoby do wywrócenia jachtu. A potem nie trzeba by już zbyt długo czekać, żeby roztrzaskał się do reszty, a jego rozbite szczątki unosiły się na falach. Mógł zrobić tylko jedno — zmienić kurs w taki sposób, aby zbliżyć się do brzegu i na dodatek wykonać manewr po mistrzowsku, w sposób przez nikogo nie zauważony. Przynajmniej miałoby większe szanse uratowania się, gdyby jacht zatonął. Prawdopodobieństwo byłoby zresztą podobne jak w przypadku pasażera odrzutowca, którego silniki płoną na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

O godzinie 3.15 po południu, po pięciu godzinach spędzonych przy sterze, zmęczenie, napięcie i strach wreszcie chwyciły Westona w pułapkę. Popułnił błąd — nie zdołał właściwie ocenić nadchodzącej fali, której grzbiet już zaczynał się załamywać. Dziób z trzaskiem odskoczył na prawo. Siła uderzenia wprawiała kadłub w potężny wstrząs. Następna fala, która przyszła natychmiast po tamtej pierwszej, załamała jacht po burty. Kiedy Weston zaciekle zmagał się ze sterem, żeby dać go na lewą burtę, trzecia fala załamała się już nad ich głowami.

Farley, czołgając się, uderzył w ścianę sterówki. Hiszpana rzuciło na podłogę. Pistolet wyśliznął mu się z rąk. Weston, trzymając się jedną ręką fotela, pomimo przechyłu jachtu, drugą dosięgnął dźwigni regulujących dopływ paliwa i przestawił je. Próbował użyć

pokręteł, aby wzmóc siłę obrotu płetwy sterowej. Dziobu nie było już widać pod masami kłębiącej się wody. Nagle jednak Weston poczuł, że zaczyna się on wynurzać, w miarę jak jacht opadał na prawo. Kiedy już wydawało się, że istnieje szansa ratunku, następna fala zwała się na nich z trzaskiem, wyłamując część kadłuba. Woda zaczęła się wlewać do środka.

ROZDZIAŁ 8

Jachty są jak ludzie — umierają szybko albo powoli konają. Cristina II bardzo prędko zakończyła swój żywot. Przewalało się przez nią coraz więcej fal, zatapiających kadłub. Forpik pozostał nietknięty, dzięki czemu jacht zachowywał jeszcze pływalność. Nie było to jednak korzystne, ponieważ wytworzone nierównomierne naprężenia przekraczały wytrzymałość kadłuba, który po serii silnych wstrząsów przełamał się. Część rufowa z potwornie ciężkimi silnikami zatoneła natychmiast. Część dziobowa unosiła się jeszcze przez chwilę na powierzchni. Wkrótce poddała się i również poszła na dno.

Można przygotować się na wypadek katastrofy, jednak kiedy już nastąpi, poraża naszą psychikę do tego stopnia, że wszelkiego rodzaju zabiegi przygotowawcze idą w niepamięć. Reakcje stają się automatyczne i pozbawione jakiegokolwiek logiki. Początkowo Weston odczuwał jedynie chaos jako całkowicie bierna ofiara. Później zwyciężył strach, przywracając mu zdolność myślenia. Był teraz pod wodą i rozsadało mu płuca. Desperacko machał nogami, usiłując wydostać się na powierzchnię, która stanowiła istotną część chaosu i dlatego z powrotem opadał na dno. Oddychał w wodzie, płuca przeszywał mu ból i wiedział, że umiera. Wiedział również i to, że ci, którzy uważali topienie się za względnie łagodny sposób umierania, nie mieli o tym żadnego pojęcia.

Uderzył o coś lewą ręką i chwycił to instynktownie. Przedmiot okazał się wystarczająco duży, aby można było dzięki niemu utrzymać się prawie na powierzchni. Nie potrzebował teraz tyle czasu i energii na forsowne ruchy powrotne. Kiedy już wypłynął, był w stanie zaczerpnąć trochę powietrza, nie zmieszanego z wodą.

Fale stawały się jakby coraz bardziej strome i nieujarzmione. Kiedy cisnęło nim gdzieś w dół na jakąś przeszkodę, powietrze uszło mu z płuc, stracił oddech, wciągnął wodę i zaczął się nią dławić. Przekoziółkował i bezwiednie zarył w czymś palcami, żeby zatrzymać się w bezruchu. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że ma pod sobą piasek.

Kiedy wstał, staniając się na nogach, dostrzegł, że w rzeczywistości prowadził jacht znacznie bliżej lądu, aniżeli miał zamiar. Tak blisko, że zaledwie po pół godzinie mogliby osiąść na mieliźnie, tyle tylko że brzeg byłby kamienisty, nie piaszczysty.

Dom, w którym znalazł pomoc, należał do pary Włochów. Dali mu suchą odzież i trochę brandy. Zawołali lekarza i zawiadomili policję. Lekarz, z typową dla Hiszpana obojętnością na cierpienie, jeżeli nie wygląda ono na śmiertelne, stwierdził, że pacjent nie jest ranny i nic mu nie dolega. Dwóch policjantów — kapral i sierżant — okazując charakterystyczny dla hiszpańskich funkcjonariuszy brak zainteresowania czymkolwiek, a tym bardziej we wczesnych godzinach porannych, najwyraźniej nie wiedziało, co z nim zrobić. W końcu, kiedy przestali już ziewać, posłali po tłumacza i postanowili spisać zeznania.

Do salonu dochodziły odgłosy wiatru, który grał na żaluzjach. Weston pragnęły mieć trochę więcej czasu na zastanowienie się, co powinien mówić. Wszystko było aż nadto oczywiste, z wyjątkiem zakończenia. Jeżeli powie prawdę o rejsie do Maroka i wyjaśni, dlaczego nie mogli schronić się w zacisznym miejscu, co zrobiłby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach, skutków nie da się przewidzieć. Zakładając, że jego pierwotne przypuszczenia były słuszne i wszyscy trzej są terrorystami — pomijając fakt, że miało ich być dwóch — okazałby się winny popierania terroryzmu i współpracy z terrorystami. W Hiszpanii prawdopodobnie wymierza się za coś takiego bardziej surowe kary aniżeli w Wielkiej Brytanii. Jeżeli cała trójka to zwykli przestępcy, ratujący się ucieczką, zostanie obwiniony za udzielenie im pomocy. Intuicja mówiła mu, że jest kilka przyjemniejszych miejsc od marokańskiego więzienia. Jeżeli będzie się

broniał, wysuwając argument, iż działał pod przymusem, albo mu nie uwierzą, albo oświadczą, że presja nie stanowi żadnego usprawiedliwienia dla przestępcy...

— Zaczynamy señor — powiedział zniecierpliwiony sierżant, wpadając tłumaczowi w słowo. Miał smutne, brązowe oczy, krzaczaste wąsy i odruch skubania prawego ucha.

— Wy płynęliśmy z Restiny... — Weston zaczął po chwili namysłu.

Razem z Farleyem postanowili odbyć rejs wzdłuż wybrzeża. Słyszeli prognozę pogody, która wspominała wprawdzie o huraganowym wietrze, ale nie zdawali sobie sprawy ani z tego, jak szybko rozpełta się letni sztorm na Morzu Śródziemnym, ani z tego, jak będzie zaciekły. Zlekceważyli ostrzeżenia i znaleźli się niespodziewanie w samym środku okrutnego żywiołu. Potem popełnili fatalny błąd, płynąc ze zredukowaną prędkością z powrotem w kierunku Restiny, zamiast wziąć kurs do najbliższego portu. Nie zrobili tego, ponieważ zaproszeni byli na przyjęcie...

Sierżant popatrzył na kaprala, wzruszył ramionami i spojrzął na Westona z pogardą, którą łagodziła świadomość, że świat zamieszkuje durnie.

— Czy wie pan, co się w ogóle stało z tym drugim señor?

— Nie mam pojęcia. Tonęliśmy bardzo szybko, a morze było ogromnie wzburzone...

— Gdzie mieszka señor Farley?

— W Restinie albo gdzieś w pobliżu. Nie wiem dokładnie.

— Nie wie pan, gdzie on mieszka?

— Jestem tutaj na wakacjach i spotkałem go przypadkiem — Weston chciał natychmiast rozwiać jakiegokolwiek podejrzenia, które mogła wzbudzić tamta odpowiedź. — Widywaliśmy się w moim hotelu albo w kawiarni. Nigdy nie zapraszał mnie do siebie.

— Czy on gdzieś pracuje?

— Nie sądzę.

— Proszę nam go opisać — wyraz twarzy sierżanta wskazywał, że ma wyrobiony pogląd na temat bogatych, próżniących cudzoziemców.

Zazwyczaj trudno jest opisać drugą osobę, ale tym razem ruda broda Farleya znacznie ułatwiała zadanie. Nie mogło przecież być

zbyt wielu mężczyzn noszących zmierzwiłone, kędzierzawe, rude brody.

— Gdzie pan mieszka w Anglii?

Weston podał adres.

— Jak pan wróci do hotelu, proszę zgłosić się na tamtejszy posterunek policji i pokazać im paszport — sierżant wstał. — Miał pan szczęście, señor. Gdyby to się stało dalej od brzegu... — policjant wzdrygnął się.

— Dajcie mi znać, jeżeli... jeżeli mój przyjaciel się odnajdzie?

— Oczywiście. Poprosimy pana o dokonanie identyfikacji.

Sierżant uściśnął mu dłoń z ceremonialną uprzejmością. Kapral i tłumacz zrobili to samo i cała trójka wyszła.

— Chyba przydałby się panu jeszcze jeden drink, zanim pojedziemy do Restiny — powiedział Włoch łamaną angielszczyzną. Drink rzeczywiście bardzo był Westonowi potrzebny.

W piątek rano udał się po raz drugi nadmorską promenadą na posterunek policji, który zgodnie z tradycją, mieścił się przy głównym placu. Biuro śledcze znajdowało się na lewo od wejścia w kształcie łuku. Wszedł do środka. Kapral spojrzał zza biurka i potrząsnął głową. Ciała Farleya nie znaleziono. Weston wyjaśnił, że następnego dnia wraca do Anglii. Kapral mu przytaknął, ale Gary był całkowicie pewien, że tamten niezupełnie go zrozumiał.

Kiedy Weston wyszedł już ze strefy cienia, rzucanego przez budynek policji, i znalazł się w palącym słońcu, rozmyślał nad tym, czy morze wyrzuci kiedyś na brzeg któreś z czterech pozostałych ciał. Jeżeli wypłyną zwłoki Farleya, czy widoczna będzie rana od kuli? Jeżeli któregoś z Hiszpanów, czy cokolwiek wskaże na związek zwłok z Cristiną II. Pomyślał cynicznie, że czas działa na jego korzyść.

ROZDZIAŁ 9

Gdyby przyszło Westonowi wybierać, mieszkałby na wsi, ale Stephanie nawet w myślach nie dopuszczała takiej ewentualności. Dla niej świat kończył się na pierwszym zielonym polu. Taksówkarz zatrzymał wóz przed Francavillą. Gary zastanawiał się czasami, czy jest gdzieś w Anglii jakiś dom o równie niestosownej nazwie. Francavilla powinna stać nad Morzem Śródziemnym, które można by obserwować wprost z tarasów ocienionych urokliwymi, łukowymi sklepieniami. Tymczasem jest to toporna, ciężka budowla w stylu z czasów Edwarda VII, zaprojektowana z zamiarem podkreślenia zamożności właściciela. Stanowi jeden z nielicznych w okolicy domów z widokiem na tereny zielone. Większość jemu podobnych wyburzono i zastąpiono luksusowymi apartamentami.

Weston zapłacił kierowcy, wysiadł, przeszedł chodnikiem i otworzył bramę z kutego żelaza. Jego samochód stał zaparkowany obok garażu, który, pusty w środku pozostawiono otwarty. Pomimo usilnych starań, nie był w stanie przekonać Stephanie, żeby zamykała garaż na czas swojej nieobecności. Szedł teraz po kamiennych płytach, minął starannie utrzymany trawnik i grządki z kwiatami i znalazł się na okazałym albo beznadziejnym — w zależności od punktu widzenia — tarasie z kolumnami korynckimi i frontonem. Otworzył drewniane drzwi i wszedł do wysokiego holu. Zawsze miał wrażenie, że dom czuć starzyzną, ale stanowiło to chyba wytwór jego wyobraźni. Stephanie była przewrażliwiona na punkcie czystości. Gary spojrzął na należący kiedyś do babki zegar, który wisiał z prawej strony schodów. Ich rzeźbiona poręcz stanowiła jedyny, naprawdę elegancki akcent tego domu. Było kilka minut po szóstej. Stephanie pojechała prawdopodobnie do matki do Crosford.

Czasami miał wrażenie, że spędza tam więcej czasu niż we własnym domu. Z holu przeszedł do pokoju przyjęć, który swobodnie pomieściłby kilka drużyn rugby, następnie udał się do sąsiedniego salonu, znacznie mniejszego i bardziej przytulnego. Pod ścianą między oknami stał pięknie inkrustowany barek. Gary nalał sobie ginu z tonikiem i usiadł w skórzanym fotelu. Nie przepadał za meblami ze skóry, ale ona uważała, że ich posiadanie świadczy o dobrym guście i zamożności.

Nagle zadzwonił telefon. Gary szybko się rozejrzał i, nie widząc nigdzie aparatu bezprzewodowego, wrócił do holu. To Judy pytała, czy jest Stephanie i zaraz potem zaczęła z nim flirtować. Jego odpowiedzi oczywiście jej nie zadowalały, lecz on uważał, że żonaty mężczyzna powinien przestrzegać złożonych ślubów. Poza tym Judy dokuczala mu, prowokując go po to tylko, żeby potem się wycofać. A on nie był równocześnie hipokrytą i tchórzem... Wyznawał zasadę, że mąż nigdy nie powinien zdradzać swojej żony. Jemma i on złamali zasady Kamasutry. Uważał, że mężczyzna musi przestrzegać reguł uczciwości. Tymczasem wszystko to, w co wdał się w Hiszpanii, nie było uczciwe... Rozmowa dobiegła końca, kiedy odrzucił zaproszenie Judy, która chciała, żeby ją odwiedził następnego dnia pod nieobecność Tomma mającego grać w golfa.

Wrócił do salonu i, popijając drinka, pomyślał sobie, że życie jest proste, tylko przeżywanie go nastęcza trudności. Za wszystko, co się ostatnio wydarzyło, mógłby obwiniać Farleya. Jednak, gdyby postąpił zgodnie z własnymi zasadami, Farley nie zdołałby wciągnąć go siłą do załogi Cristiny. Czy doszłoby do tego wszystkiego, gdyby seks nie był dla Stephanie czymś tak bardzo przykrym? Zaręczyny — to dla mężczyzny czas ułudy, małżeństwo — to nieporozumienie, a rozwód — to sekretny układ. Oczywiście na początku łudził się, że jej reakcje na bodźce erotyczne zmieniają się. Po ślubie doznał gorzkiego rozczarowania, kiedy próbował uczyć ją znajdować przyjemność w tym, co ona odrzucała i uważała za odpychające. Do ugody w kwestii rozwodu nie mogło jednak dojść, ponieważ kategorycznie sprzeciwiła się takiemu rozwiązaniu. Rozwód stanowił przecież publiczne przyznanie się do porażki.

Ponieważ drzwi do pokoju przyjęć i do holu były otwarte, usłyszał, kiedy przyjechała. Stał już w przedpokoju, zanim zdążyła otworzyć zamek i wejść do środka.

— Jak się masz, kochanie? Właśnie wróciłem.

— Widzę — odpowiedziała, nie okazując zdziwienia na jego widok. Uważała, że uzewnętrznianie tego rodzaju uczuć nie przystoi osobie dobrze wychowanej. Stephanie była wysoka, szczupła, zgrabna i umiała poruszać się z wdziękiem. Jej ciemnoblond włosy kręciły się naturalnie, stanowiąc oprawę twarzy, której rysy można by opisać jako typowo angielskie — regularne, chłodne i atrakcyjne, świadczące o spokoju i opanowaniu. Miała wrodzone poczucie elegancji i zawsze wyglądała sztywno.

— Przepraszam za nagłą zmianę planów, ale...

— Zapomniałeś o umówionej na wtorek wieczór kolacji z Londonsami?

— Przykro mi, ale rzeczywiście zapomniałem.

— Wytłumaczyłam cię, mówiąc, że jesteś bardzo zapracowany.

Zatem nikomu jeszcze nie powiedziała, że został zwolniony.

— Przepraszam — usprawiedliwił się.

— Przepraszam w porę to więcej niż dwa razy przepraszam po czasie.

Uważał to za jedno z jej najbardziej denerwujących powiedzonek.

— Udał się wieczór?

— Byli Sherstonsowie.

Wobec tego dla niej wieczór musiał być przyjemny. Ona i Letitia — w niczym towarzystwie Stephanie nie czuła się lepiej — cały czas opowiadały sobie o różnych nieszczęściach.

— A jak się miewałaś?

— Bardzo dobrze. — Zawsze podnosiło ją na duchu przeświadczenie, że wszelkie dolegliwości trapiące zwykłych śmiertelników jej akurat nie dotyczą.

— Zostałem dłużej w Restinie, ponieważ spotkałem dawnego szkolnego przyjaciela Jasona — próbował podjąć jeszcze jedną próbę w celu przezwyciężenia nastroju chłodnej niechęci. — Może mógłby mi pomóc w znalezieniu pracy — zna ludzi wysoko postawionych w Public Relations.

- I udało mu się coś w tej sprawie zrobić?
 - Jeszcze nie. Telefony, które wykonał, raczej na niewiele się zdały. Okazuje się, że w tej chwili sporo ludzi z Public Relations jest bez pracy.
 - Czyli traciłeś czas.
 - Niezupełnie. Może coś z tego w końcu wyniknie. Kontakty osobiste zazwyczaj warte są więcej aniżeli kryształowy zyciorys... Nalałem sobie drinka. Napijesz się ze mną?
 - Nie teraz.
 - Widziałaś się ostatnio z matką?
 - Byłam u niej dzisiaj.
 - Jak ona się czuje?
 - Nie za dobrze, i nie chce się do tego przyznać. Chyba po raz pierwszy, pomyślał.
 - Mam nadzieję, że to nic poważnego?
 - Radziłam jej, żeby porozmawiała z lekarzem i zażądała dokładnych badań... Pójdę się przebrać. Jestem trochę zmęczona, więc zjemy coś poza domem.
 - Nie ma potrzeby. Nie jestem głodny. Pieczywo, ser i sałata w zupełności wystarczą.
- Szła dalej po schodach, jak gdyby nie słyszała, co mówił. Stephanie dobrze gotowała i kiedy się zaręczyli, powiedziała mu, że lubi zajmować się kuchnią. Jednak teraz prawie że nie przepuszczała okazji, żeby jadać na mieście. Miał wrażenie, że gotując dla niego, czuła się tak, jakby sama odbierała sobie niezależność.
- Weszła na podest i skręciła w prawo na korytarz. Kiedy zniknęła z pola widzenia, zastanawiał się, jak długo przyjdzie mu czekać, żeby zapomnieć o przyjęciu u Lordonsów. Wrócił do salonu i po raz drugi nalał sobie ginu z tonikiem. Ten drink był mocniejszy od poprzedniego.

Ponieważ Stephanie nalegała, mieli oddzielne łóżka. Do przeładowanej sypialni przylegała z jednej strony łazienka, której nigdy razem nie używali. Nie życzyła sobie, żeby widział ją naga. Z drugiej strony była garderoba, z której korzystała wyłącznie ona.

Gary wskoczył do łóżka i sięgnął po leżącą na stoliku książkę. Otworzył ją w miejscu, gdzie była zakładka, ale nie od razu zaczął

czytać. Rozmyślał, czy powinien opowiedzieć jej chociaż część tego, co wydarzyło się w Hiszpanii, na wypadek, gdyby zaistniały jakieś dalsze konsekwencje. Jeżeli wezwano by go w celu dokonania identyfikacji, oznaczałoby to, że ciało Farleya zostało odnalezione. Zwłoki trzech pozostałych mężczyzn morze mogło wyrzucić na brzeg. Bystry policjant zastanawiając się, skąd się one wzięły, przypominałby sobie o Cristinie II i dociekałby, czy ta cała historia o tym, że zaskoczył ich sztorm i że nie popłynęli do najbliższego portu, nie była przypadkiem tak potwornie bezsensowna, że...

— Garth — Stephanie odwróciła się na łóżku i spojrzała na niego. Nigdy nie używała zdrobnienia jego imienia, chociaż wszyscy naokoło tak się do niego zwracali. — Czy coś się stało? — spytała.

— Nic — odpowiedział zdawkowo.

— Czy w Hiszpanii zaszło coś, o czym mi nie powiedziałeś?

Zmuszony był teraz podjąć decyzję, na myśl o której jeszcze przed chwilą odczuwał zakłopotanie. Wybrał proste wyjście z sytuacji.

— Jedynym nadzwyczajnym wydarzeniem było spotkanie z Jasonem po λίγο wie ilu latach — oświadczył. — Zapusił brodę jak krzak jeżyn. Nigdy bym go nie poznał, ale on od razu mnie skojarzył. Wylali go z St Brede.

— Doprawdy.

Używała tego słowa, wymawiając je z intonacją opadającą, ilekroć nie chciała, żeby kontynuować temat. Ludzie, których wyrzucano ze szkoły — to nieudacznicy. Sięgnęła po książkę i zaczęła czytać.

Po piętnastu minutach, zaraz po tym, jak zgasła światło, Gary zrobił dokładnie to samo i ułożył się do snu. Tym razem nieprędko zasnął. Czy Jason albo któryś z Hiszpanów, albo obaj, a może wszyscy przeżyli? Skoro on się uratował, musi przecież istnieć jakaś szansa, tylko na ile jest prawdopodobna? Jason miał pogruchotane prawe ramię, dwaj starsi Hiszpanie wyglądali na niezdolnych do niczego, na długo przed zatonięciem jachtu. Został jeszcze tamten młody... Nie zawsze jednak wygrywa logika. Jason, który wciąż sprawiał wrażenie niezniszczalnego, mógł z trudem dotrzeć do brzegu. Gdyby mu się udało, policja jeszcze nie wiedziałaby o tym

w piątek. Nie spieszyłby się z ujawnieniem swojego ocalenia, gdyby nie miał pewności, że żaden z Hiszpanów się nie uratował i nie zawiadomił władz, pomimo tego co działo się wcześniej...

Im więcej o tym wszystkim rozmyślał, tym bardziej był pewien, że, jeżeli Farley przeżył, to przez jakiś czas nie będzie się ujawniał. Wobec tego, jak się dowiedzieć, czy on żyje? Nie miał pojęcia, gdzie mieszkał — w Restinie czy gdzieś w okolicy? Zresztą w obecnej sytuacji i tak by tam z pewnością nie wrócił. Mówił, że w Anglii bywa rzadko, więc jest mało prawdopodobne, żeby miał tutaj stały adres... Weston zaczął korygować własne myśli. Przecież Farley opowiadał o swojej siostrze Kate i o domu, w którym mieszkała i który należał do nich obojga. Jeżeli ocalał i się ukrywa, to właśnie tam należałoby go szukać. A przynajmniej powinien się z nią skontaktować. Niestety jedyna informacja o domu dotyczyła rosnącej na trawniku jabłoni... Jak nazywa się Kate? Farley nigdy nie wspominał, jak nazywała się po mężu. Jeżeli nie wróciła do nazwiska panieńskiego po tym, jak mąż odszedł z bibliotekarką, nie było sposobu ustalenia jej obecnych danych.

Gary błędził gdzieś myślami. Kiedy prawie już majaczył, będąc bliski zaśnięcia, przemknęła mu gdzieś w pamięci nazwa Anstey Cross, i ocknął się w okamgnieniu.

Stephanie wyszła po zakupy. Uznał, że to dobry moment, aby się dowiedzieć, w której części kraju leży Anstey Cross. Zatelefonował do miejscowej biblioteki, w której był dział informacji. Powiedzieli mu, że są cztery miasteczka lub osady o tej właśnie nazwie: dwie w Kent, jedna w West Sussex i jedna w Gloucestershire.

Zadzwoił do Biura Adresowego i poprosił o odnalezienie Katherine albo Catherine Farley, zamieszkałej w Anstey Cross. Przeproszał, że nie wie, czy mają szukać w West Sussex, Gloucestershire czy w Kent. Poinformowali go, że pod adresem, który podał, nie mają na liście nikogo o tym nazwisku.

Weston odłożył słuchawkę. Jeżeli ma zamiar się dowiedzieć, czy istnieje jakakolwiek szansa, że Jason ocalał, musi sam pojechać do wszystkich tych miejscowości po kolei i pytać o Farleyów.

ROZDZIAŁ 10

W środę rano, kiedy Westonowie jedli śniadanie, odezwał się w holu telefon.

— Gdzie jest aparat? — Stephanie rozglądała się wokoło.

— Przepraszam, zapomniałem go tutaj przynieść. Czy mam po niego pójść?

— Nie fatyguj się. Prawdopodobnie ktoś dzwoni do mnie, więc odbiorę w holu — mówiła znudzona i zrezygnowana jak zwykle, kiedy on zawinił.

Gary odprowadził ją wzrokiem, posmarował masłem grzanekę i zaczął jeść. Już prawie kończył, kiedy drzwi otworzyły się i do środka zajrzała pani Amis.

— To nie potrwa długo — zareagował.

Odwróciła się i zniknęła bez słowa, zapominając zamknąć za sobą drzwi. Weston stwierdził, że przebywa wśród trudnych kobiet. Pani Amis przychodziła pięć razy w tygodniu i wykonywała zwykłe prace domowe. Zawsze jednak sama decydowała, kiedy należało to robić i nigdy nie liczyła się ze zdaniem Stephanie, która zresztą i tak nie odprawiałaby jej, ponieważ w Baston Common pożądane było zatrudnianie dochodzącej regularnie pomocy domowej — mogła nawet być ograniczona na umyśle.

Stephanie wróciła, kiedy Gary nalewał sobie drugą filiżankę kawy i wsypywał dwie łyżeczki cukru.

— Dzwoniła matka — oznajmiła siadając. — Miała okropną noc i czuje się fatalnie.

— Wezwała lekarza?

— Wyszedł tuż przed jej telefonem. Stwierdził, że nic jej nie jest. Ależ z niego głupiec.

— Nie sądę. Rozmawiałem z Bertie, który również leczy się u niego i uważa go za wspaniałego fachowca — bardzo bezpośredniego,

ale nie roztkliwiającego się przy łóżku pacjenta. Osobiście wolałbym tego rodzaju lekarza, aniżeli...

— Co ty wygadujesz?

— Nic takiego, po prostu jestem pewien, że on bardzo dokładnie zbadał twoją matkę.

— Nie sądzisz, że ona sama wie, czy jest chora, czy nie?

— Całkiem możliwe, że nie zawsze.

— Cóż za niegodziwość.

— Starsze panie, mając mnóstwo czasu i niewiele do roboty, mogą uważać się za chore, podczas gdy wcale nie są.

— Posądzasz ją o kłamstwo?

— Staram się tylko wykazać, że, być może, nie ma powodu do aż tak strasznego niepokoju.

— Według twoich zasad córka nie powinna martwić się o własną matkę?

— Nie wtedy, kiedy choroba wykorzystywana jest w celu zwrócenia na siebie uwagi lub wzbudzenia litości.

— Boże, jak ty jej nienawidzisz!

— Ależ skąd. Czy ty kiedyś zrozumiesz... — westchnął.

— Powiedziała mi, że jednym z jej największych życiowych zmartwień jest twoja niechęć do niej, pomimo że robi wszystko, abyście byli przyjaciółmi.

— Owszem, w mojej obecności...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kiedy mnie widzi, robi wszystko, co w jej mocy, żeby zniszczyć nasze małżeństwo, ponieważ jest zazdrosna.

— Nie spotkałam dotąd człowieka myślącego równie opacznie jak ty — wstała. — Mam zamiar tam pojechać i przekonać się na miejscu, w jaki sposób mogłabym jej pomóc — rzuciła mu wyzwanie. Kiedy było już jasne, że on z nią nie pojedzie, wyszła pospiesznie z pokoju.

Gary dopił kawę. Nie miał wątpliwości, że obie spędzą cały dzień na opowiadaniu sobie o bezmiarze nieszczęść, których sprawcami są mężczyźni. Uświadomił sobie, że podczas nieobecności Stephanie będzie miał szansę odszukać siostrę Farleya i dowiedzieć się od niej, czy on przeżył.

Drzwi prowadzące na korytarz otworzyły się i do środka weszła pani Amis.

— Jeszcze pan nie skończył? — Jej wzrok był równie natarczywy jak zachowanie. Nie sposób uwierzyć, że ktoś taki jak ona

potrzebowałby wsparcia ze strony ruchu na rzecz wyzwolenia kobiet.

— Już wychodzę.

— Roboty starczy dla dwóch — teraz w tonie jej głosu było mniej agresji niż w słowach. Nawet czuła do niego sympatię.

Przypominała mu żonę dyrektora St Brede.

Na osłode, aby złagodzić przykrość po zwolnieniu z posady, pracodawca podarował Westonowi forda sierzę. Gary wyruszył z domu dwadzieścia minut po Stephanie. Przejechał przez Londyn. Wydo stał się na obwodnicę od strony południowej i pomknął w kierunku Canterbury. W odległości około dziesięciu kilometrów od niego znajdowała się ta wysunięta bardziej na wschód miejscowość Anstey Cross w Kent. Okazało się, że jest to duża osada, złożona w większości z domów pobudowanych w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Był tam również dom towarowy, w którym mieściła się lokalna placówka pocztowa prowadzona przez kobietę w mocno średnim wieku. Nie ulegało wątpliwości, że miała na głowie perukę i sprawiała wrażenie osoby znudzonej, pracującej na tym samym stanowisku od wczesnej młodości. Była całkowicie pewna, że nikt o nazwisku Farley nie mieszka w okolicy i żaden miejscowy nie ma rudej brody. Weston przyjął to za pewnik, że domu Farleya nigdzie w pobliżu nie znajdzie.

Dzień był słoneczny, niebo pogodne, gdzieniegdzie pokryte barankami. Postanowił bocznymi drogami dostać się do Ashford. Jazda ta przypomniła mu, jak uroczy potrafi być wiejski krajobraz. Kilkanaście kilometrów na południe od Ashford była druga miejscowość o nazwie Anstey Cross. Wioska miała znacznie bardziej tradycyjny wygląd. Składało się na to kilka starych gospodarstw, trochę parterowych domów i pub usytuowany przy skrzyżowaniu dróg. Gary wszedł do środka i zamówił gin z tonikiem. Właścicielka była raczej młoda, w miarę atrakcyjna, o bezpośrednim, chociaż nie poufałym, sposobie bycia, co dobrze działało na klientów. Spytał ją, czy zna kogoś o nazwisku Farley.

Oparła się na łokciach o kontuar i pochyliła do przodu na tyle, że, gdyby był bardzo dociekliwy, mógłby dojrzeć, jakiego koloru ma bieliznę.

— Farley? Nic mi to nie mówi.

— Mniej więcej mojego wzrostu, tylko mocniej zbudowany, z rudą brodą, która sterczy na wszystkie strony.

— Proszę chwilę poczekać. Zapytam Freda — przeszła do drugiego kontuaru. Wkrótce zjawił się starszy od niej przysadzisty mężczyzna.

— Pyta pan o faceta o nazwisku Farley? Nie znam w okolicy nikogo takiego, ale pamiętam, że jakieś cztery, może pięć miesięcy temu, był tutaj gość z niesłychanie krzaczastą, rudą brodą. Z tego, co mówił wynikało, że zatrzymał się w domu o nazwie Melton Cottage. Obawiam się, że nic więcej nie potrafię panu powiedzieć.

— Orientuje się pan, kto tam mieszka?

— Jak się nazywa ta facetka z Melton Cottage? — właściciel, po chwili zastanowienia, krzyknął w stronę dwóch mężczyzn trenujących rzuty do tarczy.

— Pani Stevens — odpowiedział niższy gracz.

— No jasne. Niedługo zapomnę, jak się sam nazywam. Z tego, co ludzie mówią nie wynika, żeby pan Stevens zaglądał tutaj ostatnio — właściciel pubu dodał jakby trochę na wyrost.

Jason mówił przecież, że jego szwagier odszedł z bibliotekarką. Weston spytał o drogę do Melton Cottage.

Po siedmiu minutach jazdy dotarł do typowego domu na farmie w Kent, położonego daleko od szosy. Zatrzymał auto przy garażu, wyglądającym na starą szopę. Podeszedł do drewnianej bramy, którą przydałoby się odmalować, zwłaszcza że rosły wzdłuż niej kolczaste krzewy, otworzył ją sobie i znalazł się w ogrodzie. Przystanął, żeby podziwiać wąską rabatkę z lewkoniami, które rosły przed domem. Wzdłuż grządki ułożone były nieduże kamienie o przedziwnych kształtach, uformowanych jakby wskutek gwałtownej erozji. Rząd kamieni zakręcał na południową stronę domu, pokrytego dachówką. Pochyła płaszczyzna dachu zaczynała się około dwóch metrów nad ziemią. Na środku trawnika rosła dorodna jabłoń. Choć Gary nie znał się zanadto na drzewach owocowych, rozpoznał ten właśnie gatunek jabłoni, o którym opowiadał Farley.

Drzwi frontowe otworzyła kobieta wzrostu Westona. Jej rude włosy miały spokojniejszy, cieplejszy odcień w porównaniu z kolorytem brody Farleya. Otaczały owalną twarz o zdecydowanych rysach,

które podkreślał jeszcze silnie wystający podbródek. Głęboko osadzone, niebieskie oczy, zadarty nos i pełne, roześmiane usta łagodziły ostrość wyrazu twarzy.

— Pani Stevens? Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale szukam osoby, której nazwisko po mężu nie jest mi znane. Nazywam się Gary Weston. Czy to pani coś mówi?

— A powinno? — kobieta przyglądała mu się badawczo.

— Jason i ja byliśmy razem w St Brede. Mógł o mnie wspominać. Czy pani jest jego siostrą, Kate?

— Tak.

— Dzięki Bogu, że udało mi się wreszcie panią odnaleźć.

— A dlaczego pan mnie szukał?

— Ponieważ... Najlepiej będzie jeżeli wyjaśnię wszystko od początku. Pojechałem na krótki urlop do Restiny, do Hiszpanii i przypadkiem spotkałem Jasona. To, co wydarzyło się później sprawia, że muszę z panią porozmawiać.

— Niech pan wejdzie — powiedziała, marszcząc brwi.

Z holu o ściętym suficie, czego powodem był długi, spadzisty dach, zaprowadziła go do salonu z belkowanym stropem i obszerną częścią kominkową. Wnętrze umeblowane było z rozbijającą ignorancją, jeżeli chodzi o jednolitość stylu. Na zasłonach bezkształtny wzór w kilku jasnych kolorach, na luźnych pokrowcach dwóch foteli — motyw róż na jasnym tle. Do tego nie dobrana kolorystycznie kanapa i dywan w ciemno- i jasnozielone cętki. Dwa stoliki okolicznościowe wyglądały nowocześnie, trzeci — wąski i długi — antycznie. Niewielka dekoracyjna serwantka była nijaka. Z prawej strony kominka ustawiono szafkę, której półki zawierały nieuporządkowaną mieszaninę twardo- i miętkooprawnych książek. Na samej górze stał ozdobny, pozłacany zegar. Na kanapie leżała rozłożona gazeta, na krześle — kłębek wełny i rozpoczęta robótka na dwóch niebieskich drutach. Telewizor był włączony. Salon należał do kogoś, kto przedkładał wygodę nad styl i komu obojętne jest, co ludzie pomyślą.

Kate wyłączyła odbiornik i usiadła, starannie obciągając bawełnianą sukienkę.

— Co wydarzyło się w Hiszpanii? — jej bezpośredni sposób bycia wielu ludzi odebrałoby jako brak wychowania.

— Miała pani w tych dniach jakieś wiadomości od Jasona? — Weston po chwili namysłu odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Nie.

— Jest pani tego pewna?

— Co za głupie pytanie. Oczywiście, że jestem pewna.

— Przykro mi, że przywożę złe wieści.

— Złe wieści dotyczące Jasona? — Kate splotła dłonie i położyła je na kolanach.

— Tak.

— Niech pan mówi dalej.

To silna kobieta, pomyślał Gary, zdecydowana przyjąć wszystko, co powiem, z podniesionym czołem.

— W ostatnią sobotę wypłynęliśmy w krótki rejs jachtem motorowym. Kiedy byliśmy na pełnym morzu rozszalał się potężny sztorm. Zaskoczył nas kompletnie i zaczęliśmy tonąć.

— A Jason?

— Mnie udało się jakoś dopłynąć do brzegu, ale ślad po nim zaginął — Weston mówił bez ogródek, uważając że złe wiadomości najlepiej przekazywać otwarcie.

— Chce pan powiedzieć, że on się utopił? — odwróciła głowę i popatrzyła w okno.

— Tak mi przykro, ale jestem niemal całkowicie pewien, że to się stało.

— Nie był pan taki pewien, kiedy pytał, czy brat się do mnie nie odzywał.

— Do piątku jego... jego ciała nie odnaleziono. Jeżeli jakimś cudem się uratował, policja nic o tym nie wie.

Nagle Kate rozplotła dłonie, wstała i pobiegła do drzwi. Po chwili usłyszał jej kroki w pokoju na górze — podłoga leżała bezpośrednio na belkach, stanowiących sufit salonu. Popatrzył przez okno na piękny, zwyczajny ogród i zastanawiał się, rozgoryczony, dlaczego życie musi być takie smutne.

Zanim zeszła na dół, minęło piętnaście minut. Miała zaczerwienione oczy.

— Przepraszam pana — powiedziała siadając.

— Żałuję, że...

— Żal niczego tutaj nie zmieni. — Zaskakiwała go szorstkość jej słów. — Dokąd płynęliście?

- W zasadzie bez celu, tak po prostu.
 - Co to był za jacht?
 - Alder i Farson. O ile dobrze pamiętam, Jason mówił, że to osiemnastometrowa łódź.
 - Musiała być bardzo dobrze wyposażona.
 - Owszem, była. — Zastanawiał się, dlaczego ona zadaje te wszystkie pytania. Czyżby próbowała odwrócić swą uwagę od złych wiadomości, które właśnie jej przekazał?
 - Jason nienawidzi pływania na silniku, dlatego tamten jacht chyba nie mógł być jego własnością.
 - Pożyczył go.
 - Od kogo?
 - Nie mam pojęcia.
 - Łódź musiała zatonać bardzo blisko lądu, skoro udało się panu dopłynąć do brzegu. Gdzie to się dokładnie stało?
 - Najbliższa miejscowość nazywa się Campet.
 - Jakim kursem płynęliście, zanim jacht poszedł na dno?
- Weston popatrzył na nią zdumiony. Odwzajemniła mu się podobnym spojrzeniem, tyle tylko, że jej twarz wyrażała autentyczną wrogość.
- Jeżeli pamiętam, był to kurs dwa sześć pięć.
- Kate wstała i wyszła z pokoju. Szybko jednak wróciła, trzymając w rękę mocno wysłużoną mapę. Rozłożyła ją na kanapie, usunąwszy stamtąd gazetę. Studiowała przez chwilę, a potem nagle się wyprostowała.
- Dlaczego pan mnie okłamuje? — rzuciła pytanie.
 - Przysięgam, że...
 - Zanim zaczniesz pan przysięgać na wszystkie świętości, chciałabym coś wyjaśnić. Jason nienawidzi jachtów motorowych do tego stopnia, że jego noga nigdy by nie postąpiła na czymś takim bez naprawdę uzasadnionego powodu. A rejs donikąd trudno uznać za wystarczający powód. Mój brat żegluje właściwie przez całe życie i nigdy nie wyruszyłby na morze, nie sprawdzwszy prognozy pogody. Słuchałby komunikatów zarówno przed wypłynięciem, jak i podczas rejsu. Nawet jeżeli prognoza nie określiłaby dokładnego zasięgu sztormu z odpowiednim wyprzedzeniem, a w lecie na Śródziemnym może rozpętać się huragan przy niemalże bezchmurnym niebie, Jason jakimś tajemniczym instynktem wyczułby wiatr. Dlatego gdyby usłyszał komunikat lub sam stwierdził, że zanosi się na

sztorm, albo w ogóle by nie wypłynął, albo, znajdując się już na morzu, natychmiast szukałby zacisznego miejsca. Nigdy nie był szaleńcem. Tymczasem, biorąc pod uwagę podany przez pana kurs, nie mógł płynąć w żadne zaciszne miejsce, chociaż znajdował się w samym środku huraganu. Tylko jakieś nadzwyczajne okoliczności mogłyby go powstrzymać przed zmianą kursu. I równie nadzwyczajne okoliczności tłumaczą pana wiarę w to, że on być może się uratował, ale nie zawiadomił policji.

— Po prostu wciąż miałem nadzieję, wbrew wszystkiemu.

— Rozumiem. A przyczyna, która nie pozwoliła mu zmienić kursu?

— Przykro mi, że mi pani nie wierzy, pani Stevens. Było jednak tak, jak powiedziałem.

— Lepiej niech pan już sobie pójdzie — jej oczy zalały się łzami.

Wyszedł.

Pojechał drogą od południa. Zwolnił dopiero przed samą Francavillą, korzystając z tego, że chodnik był pusty, od razu skręcił na podjazd i zatrzymał samochód w garażu. Mercedes był już z powrotem, drzwi garażowe pozostawiono otwarte. Zamknął swoje auto na klucz i zrobił to samo z drzwiami do garażu. Wszedł na taras, i otworzył zamek w drzwiach frontowych, zastanawiając się, w jakim humorze zostanie tym razem Stephanie. Po wizycie u matki często bywa bardziej wybuchowa niż zwykle.

Kiedy zrobił krok do przodu i odwrócił się, żeby zamknąć za sobą drzwi, zauważył leżące na podłodze na dole przy schodach rzucone ubranie. Ponieważ Stephanie nigdy nie zostawiała czegokolwiek w ten sposób, podszedł bliżej, aby się temu przyjrzeć. Nagle odkrył, że z tego czegoś wystają ręce i głowa...

ROZDZIAŁ 11

— Dam tabletki, które na kilka dni przyniosą panu ulgę — zaproponował lekarz.

Weston potrząsnął przecząco głową. Przyglądał się, jak wynoszą zielony worek, uginający się mniej więcej pośrodku. Kiedy szli w kierunku drzwi, przeraziła go ta ostatnia, pozbawiona wszelkiej godności droga Stephanie z domu, z którego była tak bardzo dumna.

— Gdyby pan zmienił zdanie, proszę do mnie zadzwonić; jeżeli poza godzinami pracy — to do domu.

— Dziękuję.

Lekarz wyszedł. Weston, oszołomiony, bez zastanowienia przystąpił do rutynowych czynności. Zamknął i zarygłował frontowe drzwi, posprawdzał wszystkie klamki okienne, przekreślił klucze i zasunął zasuwę w jednych i drugich drzwiach kuchennych. Kiedy wrócił do holu, spojrzął na poplamiony parkiet obok dywanu z wełny kaszmirskiej i ogarnęło go uczucie gorzkiego żalu na myśl o tym, że za życia Stephanie nie podjął bardziej usilnych starań, aby uczynić ich małżeństwo szczęśliwym.

Pani Amis miała klucz do drzwi kuchennych, które prowadziły bezpośrednio do przejścia dla służby. Zasuwa była zazwyczaj odsunięta przed jej przyjściem, dlatego mogła bez trudu dostać się do środka. W czwartek rano jednak okazało się, że drzwi są zaryglowane. Z pewną dozą satysfakcji nacisnęła kilkakrotnie dzwonek.

Weston obudził się przestraszony i początkowo nie mógł pozbyć się myśli. Zobaczył, że łóżko Stephanie jest przykryte narzutą i zdziwił się, jak to możliwe, że ona zdążyła już wziąć prysznic, ubrać się

i poskładać pościel, nie budząc go... Nagle umysł rozjaśnił mu się i przypomniał sobie, że w łóżku obok nikt przecież nie spał.

Dzwonek nie przestawał dzwonić. Odrzucił więc kołdrę, wstał, podszedł do wbudowanej w ścianę szafy i wyjął ręcznie haftowany, jedwabny, chiński szlafrok, który Stephanie podarowała mu dwa lata temu na Gwiazdkę. Już miał go założyć, kiedy nagle coś go powstrzymało. Sięgnął po zwyczajny, bawełniany, który miał jeszcze, zanim się pobrali.

Zszedł na dół. Przez kuchnię i spiżarnię dotarł do korytarza, a potem do drzwi. Otworzył zasuwę. Weszła pani Amis, ubrana we wzorzystą suknię, która do niej nie pasowała.

— Miał pan ciężką noc, panie W.? — powiedziała, kiedy zamykał drzwi. Nigdy nie odważyłaby się tak dowcipkować w obecności Stephanie.

— Zdarzył się poważny wypadek. Pani Weston spadła wczoraj ze schodów. Niestety nie żyje.

Rozmiar tragedii wstrząsnął nią, zwłaszcza że nie spodziewała się niczego poważniejszego niż wiadomość o stłuczeniu ulubionego wazonu.

— O, mój Boże! — Pani Amis była może nieokrzesana, a życie nie rozpieszczało jej zanadto. Nigdy jednak nie wyzbyła się współczucia wobec czyjegoś cierpienia. Starła się teraz wyrazić swój smutek i chociaż jej słowa brzmiały banalnie, kryły w sobie szczere uczucia. Weston podziękował jej, odwrócił się do drzwi prowadzących do kuchni, i starał się opanować.

— Chyba będzie lepiej, jeżeli już pójdzie pani dzisiaj do domu.

— Na pewno mogłabym się na coś przydać.

— Wobec tego proszę posprzątać w holu — powiedział po chwili wahania.

— Niech się pan nie martwi — próbowała okazać obojętność na myśl, co tam zastanie. — Proszę mi darować to pytanie, ale czy zawiadomił pan panią Badger?

— O Boże, nie.

— Najlepiej byłoby zrobić to od razu.

Przeszedł przez kuchnię i wąski korytarz do holu, a stamtąd do pokoju przyjąć. Telefon bezprzewodowy znajdował się na inkrustowanym

stoliku, a obok stało krzesło, na którym zawsze siadywała Stephanie. Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Początkowo nikt nie odpowiadał i Weston pomyślał z poczuciem tchórzliwej ulgi, że nie ma jej w domu. Kiedy jednak chciał już się wyłączyć, usłyszał afektowany głos.

— Tutaj Crosford jeden siedem sześć jeden trzy pięć — wyartykułowała z przesadą.

— Monica, mówi Gary.

— Witaj. Czyż nie piękny mamy dzisiaj dzień? — Jej niechęć do niego wyrażała się w niezawodnej, niedorzecznej uprzejmości.

— Mam bardzo złe wiadomości.

— Czy coś się stało... Stephanie?

— Niestety, zdarzył się jej bardzo poważny wypadek.

— Nie — krzyknęła, usiłując rozpaczliwie zignorować los i zaprzeczyć mu.

— Spadła z podestu schodów...

— W którym jest szpitalu? Co mówią lekarze?

— Powiedzieli, że nie cierpiała, ponieważ upadła wprost na głowę i śmierć była natychmiastowa.

— Chyba nie... Nie możesz... To nieprawda, że ona nie żyje...

— rzucała chaotyczne słowa bez związku. Wkrótce zaczęła mówić o wiele bardziej skądnie, niedwuznacznie oskarżając go o zamordowanie Stephanie.

Lekarz był człowiekiem starej daty, przejmującym się swoimi pacjentami. W drodze do domu na lunch, zajął do Francavilli.

— Chciałem się dowiedzieć, czy pozwoli pan sobie pomóc? — spytał.

— Jakoś sobie radzę — odparł Weston.

— Wie pan, są takie chwile, kiedy samoudręczenie i przekonanie o słuszności własnych cierpień — to najzwyczajniej cholerna głupota.

— Trudno to przezwyciężyć, jeżeli się było w St Brede.

— Owszem, zgoda, że angielskie szkoły prywatne mają wielki wpływ, jednak to zupełnie co innego niż... Burgess i Maclean. Czy

zastanawiał się pan nad przygotowaniem do...?

Pytanie zelektryzowało Westona.

— Do pogrzebu — dokończył lekarz. — Z mojego doświadczenia wynika, że im szybciej się do nich przystąpi, tym lepiej. Zwlekanie przysparza jedynie kłopotów. Oczywiście nie obejdzie się bez obdukcji. Nie badałem pańskiej żony od wielu miesięcy. Ale był to przecież wypadek. Dopełnimy więc tylko formalności. Rainer i Desmond — miejscowe przedsiębiorstwo usług pogrzebowych jest bardzo kompetentne i taktowne. Jeżeli nie ma pan już kogoś upatrzonego, może porozmawiałbym z nimi w pana imieniu?

— Jeżeli pan zechce.

— Czy żona kiedykolwiek wyraziła swoją wolę na temat pogrzebu? Czy życzyła sobie, żeby ją pogrzebać czy poddać kremacji?

— Nigdy nie mówiła o śmierci.

— Może napisała coś w testamencie.

— Nie sprawdzałem.

— Dobrze byłoby to zrobić i potem dać im znać.

Lekarz wyszedł. Weston zamknął frontowe drzwi i przeszedł do salonu, żeby nalać sobie drinka. Odkrył ze zdumieniem, jak mało wie o problemach, które wiążą się z czyjąś śmiercią.

Konstabl Turner zostawił swojego escorta, należącego do Wydziału Kryminalnego Policji, na parkingu. Wjechał windą na czwarte piętro komisariatu okręgowego. Przeszedł parę kroków i znalazł się w głównym biurze WKP. Usiadł przy biurku, popatrzył bezmyślnie na dużą, wyściefaną filcem tablicę ogłoszeń i pomyślał o Paulinie.

— Phil, wpadnij na jedno słówko — rozległ się krzyk od strony drzwi. W samą porę spojrzął w tamtą stronę, ponieważ komisarz zniknął mu właśnie z pola widzenia. Turner westchnął. Czy Pauline spotkała się w klubie tenisowym z tym cukierkowatym lalusiem wożącym się tam dookoła, czy też naprawdę zajęta była pracami domowymi i pomaganiem matce. Nigdy nie lubił gry w tenisa.

Turner wstał, wyszedł z pokoju i długim korytarzem powlókł się do komisarza. Zastał Watersa siedzącego za biurkiem i czytającego donos. Stanowił typowy przykład policjanta czekającego na przejście na emeryturę. Bardziej obchodziło go unikanie kłopotów aniżeli prowadzenie śledztwa w sprawie kryminalnej, ponieważ do zakończenia pracy zostało mu niewiele ponad rok. Waters posługiwał się teraz ołówkiem, którym poprawiał literówki.

— Jest tutaj doniesienie z Crosford. Pani Badger twierdzi, że zięć zamordował jej córkę.

— To dlaczego tamci z Crosford go nie przesłuchają?

Na kwadratowej, nalanej twarzy Watersa widać było przez chwilę podenerwowanie.

— Zięć mieszka na naszym terenie — dlatego. Nazywa się Weston i jest z Francavilla, Trefoil Road, Baston Common.

— Co za zniewieściała nazwa jak na dom.

— Wolałbyś Seaview? Córka miała na imię Stephanie. Wczoraj po południu, o czwartej szesnastce — jeżeli można polegać na rozbitym zegarku — spadła z podestu schodów na głowę i się zabiła. Jej mąż znalazł ją po powrocie do domu.

— Gdzie była wtedy matka?

— U siebie, w Crosford.

— To na jakiej podstawie podnosi ten cały wrzask?

— Właśnie spróbujesz ustalić.

— Panie komisarzu, jeżeli będziemy rozpatrywać każdą skargę teściowej, zaczniemy pracować dwadzieścia pięć godzin na dobę i niczego nie osiągniemy.

— Tym razem to raban o morderstwo, więc nie możemy go zlekceważyć. Rusz się.

Turner wrócił do głównego biura, zamienił słowo z innym konstabłem, podszedł do biurka i usiadł.

— Cześć Mac, jak leci? — dzwonił do koronera.

— Rozmawiasz z Tomem, a leci parszywie.

— Nie zawsze musi się układać. Co wiesz o pani Stephanie Weston?

— Kompletnie nic.

— Nie wygłupiaj się. Zmarła wczoraj, podobno wskutek wypadku, więc musi gdzieś tam być.

— Zaczekaj.

Turner odchylił się na krzesło położył nogi na biurku. Jeżeli Pauline próbuje kręcić coś z tym głupkowskim tenisistą, to on zacznie kombinować, jak zbliżyć się do tej brunetki z piekarni. Jej oczy mówią, że byłaby chętna, gdyby on...

— Jesteś tam?

— Nie, do jutra urzęduję na Bermudach.

— Panią Weston przywieźli wczoraj wieczorem. Na karcie przyjęcia jest napisane: nieszczęśliwy upadek ze skutkiem śmiertelnych urazów głowy. To wszystko. Jeszcze nie przeprowadzono wstępnych oględzin. A co tobie do tego?

— Matka denatki podnosi wrzask, że mąż jest mordercą. Czy to rzeczywiście mogło być morderstwo a nie wypadek?

— Spytaj anatomopatologa, a nie mnie.

— Powiesz mu, żeby dokonał naprawdę starannej obdukcji?

— Czyżbyś sugerował, że nie zawsze tak się dzieje? Nic z tych rzeczy, do cholery.

— W sprawie pani Weston — koroner zadzwonił w sobotę rano.

Turner, zajęty wypełnianiem formularza T 24 i skupiony, żeby się nie pomylić, musiał dobrze wysilić pamięć, by skojarzyć, o co chodzi.

— Dzisiaj dokonano wstępnych oględzin. Wygląda na to, że obrażenia głowy odniesione zostały wskutek upadku na twarde podłoże. Oprócz powstałych tuż przed śmiercią posiniaczeń brzucha nie ma żadnych śladów obrażeń. Sinoczerwone zabarwienie skóry przebiega poziomo w odległości dziewięćdziesięciu dziewięciu centymetrów od stóp.

— Jak ono mogło powstać?

— Uderzenie jakimś masywnym przedmiotem, prawdopodobnie zaokrąglonym; powiedzmy — grubym prętem.

— A może oparła się mocno o poręcz i straciła równowagę?

— Do tego, co się stało, potrzebna była większa siła.

— W porządku. Wobec tego biegła, wpadła na balustradę i wyłeciała przez nią.

- Możliwe.
- Nie mógłbyś być bardziej konkretny?
- Do czasu przeprowadzenia pełnej obdukcji nie mogę. Zresztą nawet po jej zakończeniu odpowiedź nie musi być ostateczna.
- Nie ułatwiasz mi życia.

Po telefonie Turner poszedł do pokoju komisarza, ale wycofał się, kiedy zobaczył inspektora Rentlowa.

- Co jest? — krzyknął szef wydziału.
- Nic ważnego, sir — odpowiedział podchodząc pod drzwi.
- Typowa reakcja konstabla na superważną informację. Złośliwy bękart, pomyślał Turner.
- Cóż jest takie nieważne?

— Zadzwoił koroner, panie inspektorze. Dokonano wstępnej obdukcji ciała pani Weston, ale pełnych oględzin jeszcze nie przeprowadzono. Obrażeń głowy doznała wskutek upadku. Oprócz nich jest jeszcze poziomy siniak na brzuchu powstały albo w wyniku uderzenia czymś w rodzaju masywnego pręta, albo wskutek gwałtownego zderzenia na przykład z poręczą schodów. Musiało się to wydarzyć tuż przed śmiercią.

— To jeszcze za mało, żeby stwierdzić, że dokonano morderstwa, co uparcie utrzymuje matka.

- Tak, sir. Musimy poczekać na dokładne oględziny.
- Jaki następny ruch?
- Myślę, że zmierzę wysokość poręczy schodów we Francavilla.

— To przynajmniej człowiek z inicjatywą!

Turner wyszedł. Panowało powszechne przekonanie, że Rentlowa wyznaczono do szybkiego awansu. Wtedy odszedłby z wydziału, a wiele osób już dzisiaj czekało na ten dzień. Nie dlatego, że zmuszał ich do bardziej wyťažonej pracy niż ktokolwiek inny lub nie stawał po ich stronie w razie kłopotów. Przeciwnie, traktował WKP jak doborową drużynę i dlatego miał za zadanie bronić ją przed światem zewnętrznym. Niemożliwością jednak było rozszyfrowanie, jaki był naprawdę. Jeżeli nie da się ustalić czyichś słabości, człowiek zawsze jest na pozycji przegranej.

Ponieważ obojętność nie idzie w parze z emocjami najtrudniej jest pogodzić się z faktem, iż bez względu na rozmiar nieszczęścia, świat kręci się nadal. Weston, zagłębiony w fotelu, wpatrywał się w salonie w telewizję, ale nie przyswajał ani tego, co słyszał, ani tego, co widział. Bardziej dokuczało mu poczucie winy aniżeli smutek. Będąc wobec siebie uczciwy, uświadomił sobie, że jego małżeństwo nie należało do szczęśliwych, a śmierć żony nie stanowiła druzgocącej straty, jak mogłoby być. Jednak wracał myślami do zdarzeń z przeszłości, przypominał sobie kolejne sytuacje, w których mógłby zmniejszyć dystans między nimi, gdyby przeistoczył się w mężczyznę, jakiego ona chciała w nim widzieć...

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi frontowych. Postanowił go zlekceważyć. Kiedy przyjaciele przychodzili składać mu kondolencje, trudno było określić, kto czuł się bardziej zakłopotany — oni czy on. Ponieważ śmierć stanowi współczesne tabu, nikt nie wie, jak się z nią uporać.

Dzwonek zadzwonił po raz drugi i trzeci. Weston wstał, przeszedł do holu i otworzył drzwi, przygotowany na to, że usłyszy za chwilę przyciszone słowa współczucia, które odwzajemni cichymi słowami wdzięczności.

— Pan Weston? Konstabl Turner. Przepraszam, że niepokoję pana o tej porze, ale muszę zamienić z panem kilka słów.

Przeprosiny trwały krótko i zostały dobrze przyjęte. Weston przyglądał się teraz wchodzącemu Turnerowi, który był od niego niewiele młodszy, mocniej zbudowany i niewątpliwie w lepszej kondycji fizycznej. Kwadratowa twarz, której nawet jego własna dziewczyna nie uznaby za przystojną, miała swój wyraz. Gary zamknął drzwi.

— Przyjechałem, ponieważ każdy śmiertelny wypadek, który zdarza się w domu, wymaga z naszej strony ustalenia okoliczności. Dzięki temu można prześledzić przyczyny, żeby później je opisać, by uniknąć powtórnego śledztwa. Będę się streszczał, na ile się tylko da. — Odwrócił się i objął wzrokiem hol, schody i szeroki podest na górze. — Czy żona spadła właśnie stamtąd? — spytał.

— Tak.

— Pana nie było tutaj w tym czasie?

— Nie.

— Był pan w pracy, jak sądzę?

— Nie... Czy to ma jakieś znaczenie, gdzie wtedy byłem?

— Przepraszam, panie Weston, ale, jak już mówiłam, muszę zadawać pytania, czy chcę, czy nie chcę. Czy zdarzały się żonie ostatnio omdlenia, a może skarżyła się na nagłe zawroty głowy?

— Nie. Jeżeli chciałby pan wiedzieć, jakie choroby przeżyła, najlepiej będzie porozmawiać z lekarzem domowym.

— Czasami zdarza się, że ludzie zwlekają z wizytą u lekarza, ponieważ boją się dowiedzieć, iż coś im naprawdę dolega... Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że wejdę na górę i zmierzę wysokość poręczy?

— Po co?

— Stwierdzenie, czy nie jest trochę za niska, może się okazać istotne. Zalecenie zwiększenia minimalnej wysokości balustrad mogłoby uratować w przyszłości wiele ludzkich istnień.

Turner przeszedł na drugi koniec holu i wspiął się po schodach na górę. Za pomocą rozwijanej, metalowej taśmy zmierzył wysokość solidnej balustrady, którą tworzyły owalne w kształcie słupki. Odległość od strzyżonego, wełnianego dywanu do najwyższego punktu poręczy wynosiła sto jeden centymetrów i sześć milimetrów.

Turner wyprostował się, nacisnął guziczek zwalniający taśmę, gotową teraz do zwinięcia i obserwował badawczo hol poza balustradą. Nie znalazł w nim żadnego przedmiotu, do którego denatka mogłaby sięgać — ani obrazka, który należałoby poprawić, ani lampy, w której trzeba by wymienić żarówkę.

— Dziękuję panu za pomoc. Sam sobie otworzę — powiedział po zejściu na dół.

Weston pomyślał przez chwilę cynicznie, że zdobyta informacja z pewnością niczego nie wniesie poza zamieszaniem. Kiedy wrócił do salonu, program telewizyjny zdążył się zmienić. Pokazywali teraz jakiś film przyrodniczy. Obejrzał go do końca, ale bardzo niewiele mógłby o nim powiedzieć.

ROZDZIAŁ 12

— No i co? — spytał Waters.

— Jeżeli wziąć poprawkę na wysokość obcasów i spłaszczenie dywanu, wymiary się zgadzają — oświadczył Turner, siedzący z drugiej strony biurka.

— To interesujące — Waters podrapał się po czubku głowy w najbardziej łysym miejscu.

— Równie ciekawy jest stojący w garażu mercedes 300 i zaparkowana na zewnątrz sierra. Na odległość czuć forszę.

— Do tego nie jest potrzebny mercedes. Pierwszy lepszy dom z dużym ogrodem i oknami wychodzącymi na okoliczne tereny zielone wart jest lekko licząc trzy czwarte miliona funtów.

— Aż tyle? — Turner zagwizdał.

— Gdybyś rozebrał te domy, a na ich miejscu zbudował dzielnicę, składającą się z luksusowych mieszkań, podwoiłbyś kapitał, albo i lepiej.

— Ciekawe tylko, w jaki sposób ja miałbym dokonać takich inwestycji? Panie komisarzu, mamy ładne kwiatki. Wygląda na to, że ten Weston nigdzie nie pracuje.

— A więc zastałeś go w domu. Gdybyś znalazł własną żonę martwą, popędziłbyś tak od razu do biura?

— Nie to miałem na myśli. Powiedział, że nie był w pracy w dniu śmierci żony. A jeżeli wszystko należało do niej i ona go utrzymywała? Czy to nie jest wystarczający motyw zbrodni?

— Nikt nie byłby w stanie zarzucić ci braku wyobraźni... Przypomniał mi się Agag. Pamiętasz go?

— Nie mogę pamiętać, ponieważ nigdy o nim nie słyszałem.

— Działał bardzo ostrożnie.

- Chcę tylko powiedzieć, że...
- Chcesz powiedzieć, że z radością zakończyłbyś całą sprawę.
- Nie uważa pan, że warto by ustalić, do kogo należały pieniądze — do niego czy do niej?
- Oczywiście, że trzeba się dowiedzieć, tylko bardzo dyskretnie, żeby nie wpadł w popłoch.
- Ma pan jakiś pomysł?
- Ustal, kto jest właścicielem domu. Słyszałem, że nie ma problemu z dostępem do rejestru gruntów. Jeżeli ci się nie powiedzie, spróbuj w radzie miejskiej — poproś ich, żeby sprawdzili w starych wykazach podatkowych. Jeżeli dom figuruje na nią, to już wiesz, kto z nich był bogaczem — Waters ziewnął. — Skoro już go poznałeś, jak on ci się widzi?
- Trudno powiedzieć. Byłem tam tylko chwilę.
- Jest w stanie szoku?
- Na pewno nie promienieje uśmiechem. Ale gdyby moja żona odjechała nagle w krainę cieni, wyglądałbym chyba na bardziej przybitego.
- Jesteś przekonany, że on nie robi po prostu dobrej miny do złej gry? Nie można sądzić zbyt wiele po pozorach. Pamiętam, jak przesłuchiwałem kiedyś faceta, który sprawiał wrażenie, jak gdyby się niczym nie przejmował, a tymczasem kilka godzin później popełnił samobójstwo.
- Przyczyna i skutek, panie komisarzu. Przyczyna i skutek.

Biuro należące do przedsiębiorstwa usług pogrzebowych Rainer i Desmond znajdowało się w połowie Prince Street, niedaleko stacji metra. Jego dewizę stanowiła dyskrecja. Odzwierciedlało to zarówno okno wystawowe — śnieżnobiała kalina wazonie z Waterford na tle czarnej, drapowanej zasłony — jak i wnętrze recepcyjne wyposażone w wygodne meble i boczne oświetlenie. W tle pobrzmiwała muzyka poważna, ale nie żałobna.

Urzędniczka w średnim wieku, osoba ciepła i opiekuńcza, ubrana spokojnie, ale nie całkowicie bezbarwnie, zaprowadziła Westona do biura i przedstawiła dyrektorowi Brissonowi.

— Dzień dobry, panie Weston. Proszę przyjąć wyrazy współczucia — dyrektor uściśnął mu dłoń, stanąwszy przed biurkiem. Mówił szczerze, nie klepał formułki, która by już dawno straciła dla niego sens. — Proszę usiąść.

Weston zajął miejsce w fotelu na wprost biurka.

— Doktor Pearson prosił pana o poczynienie niezbędnych przygotowań i przekazał mi, że obiecał pan poinformować mnie o terminie. Dotychczas nie miałem żadnych wiadomości. — Weston nie miał zamiaru przybierać agresywnego tonu, ale zorientował się, że to robi.

— Przyczyną takiego stanu rzeczy jest fakt, iż do tej pory nie podano nam żadnej konkretnej daty, panie Weston.

— Nie rozumiem.

— W przypadku konieczności przeprowadzenia oględzin nie może dojść do pogrzebu, dopóki władze nie wydadzą odpowiedniego zezwolenia — Brisson starał się mówić jasno.

— A nie wydały?

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— Obawiam się, że nie potrafię panu na to odpowiedzieć. Władze nigdy nie wdają się w dyskusję na ten temat.

— Pan ich o nic nie pytał?

— Nie, ponieważ...

— Skoro pan tego nie zrobił, ja się tym zajmę.

— Panie Weston, zapewniam pana, że niczego się pan nie dowie, a tylko napyta pan sobie biedy. W tego rodzaju okolicznościach nie udziela się szczegółowych informacji.

— Co pan ma na myśli, mówiąc „w tego rodzaju okolicznościach”?

— Jeżeli istnieje jakakolwiek wątpliwość... — Brisson po raz pierwszy poczuł się niezręcznie. Przerwał z wahaniem. — Dopóki nie upewnią się, że nie ma potrzeby stawiania dalszych pytań, ani nie wydadzą ciała, ani nie wytłumaczą opóźnienia — dodał po chwili.

— Dlaczego mieliby mieć jakieś wątpliwości dotyczące śmierci mojej żony? Przecież spadła z podestu. Cóż w tym niejasnego? Tylko głupiec... — przerwał nagle. — Przepraszam.

— Nie musi pan przepraszać.

— Powiadomi mnie pan, jak tylko się okaże, że można rozpocząć przygotowania do pogrzebu? — Weston wstał.

— Skontaktuję się z panem natychmiast — usłyszał odpowiedź.

Wyszedł i skierował się do samochodu. Nagle przystanął przed „Świńską Głową”. Zazwyczaj nie bywał w pubach, jednak ostatnie dni nie były dla niego zwyczajne. Zbliżył się do kontuaru i zamówił gin z tonikiem u barmanki z dużym biustem. Pijąc zastanawiał się, dlaczego życie jest tak perfidne, iż z rozkoszą dobija kopniakiem leżącego. Z przerażeniem myślał o pogrzebie, chociaż jednocześnie gotów był przyjąć ten dzień z wdzięcznością. Nadejście tego, co nieuchronne, przyniosłoby mu w pewnym sensie ulgę. Tymczasem jednak nie będzie mu dane jej zaznać, ponieważ jakimś cholernemu biurokracie nie można przeszkadzać w pracy.

Turner nacisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych do Francavilli, odwrócił się i wyjrzał z tarasu na ogród od frontu. Czy komisarz rzeczywiście miał rację, mówiąc, że to wszystko warte jest co najmniej trzy czwarte miliona funtów. Konstabl nie należał do ludzi naiwnych, zawsze jednak zdumiewał go fakt, że kogoś może być stać na mieszkanie w domu wartym setki tysięcy funtów. Przecież dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu musi się okrutnie zмагаć, żeby uskładać na zastaw hipoteczny w przypadku domu wartego grubo mniej niż sto tysięcy, a co dopiero jeżeli jest się skromnym gliną. Czy ten cholerny tenisista ma wielki, pełen przepychu dom? Przecież Pauline nie należy do tych dziewczyn, które gotowe są naginać uczucia do wstrętnej kalkulacji.

— Słucham.

Turner się odwrócił i zobaczył przed sobą kobietę, która przypominała mu cioteczna babkę Matildę na zdjęciu. Babka pracowała w Grimsby, oprawiała ryby i paliła podobno cygara.

— Zastałem pana Westona?

— Nie — odpowiedziała pani Amis.

— Orientuje się pani, kiedy wróci?

— Nie umiem powiedzieć.

- Domyślam się, że pani tutaj pracuje.
- Co panu do tego?
- Jestem konstabl Turner. — Nie wywarło to na niej wrażenia. — Może mógłbym zamienić z panią kilka słów?
- O czym?
- O tym i owym. Muszę sporządzić raport na temat wypadku i potrzebuję ustalić kilka faktów.
- Niczego się pan ode mnie nie dowie. Sama o niczym nie wiedziałam, dopóki pan W. mi nie powiedział, co się stało. O mało nie zemdląłam.
- Nie wyglądała na kobietę, która łatwo mdleje.
- Wyobrażam sobie. Zwłaszcza, jeżeli darzyła ją pani wielką sympatią.
- Kto tak twierdzi?
- Nie lubiła jej pani? Czyżby zatrudniała panią bez większych skrupułów za parę nędznych funtów?
- Nie pański interes — wycedziła przez zęby pani Amis.
- Pewnie, że nie mój — zgodził się rozbawiony. — Ale może jednak zechce pani powiedzieć mi coś o stanie jej zdrowia.
- Co pan ma na myśli?
- Czy miewała ostatnio zawroty głowy?
- Nie.
- A może mówiła, że nie czuje się najlepiej?
- Narzekała prawie na wszystko.
- Zawsze niezadowolona? Zupełnie jak mój inspektor. Jęczałby nawet wtedy, kiedy bramy niebios zamknęłyby za nim nie po jego myśli... Może mógłbym wejść do środka zamiast tak tutaj sterżeć? — uśmiechnął się.
- Zawahała się, ale wreszcie go wpuściła i szybko zamknęła za nim drzwi.
- Chyba nie odmówi pan filiżanki kawy?
- Jasne, że nie.
- Jeszcze nie spotkałam mężczyzny, który by odmówił, zwłaszcza w godzinach pracy.
- Nigdy nie widziałem tyle sprzętów, chyba że w sklepie — pogwizdując wszedł za nią do kuchni.
- Też tak myślę. To istny obłąd, tym bardziej że ona nie lubiła gotować. No ale jak się nie wie, co robić z pieniędzmi... — pani Amis otworzyła kredens i wyjęła słoik z mieloną kawą. Sięgnęła

po stojący obok kuchenki dwuczęściowy ekspres i naląła wody.

- Ten Weston opływa we wszystko.
- Wcale nie. Odkąd go zwolnili, jest bez pracy.
- Kiedy tu się stało?
- Nie tak dawno. Zaraz potem wyjechał na urlop.
- A więc całe to bogactwo należało do niej — już nie musiał dociekać, czyją własnością jest dom.

Nasypała kawy, skrzyła obie części ekspresu, postawiła go na płytce ceramicznej i włączyła kuchenkę elektryczną.

- Co pan powie na ciasteczka czekoladowe?
- Nie jestem w stanie odmówić.
- Zupełnie jak mój Alf.

Jeden ze sposobów prowadzenia udanego przesłuchania, kiedy chce się ukryć właściwy cel, to pytanie o sprawy, które nie mają z nim związku.

- To pani mąż? — spytał.
- Zmarł osiem lat temu. Któryś dnia zabrali biedaka do szpitala i po czterech dniach już nie żył — mówiła bez emocji, z czego łatwo było wywnioskować, że w zasadzie nie przejęła się jego śmiercią. Wciąż jednak nie potrafiła o nim myśleć zupełnie bezdusznie. Podeszła teraz do drugiego kredensu, z którego wyjęła puszkę. Otworzyła ją i postawiła na stole. — Ulubione ciasteczka pana W. Nic dziwnego, wystarczy spojrzeć na cenę.

Turner poczęstował się. Przygotowany był na jakiś niesamowity cymes, zwłaszcza że przepadał za bardzo słodkimi deserami, a tymczasem, ku jego rozczarowaniu, czekolada miała zdecydowanie gorzki smak.

- Spodziewam się, że ona odziedziczyła tę całą fortunę.
- Na pewno nie zarabiała pieniędzy na ulicy. Chociaż, kto wie, może byłaby wtedy szczęśliwsza — pani Amis szczerze się roześmiała.

Jak na kogoś, kto z początku wzbraniał się przed podjęciem dyskusji na temat charakteru swej pracodawczyni, zapowiadała się całkiem obiecująco, pomyślał z drwiną.

- A jak było naprawdę?
- Oddzielne łóżka i wielka przepaść między nimi.
- No cóż, podobno nie można mieć wszystkiego.

Kawa zaczynała wrzeć, więc pani Amis wyłączyła kuchenkę, postawiła na stole srebrną, grawerowaną cukiernicę i butelkę mleka. Napełniła oba kubki kawą i podała mu jeden.

— Niech pan przysunie krzesło i zje jeszcze ciasteczko.

Oboje usiedli. Pomimo wcześniejszego rozczarowania, sięgnął po jeszcze jedno.

— Czy to znaczy, że nie zawsze się zgadzali?

— Jest pan żonaty?

— Jeszcze nie.

— No to powinien pan przyjąć do wiadomości, że małżeństwo to nie tylko miłość i pocałunki.

— Kłócili się?

— Pewnie, że tak.

— O co?

— A skąd ja mam wiedzieć. Ich życie nie interesowało mnie aż tak, żebym przystawiała ucho do dziurki od klucza. Czasami po prostu było wiadomo, że się posprzecza.

— Jak pani sądzi? Dlaczego?

— Dlatego, że ona była taka, jaka była. Przy okazji wypominała mu, że to jej majątek. Nawet, kiedy pracował, złościła się, że za mało zarabia. Szczerze mówiąc żał mi go. Mężczyzna potrzebuje wykazać, że jest kimś, a przy niej to nie było łatwe.

— Wygląda na to, że takie życie stawało się prawie nie do zniesienia.

— Naprawdę bardzo się przejął, kiedy go zwolnili i wcale nie dlatego, że naskakiwała na niego bardziej niż zwykle. Aż trudno sobie wyobrazić, jak ona raniła jego dumę. Mówił, że musi na trochę oderwać się od wszystkiego, ale ona nie chciała z nim jechać, ponieważ miała to być wycieczka zbiorowa. Prawdopodobnie bała się, że złapie jakąś zarazę, zmuszona zadawać się z ludźmi na tego rodzaju wakacjach.

— Kłócili się nawet o takie rzeczy?

Pani Amis wypila łyk kawy, odstawiła kubek i wyspała jeszcze jedną łyżeczkę cukru.

— Chciała jechać w jakieś porządne miejsce, gotowa za wszystko płacić. Nie rozumiała, że tym właśnie irytuje go jeszcze bardziej. Jedynie wtedy słyszałam, jak naprawdę miał jej za złe. Według mnie powinien wściekać się na nią znacznie częściej.

— Czyżby pani była za wyzwoleniem wszystkich mężczyzn?

— Większość z was nie potrzebuje ani odrobiny więcej wolności.

Turner się roześmiał.

— A jak się między nimi układało po jego powrocie z wakacji, które spędził sam?

— Lodowato i tyle. Ośmielił się przecież zrobić bez niej coś, na co miał ochotę.

— Stosunki nie uległy poprawie do ostatniej środy?

— Tamtego ranka była naprawdę nieprzyjemna. Zaatakowała go, ponieważ jej matka lamentowała nad swoimi dolegliwościami, a on usiłował ją przekonać, że robi to wyłącznie dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę.

— Tak czy owak małżeństwo nie wyglądało na specjalnie szczęśliwe.

— Musiał być ślepy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Albo niewiele wiedział o kobietach.

— A cóż mężczyzna może o nich wiedzieć — Turner sięgnął po trzecie ciasteczko. W końcu mu posmakowały.

Waters stał w swoim biurze przy oknie i, popatrując przez nie, dzwonił drobnymi pieniędzmi w prawej kieszeni spodni.

— Zaczyna robić się gorąco — oświadczył Turner.

— Nie sądzisz, że zanadto naciągasz fakty? — komisarz odwrócił się.

— O Jezu, przecież wszystko się zgadza, panie komisarzu. Małżeństwo było tak zimne jak woda w przereźbli. On stracił pracę i był goły. Ona miała duże pieniądze i wypominała mu to z premedytacją. Mówię panu, musimy drążyć głębiej, a znajdziemy trzymaną w ukryciu jakąś niedużą blondynkę, która dba o jego dobrą formę i zastanawia się, czy ma ochotę na status drugiej żony i nazwisko „pani Weston”.

— Być może. Lepiej zacznij już drążyć.

— Może da mi pan chwilę wytchnienia albo przydzielili kogoś do roboty. Nie mogę wziąć na siebie jeszcze więcej obowiązków, skoro i tak wtłoczono mi ich dwa razy za dużo.

— To je wtłocz sam, chłopcze. Zrób tak, jak czterdziesto-sześćoletnia kobieta, która chce się wbić w stanik młodszej od siebie o dziesięć lat.

ROZDZIAŁ 13

Weston postawił ekspres do kawy na kuchence i włączył prąd. Na tacy przygotował dwie filiżanki i dwa talerzyki, masło, dżem wiśniowy, miód, cukier i mleko. Na deseczce położył bochenek pełnoziarnistego chleba i listy do Stephanie. Dopiero kiedy już miał siadać do śniadania w pokoju, zdał sobie sprawę, że nie są już potrzebne dwa nakrycia. Poczul się w równym stopniu zakłopotany co zły na siebie z powodu tej pomyłki. Wrócił z tacą do kuchni i nakrył do stołu tylko dla jednej osoby. Ona nigdy, w żadnym wypadku nie dopuściłaby do jedzenia śniadania w kuchni.

Czekając, aż kawa się zaparzy, otworzył pierwszy z brzegu list do żony. Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobił. Dlatego że zawsze szanował czyjaś prywatność, a poza tym ona należała do osób tak skrytych, że nawet nie rozmawiała z nim o treści otrzymywanych listów. W kopercie znalazł zaproszenie na pokaz mody, który odbędzie się za trzy tygodnie.

Ekspres zaczął syczeć. Podeszedł do kuchenki, wyłączył ją, nalał sobie filiżankę kawy i usiadł z powrotem. Ukroił kromkę chleba, posmarował ją masłem i dżemem. Podczas jedzenia otworzył następny list. Jej makler giełdowy sprzedał pakiet akcji, ponieważ specjaliści uznali, że firma przeżywa obecnie zastój i jest mało prawdopodobne, żeby zyski wzrosły; przeciwnie, mogą raczej spaść. Dochód ze sprzedaży, wynoszący dziewiętnaście tysięcy pięćdziesiąt cztery funty, zostanie jak zwykle zdeponowany w banku, dopóki nie trafi się kolejna okazja, żeby dobrze zainwestować. Weston upił trochę kawy i doszedł do wniosku, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak majątną kobietą była jego żona. Rozmiary dokonywanych przez nią inwestycji stanowiły kolejną, troskliwie strzeżoną tajemnicę. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, czy przyczyną

jej chorobliwej wręcz skrytości nie był w gruncie rzeczy wewnętrzny strach przed zdemaskowaniem się.

Pani Amis przyszła, zanim zdążył skończyć śniadanie. Kiedy zobaczyła go posilającego się przy kuchennym stole, stanęła w osłupieniu. Po chwili, z ironicznym uśmiechem, który czał się wokół jej ust, spytała, czy życzył sobie, żeby sprzątnęła pokój przyjąć i jadalnię, jak zwykle we wtorek. Odpowiedział, że najlepiej będzie przestrzegać ustalonego porządku. Wobec tego pani Amis wydoستاła z pomieszczenia gospodarczego szczotkę, ścierkę, śmietniczkę i odkurzacz.

Weston sprzątnął ze stołu, złożył list od maklera giełdowego i przeniósł się do biblioteki. Stały tam bliźniacze biurka, z których jedno należało do niej. Położył list na wierzchu i sięgnął do szuflad z obu stron, ale były zamknięte na klucz. Poszedł na górę do sypialni. Na wytwornej toalecie leżała jej torebka. Ponownie zdając sobie sprawę z niezwykłości tego, co robi, otworzył ją i przeszukał zawartość. W jednej z kieszonek zamkniętej na zamek błyskawiczny znalazł kluczyki do biurka.

Nie zdziwił się, kiedy zobaczył, że wszystkie papiery są starannie poukładane — miała przecież obsesję na punkcie porządku. Otworzył teczkę z napisem „wartości inwestycji”. Ostatnia wycena wprawiła go w zdumienie. Całkowita wartość rynkowa jej portfela wekslowego wynosiła ponad półtora miliona funtów szterlingów.

Nagle usłyszał dzwonek. Ponieważ wszystkie drzwi po drodze do holu były otwarte, dobiegł go odgłos rozmowy, ale nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

— Panie W., ktoś do pana — rozległo się głośne wołanie.

Włożył dokumenty z powrotem do teczki, i wszystko razem schował do szuflady. Kiedy wchodził do holu, zobaczył stojącego w drzwiach Turnera. Uznał, że ten policjant zachowuje się trochę napaśtliwie nawet wtedy, kiedy milczy.

— Witam — rzucił.

— Dzień dobry, panie Weston. Ponieważ musiałem tędy przejeżdżać, stwierdziłem, że zaoszczędzę sobie drogi i wpadnę do pana. Mam nadzieję, że nie za wcześnie?

— Ależ skąd. Cieszę się, że pana widzę, gdyż chciałbym się czegoś dowiedzieć.

— Jestem gotów panu pomóc, jeżeli tylko potrafię.

Pani Amis stała w przejściu dla służby.

— Przejdźmy do salonu — Weston wprowadził go do środka. Sam stanął przy kominku czekając, aż Turner siądzie w fotelu. — Chcę wiedzieć, dlaczego obdukcja nie została zakończona i dlaczego nie można zorganizować pogrzebu?

— Doprawdy nie umiem panu odpowiedzieć. My nie mamy z tym nic wspólnego.

— Przede wszystkim nie widzę, do cholery, potrzeby tej całej obdukcji.

— Takie jest prawo.

— W porządku. Wobec tego nie widzę, do cholery, powodu, dla którego prawo miałyby ją nakazywać. Cóż może być prostszego niż wypadek?

— Prawdę mówiąc, są pewne niejasności.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Na przykład, dlaczego spadła?

— Zakręciło jej się w głowie, potknęła się i straciła równowagę. Przecież tak właśnie dochodzi do wypadków.

— Sam mi pan mówił, że nie zdarzały jej się zawroty głowy.

— Czy to znaczy, że nie mogły jej się przytrafić po raz pierwszy?

— Oczywiście, że mogły.

— Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Owszem. Chociaż nie dokonano jeszcze szczegółowych oględzin, przeprowadzono wstępne badanie. Brzuch pańskiej żony jest posiniaczony. Nie wie pan, czy może doznała ostatnio jakiegoś urazu, który spowodowałby te zasinienia?

— Nie. Czy dlatego nalegał pan, żeby zmierzyć wysokość balustrady?

— Zgadza się.

— No i co się okazało?

— Wysokość się zgadza.

— Co to oznacza?

— Można by założyć, że bardzo szybko biegnąc zderzyła się z poręczą i wypadła poza nią na skutek utraty równowagi.

— Dlaczego miałyby wbiegać na podest?

— O to właśnie chciałem pana spytać.

— Pana pytanie jest absurdalne — tyle mogę powiedzieć.

— Niekoniecznie. Mogła próbować przed czymś uciekać... albo przed kimś.

Pytanie Turnera miało tak nieprzyjemny wydźwięk, że Weston potrzebował kilku sekund, żeby uświadomić sobie, co oznaczało.

— Czy sugeruje pan, że moja żona została zaatakowana? — spytał podniesionym głosem.

— Obawiam się, że musimy wziąć pod uwagę taką ewentualność.

— To niemożliwe — Weston odszedł od kominka i opadł gwałtownie na najbliższy fotel. — Powtarzam panu, że to niemożliwe.

— Nie stwierdzono wprawdzie żadnych śladów czyjegoś gwałtownego wtargnięcia w celu popełnienia przestępstwa, ale przebiegły złoczyńca potrafi je pozacierać. Chyba proszono pana o sprawdzenie, czy nic z domu nie zginęło? Zrobił pan to?

— Wszystko jest.

— Wobec tego zapomnijmy o wersji sprytnego bandyty, który na pewno nie odszedłby z pustymi rękami. A niepoprawny włamywacz bez wątplenia pozostawiłby ślady... Niech mi pan powie, czy żona przypadkiem nie była ostatnio z kimś skłócona?

— Sądzi pan, że gdyby tak było, ten ktoś wtargnąłby tutaj siłą i zaszczuł ją na śmierć?

— Niewykluczone. — Turner wstał. — Nie będę już dłużej zawracał panu głowy. Dziękuję za współpracę. — Poszedł w stronę drzwi, ale zatrzymał się i odwrócił.

— Jeszcze jedno. Wyłącznie dla informacji — gdzie pan był w środę po południu, powiedzmy między trzecią a piątą?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Mój komisarz jest takim typem faceta, który daje dwadzieścia pensów za coś, co kosztuje dziewiętnaście i trzy razy sprawdza resztę.

Turner mówił w sposób tak obojętny, że Weston uznał tę informację za naprawdę bez znaczenia.

— Pojechałem do Anstey Cross — oznajmił.

— Nie powiem, żebym wiedział, gdzie to jest.

— W Kent, na południe od Ashford.

— Mówią, że było to malownicze hrabstwo, zanim pojawiły się w nim autostrady, tunel pod kanałem La Manche i magistrała kolejowa... Żeby uszczęśliwić mojego komisarza do końca, poproszę o nazwę tej miejscowości.

— Mówiłem już — Anstey Cross.

— A nazwisko jakiejś osoby, z którą pan się tam spotkał?

— Pani Stevens.

— Dzięki. Teraz wszystko się ładnie komponuje. Miło było z panem pogawędzić.

ROZDZIAŁ 14

Konstabl okręgowy Ford zaparkował należące do Wydziału Kryminalnego Policji auto marki Metro przed garażem przy Melton Cottage i wysiadł. Poczuł znany sobie ból żołądka i kwaśność w gardle. Wyjął z kieszeni płaszcz plastikowe opakowanie i wziął z niego jedną tabletkę, którą zaczął żuć, chociaż zgodnie z zaleceniami należało ją ssać. Jego system trawienny kazał znosić mu męczarnie. Cierpiał zresztą okrutnie także i z wielu innych powodów, o czym świadczyło wieczne zgorzknienie widoczne na jego chudej, pociągłej twarzy.

Podszedł do bramy, otworzył ją i znalazł się w ogrodzie. Szybko przebiegł wzrokiem wąską rabatkę z barwnymi kwiatami, którą ograniczały nieduże kamienie o fantazyjnych kształtach. Stwierdził, że uprawianie ogrodu to okropna strata czasu. Skierował się do drzwi wejściowych, przechodząc obok długiego, spadzistego dachu. Ręcznie wykonane płytki dachówki pokryte były patyną wieków. Pomyślał sobie, że umysły ludzi, zamieszkujących stare domy i narażonych na związane z tym niewygody, należałoby poddać badaniu. Kiedy Kate otworzyła frontowe drzwi, przyglądał się jej z dezaprobatą, która okazała się bardziej widoczna, niż myślał. Według niego kobieta powinna chodzić w spódnicy, a nie w spodniach, niezależnie od figury.

— Pani Stevens? — upewnił się.

— Tak.

— Konstabl Ford.

— A zatem wszystko, co teraz powiem, zostanie zapisane i użyte jako materiał dowodowy — odpowiedziała na jego pompacyjną, brzmiącą typowo prezentację.

— Chciałbym z panią porozmawiać — odparł sztywno, bez żadnego poczucia humoru.

— Ma pan chyba jakiś dowód tożsamości?

Pokazał jej legitymację służbową — zirytowany, że żąda potwierdzenia jego wiarygodności jako przedstawiciela władzy.

— Proszę wejść i powiedzieć, o co chodzi.

Kiedy znaleźli się w salonie, próbowała być miła, nie zważając na maniery policjanta. Niech pan siada. Może zrobię kawę?

— Dla mnie nie. — Nie tak łatwo było zaskarbić sobie jego sympatię. — Zna pani pana G. Westona, mieszkającego w Londynie?

— Nie.

— Zgodnie z tym co mi powiedziano, z całą pewnością jest on pani znany.

— Proponuję, żeby pan wrócił i powiedział swojemu informatorowi, że z całą pewnością tak nie jest.

— Dlaczego pan Weston twierdzi, że panią zna?

— Niech pan ode mnie nie oczekuje wyjaśnień w sprawie cudzej pomyłki — dała wyraz zdenerwowaniu.

— On twierdzi, że był w tym domu w ubiegłym tygodniu.

— Musi mieć bujną wyobraźnię. Nie znam nikogo o nazwisku Weston... — nagle przerwała.

— Słucham?

— Właśnie sobie przypominałam. Och, jaka jestem niemądra — zupełnie wyleciało mi z głowy.

— Chce pani powiedzieć, że go zna?

— Widziałam go jeden jedyny raz w zeszłym tygodniu.

— Po co przyjechał?

— Spytać mnie... — zamilkła.

— O co spytać? — Ford był szorstki, uważając że jej milczenie wskazuje na poczucie winy. Nie umiał sobie wyobrazić, że jego przyczyna tkwić może w brutalnie przywołanym, głębokim smutku.

— Chodziło o mojego brata.

— To znaczy?

— Nie sądzę, żeby to pana interesowało.

Dużo by dał, żeby jej powiedzieć, co o niej myśli.

— Od jak dawna zna pani pana Westona?

— Tydzień temu zobaczyłam go po raz pierwszy. Był bardzo krótko, może pół godziny. W sensie towarzyskim nie mogę powiedzieć, że bym go znała. Dlaczego pan o to pyta?

- Tydzień temu umarła mu żona.
- Och!... biedak.
- Znała pani panią Weston?
- Wiem, że nie wyrażam się jasno. Nie mam pojęcia o sytuacji rodzinnej pana Westona i dopiero teraz dowiaduję się, że był żonaty.
- Jest pani pewna, że w ogóle o niej nie rozmawialiście?
- Czy pan naumyślnie nie chce mnie zrozumieć? Jak mogłam dyskutować o jego żonie, skoro w ogóle nie wiedziałam, że ją miał.
- Zmarła tamtego popołudnia — oznajmił szorstkim głosem.
- O której godzinie on tutaj był?
- Dokładnie nie pamiętam.
- Musi pani.
- Skoro pan nalega, wydaje mi się, że między wespół do czwartej a piątą.
- Był ktoś przy tym?
- Nie, mieszkam sama.
- Zatem nikt nie może tego potwierdzić.
- Nie widzę potrzeby.
- To leży w pani interesie, pani Stevens, ponieważ może się okazać, że przyczyną śmierci pani Weston nie był wypadek.
- Usiłuje pan coś sugerować? — Kate wstała. — Chyba już czas na pana.
- Jeszcze nie skończyłem.
- Ale ja skończyłam.

Nie był przyzwyczajony, żeby go wypraszano. Ludzie, z którymi zazwyczaj się stykał, mieli powody, żeby się go bać, dlatego uważali, aby go nie urazić.

— Ona zdecydowanie nie jest w moim typie — stwierdził złośliwie Ford.

— Nie przypominam sobie, żebym cię o to pytał — komisarz Feakin podniósł głowę. — Co mówiła o Westonie? — zaczął właściwy temat, czyszcząc cybuch fajki za pomocą małego ostrza scyzoryka.

— Że widziała go jeden jedyny raz, wtedy w zeszłym tygodniu i że spotkanie trwało nie dłużej niż pół godziny.

— Powiedziała, o której to było?
 — Między wpół do czwartej a piątą; dokładniejszego czasu nie podała.

Feakin, odłożywszy fajkę i scyzoryk, zaczął grzebać w papierach na biurku, aż znalazł ten, o który mu chodziło.

— Piszą, że śmierć nastąpiła szesnaście minut po czwartej — odczytał w raporcie.

— Chociaż nie określiła precyzyjnie godziny, tak się składa, że właściwie zapewniła mu alibi — powiedział Ford.

— Dopóki nie ma zeznania świadka, brakuje oczywiście dowodów na to, że doszło do morderstwa. Mam nadzieję, na litość boską, że nie dałeś jej do zrozumienia, iż pani Weston została zamordowana?

— Chyba nie uważa mnie pan za idiotę.

— Nie, raczej za nowicjusza. Czy wyjaśniła, w jakim celu do niej przyjechał w ubiegłym tygodniu, skoro nigdy przedtem się nie spotkali?

— Porozmawiać o jej bracie.

— A co z nim?

— Odmówiła wyjaśnień.

— Jakie było jej ogólne nastawienie?

— Napastliwie bezczelna.

— Ze zdenerwowania?

— Z powodu charakteru — to zrozumiała suka.

Feakin stuknął fajką o popielniczkę, żeby wypadły resztki tytoniu. Ford potrafił na ogół dobrze przesłuchiwać, chociaż czasami zachowywał się tak, jakby miał za złe, co zaciemniało mu właściwe wnioskowanie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że sympatyczne podejście mogłoby okazać się bardziej właściwe i rokować lepsze wyniki.

— W porządku. Sporządź raport, a ja prześlę go do Londynu.

— Może pan dodać prawie na sto procent, że ją przeleciał jak trzeba.

— Pozwalasz, żeby zazdrość gmatwała fakty.

ROZDZIAŁ 15

Kate, która nie lubiła Londynu i przyjeżdżała do niego najrzadziej, jak mogła, trafiła wreszcie do Baston Common. Nacisnęła hamulec i zatrzymała się. Adres odnalazła w książce telefonicznej. Nazwa Francavilla przywoływała na pamięć wymarzony, zaciszny dom w stylu kolonialnym z pretensjonalnymi wieżyczkami. Tymczasem okazało się, że tereny zielone otaczał pierścień bloków mieszkalnych i wystawnych rezydencji pobudowanych bez najmniejszego gustu i wyobraźni.

Zaczęła jechać dalej, zataczając koło wokół rozległych trawników zgodnie ze wskazówkami zegara, dzięki czemu znalazła się po tej stronie, po której łatwiej było odczytać nazwy i numery domów. Dotarła do Francavilli i zaparkowała auto. To był największy dom spośród mijanych po drodze, położony w najbardziej rozległym ogrodzie. W garażu stał mercedes, a na zewnątrz sierra. Czuło się tutaj spore pieniądze. Ta świadomość potęgowała jej obawy, sprawiając że stawały się coraz bardziej realne. Miała ochotę zawrócić i odjechać — przecież dopóki się nie przekona, zawsze będzie mogła udawać, że jej podejrzania były absurdalne — ale nigdy nie zdarzyło jej się stchórzyć. Wyprostowała się, otworzyła bramę z kutego żelaza, przeszła ścieżką prowadzącą do udziwnionego tarasu i nacisnęła dzwonek.

— Słucham — drzwi otworzyła pani Amis.

— Czy zastałam pana Westona? Jeżeli jest, chciałabym z nim porozmawiać.

— Najlepiej będzie, jeżeli pani wejdzie i zaczeka.

Obserwowała panią Amis, która wchodziła po schodach na podest, a potem zniknęła. Kate badawczym wzrokiem obejrzała hol. Powodowana w większym stopniu intuicją aniżeli znawstwem,

doceniła wartość doskonałych mebli i sprzętów, zauważając szereg wybornych szczegółów — dywan z kaszmirskiej wełny w zadziwiająco bogatych kolorach, ozdobną serwantkę o doskonałych proporcjach, zawierającą kolekcję porcelanowych figurek, finezyjnie rzeźbiony, dębowy kufer. Wszystko to oglądane z osobna było atrakcyjne. Nie tworzyło jednak harmonijnej całości ze względu na złe rozmieszczenie i zestawienie.

— Mówi, żeby przejść do salonu i że niedługo się tam zjawi — oznajmiła pani Amis po powrocie.

Chociaż nic więcej nie zostało powiedziane, Kate uznała, że powinna pójść za panią Amis. Przeszły przez pokój przyjęć o wielkości zbliżonej do całego jej domu w Anstey Cross i znalazły się w salonie.

Służąca odeszła. Kate ponownie popatrzyła krytycznie na styl umeblowania — gdyby zastosowano choć trochę kolorystyki, wnętrze byłoby przytulne i zapraszające. Zbliżyła się do okna. Popatrzyła przez nie i stwierdziła, że, jak na warunki londyńskie, ogród był duży. Gdzieś w głębi ktoś kosił trawę za pomocą maszyny. Docho-dząca pomoc domowa, ogrodnik, olbrzymi dom na rozległych grun-tach...

— Dzień dobry.

Słowa powitania przstraszyły ją, ponieważ nie słyszała, kiedy wszedł do salonu. Odwróciła się. Nie nosił żałoby ani nie wyglądał na pogrążonego w żalu. Sprawiał wrażenie przemęczonego.

— Bardzo mi przykro z powodu śmierci małżonki — wy-recytowała, starając się podporządkować konwenansom.

— Dziękuję... — odpowiedział równie układnie. — Skąd pani wie?

— Detektyw powiedział mi wczoraj.

— Detektyw? Dlaczego miałby o tym mówić?

— Okłamał mnie pan tydzień temu — Kate podniosła głos.

— Kim był ten policjant? Czego chciał? — Weston zignorował zarzut.

— Kłamał pan, mówiąc w jaki sposób jacht zatonął. Dlatego, kiedy detektyw pytał mnie o pana, zastanawiałam się, czy to, co zdarzyło się w Hiszpanii, ma jakiś związek z wydarzeniami tutaj. Pomyślałam również, że być może kłamał pan mówiąc, że Jason nie

żyje... Proszę powiedzieć mi prawdę. Nie obchodzi mnie, co to wszystko znaczy. Chcę poznać prawdę.

Wolałby łącać dalej, a jednak nie potrafił zlekceważyć jej prośby. Podszedł do najbliższego fotela i zagłębił się w nim.

— Byłem na wakacjach w Restinie. Siedziałem właśnie w kawiarni pod gołym niebem, kiedy nagle zjawił się Jason i zagadał do mnie, używając mojego szkolnego przezwiska. Z początku go nie poznałem...

Gary, z wyrachowaniem, przemilczając dokładną wersję zdarzeń, które doprowadziły do tego, że został zaszantażowany i wciągnięty do załogi Cristiny II, opowiedział o rejsie na wschód aż do zmierzchu, a potem o zmianie kursu w kierunku Maroka.

— Czy pomyślał pan wtedy, jaki może być cel tej podróży?

— Kiedy po raz pierwszy... Przypuszczałem... Czy to ma jakieś znaczenie?

— Tak — rzuciła szorstko.

— To musiało być coś nielegalnego i...

— I co?

— Hm, wiedziałem, że Maroko eksportuje mnóstwo haszyszu...

— Uważał pan, że Jason zamieszany był w przemyt narkotyków?

Weston skinął głową.

— A był?

— Kiedy go o to posądziłem, wściekł się. Nie rozumiał, jak mogłem być takim głupcem i sądzić, że on poszedłby na coś takiego.

— Co wydarzyło się później?

— Zabraliśmy trzech mężczyzn.

— Co to za jedni? Dokąd chcieli płynąć?

— Z powrotem do Hiszpanii, do Restiny. Poza tym że najprawdopodobniej byli narodowości hiszpańskiej, niczego więcej się o nich nie dowiedziałem.

— Skoro nie podróżowali normalną drogą, musieli pozostawać w konflikcie z prawem.

Po chwili Weston przytaknął skinieniem głowy.

— Wniosek jest prosty — terroryści, tyle tylko... — zawiesił głos.

- Tylko co?
- Dwóch z nich wyglądało na takich, co to nie skrzywdziliby nawet muchy.
- A trzeci?
- Trzeci był młodszy i odmiennego charakteru. Kiedy Jason i ja zapowiedzieliśmy, że trzeba zwolnić i gdzieś się schronić, zażądał pozostania na tym samym kursie i utrzymania maksymalnej prędkości. Próbowaliśmy mu odmówić, ale on wyciągnął broń. Jason postanowił go powstrzymać, lecz mu się nie udało i został postrzelony w ramię. Ja stałem przy sterze... — przerwał na chwilę. — Zrobiłem, jak kazał — dokończył. Od tamtej chwili powtarzał sobie wielokrotnie, że jest tchórzem, ale czy naprawdę nim był? Przecież tchórzostwo pojawia się wtedy, kiedy istnieje możliwość wyboru.
- Co stało się potem?
- Pociągnąłem najdalej, jak mogłem, na północ, żeby przybliżyć się do brzegu, nie wzbudzając podejrzeń Hiszpana. Morze stało się coraz bardziej wzburzone, fala przybierała na sile. Nagle zaskoczyła nas kompletnie, przewaliła się przez pokład i już było po wszystkim. Wywrócony jacht natychmiast się przełamał. Nie było czasu ani na spuszczenie tratwy ratunkowej, ani nawet na założenie kamizelki. Znalazłem się w wodzie i tylko jakimś cudem złapałem się czegoś, co pływało na powierzchni. Okazało się, że byliśmy bardzo blisko lądu i morze wyrzuciło mnie na brzeg. Kiedy przesłuchiwała mnie policja, powiedziałem, że wypłynąłem z Jasonem dla przyjemności i że niespodzianie rozszalał się sztorm. Uznali, że nie jesteśmy pierwszą tego rodzaju parą zagranicznych turystów — cholernych bałwanów, sobotnio-niedzielnymi żeglarzy — i zadowolili się moim zeznaniem.
- Dlaczego przyjechał pan do mnie w zeszłym tygodniu?
- Przekonać się, czy miała pani jakieś wiadomości od Jasona — okazał zdziwienie z powodu zadanego pytania.
- Biorąc pod uwagę fakt, że był postrzelony w ramię, czyli pozbawiony w zasadzie możliwości władania jedną ręką, miał minimalne szanse, żeby się uratować.
- Ciała nie odnaleziono. A ja wciąż miałem nadzieję, wbrew wszystkiemu.
- Dlaczego wtedy pan mi tego nie opowiedział?

— Z pewnością robiliśmy coś potajemnie i nie ulega wątpliwości, że nie było to legalne, chociaż do dziś nie mam pojęcia, co to mogło być. Nie chciałem, żeby pani się dowiedziała i zapamiętała brata jako człowieka będącego na bakier z prawem — Weston mówił powoli.

— On zawsze był szalony. Jak pan wie, wylali go z St Brede. Potwornie zranił tym rodziców — Kate do tego stopnia ściszyła głos, że ledwo ją rozumiał. — Potem ojciec musiał zapłacić kilka tysięcy funtów, żeby wyciągnąć go z kłopotów. Wtedy ostatecznie odciął się od niego twierdząc, że Jason jest zepsuty. Próbowałam go przekonać, że to szaleniec, a nie nikczemnik, ale nie chciał mnie słuchać. Był całkowicie pewien, że Jason, z powodu swoich występków, ponosi odpowiedzialność za śmierć matki. Brat i ja zawsze byliśmy sobie bliscy, chociaż w ostatnich latach nie widywaliśmy się zbyt często. Bliskość ta trwała, pomimo tego, że tak ohydnie wyrażał się o Benie. Kiedy pan przyjechał i powiedział mi, że on prawdopodobnie nie żyje, i kiedy nakłamał pan, mówiąc o rejsie, ogarnęło mnie przerażenie, że Jason znów zmienił się na gorsze i zaczął robić rzeczy niegodziwe... Ale tak nie było. Popełniał tylko szaleństwa — popatrzyła na niego wilgotnymi oczyma. — Zapomni pan o tych wszystkich podłościach, o których mówiłam.

— O jakich podłościach?

Przez chwilę milczeli, pogrążeni we własnych myślach.

— To detektyw powiedział pani o śmierci Stephanie? — Gary przerwał ciszę, a Kate odpowiedziała skinieniem głowy. — Co on właściwie u pani robił?

— Dowiedział się w jakiś sposób, że pan był w środę w moim domu i chciał to potwierdzić.

— Powiedziałem miejscowej policji, co robiłem tamtego popołudnia, kiedy zginęła Stephanie. Bóg raczy wiedzieć, jakie to ma w ogóle znaczenie.

Kate przyjrzała mu się uważnie, ale nie dostrzegła w wyrazie jego twarzy cienia podstępu. Czyżby wobec tego był absolutnie w porządku i dlatego nie mógł zrozumieć ich podejrzeń. A może to morderca, który po mistrzowsku ukrywa swoje prawdziwe oblicze? Kate była z siebie dumna, że potrafi rozszyfrowywać męskie charaktery. Nawet wtedy, kiedy wiedziała, że kłamał, instynktownie nie

potrafiła uwolnić się od przeświadczenia, że to w gruncie rzeczy uczciwy człowiek. Teraz, tłumacząc sobie przyczynę jego kłamstw, utwierdziła się w tym, co sądziła wcześniej. Według niej przyzwoity mężczyzna nie byłby zdolny zamordować własnej żony, bez względu na okoliczności.

— Jeżeli policja prowadzi nadal jakieś śledztwo, oznacza to, że coś im się w tym wszystkim nie podoba. Czy uważa pan, że śmierć żony może mieć coś wspólnego z wydarzeniami w Hiszpanii?

— Wykluczone. Jej śmierć — to nieszczęśliwy wypadek.

— Sposób zachowania się detektywa wskazywał, że... mógł to nie być wypadek — powiedziała Kate po chwili wahania.

— Ten detektyw musi być równie głupi jak cała miejscowa policja, zadająca pytania w rodzaju: czy Stephanie miała wrogów, skąd się wzięły siniaki na brzuchu i tak dalej.

— Policjant chciał wiedzieć, czy jest ktoś, kto mógłby potwierdzić, że tamtego popołudnia rzeczywiście przyjechał pan do Melton Cottage.

— Powiedziała mu pani, że może to sama poświadczyć?

— Tak, ale...

— Czyżby pani nie wierzył?

— Dał do zrozumienia, że potrzebuje potwierdzenia z ust trzeciej osoby, ponieważ sądził, że znamy się już od jakiegoś czasu.

— Mam nadzieję, że od razu pani to sprostowała.

— Owszem, próbowałam. Jednak... nie wydaje mi się, żeby był skłonny mi uwierzyć.

— Wygląda na to, że chce mi pani jeszcze coś powiedzieć.

Kate wzięła głęboki oddech.

— To fałszywy człowiek, a ja nie znoszę fałszu, odkąd jeden taki okrutnie mi dokuczył, kiedy miałam dziesięć lat. Był przekonany, że mamy ze sobą romans i nie sądzę, żebym wyłącznie z niechęci do niego odbierała to jako zakłamanie — zażenowana, dokończyła w pośpiechu.

— Mówi pani poważnie?

— Nic pan nie rozumie. Policja przypuszcza, że, być może, zamordował pan żonę z mojego powodu.

Początkowo przyglądał się jej ze zdumieniem, a później z coraz większą wściekłością.

— Czy pani jest całkiem zdrowa?

— Z pewnością.

— To znaczy na umyśle.

— Co to za bezczelność — nie wiedziała, co powiedzieć, więc się rozzłościła.

— Musi pani mieć nie po kolei w głowie, żeby przyjechać tutaj tylko po to, aby oznajmić mi, że zamordowałem Stephanie i to z powodu pani.

— Powiedziałam tylko, że tak uważa detektyw.

— Pani naprawdę nie jest przy zdrowych zmysłach, jeżeli pani twierdzi, że taka myśl mogła w ogóle powstać w jego głowie.

— Sukinsyn z pana! — Kate wstała.

— Przepraszam — powiedział oficjalnym tonem.

Szybko znalazła się przy drzwiach. Otworzyła je, podczas gdy on dopiero zdążył wstać. Kiedy do nich podszedł, ona była już w holu. A gdy on się tam znalazł, głośno zatrzasnęła za sobą drzwi frontowe.

Szła pospiesznie w kierunku samochodu, cierpiąc wskutek doznanego upokorzenia — zdaniem Westona jest z całą pewnością kobietą pozbawioną seksu. Jednak odczuwała swego rodzaju perwersyjną satysfakcję na myśl, że inni ludzie uważają, iż łączy ją z nim romans.

ROZDZIAŁ 16

Inspektor Rentlow stał pod oknem i czytał raport.

— No i jak? — zwrócił się do Watersa.

— Nazwałbym go ubogim w fakty i bogatym w przypuszczenia — komisarz odparł krótko, wiedząc jak bardzo szef nie znosi nadmiaru słów i nie sprecyzowanych poglądów.

Rentlow wrócił do biurka i usiadł.

— Zgadza się — oświadczył. — Pamiętajmy, że jedyne fakty, jakimi dysponujemy na temat związku Westona i pani Stevens, pochodzą od nich samych, wobec tego musimy opierać się w dużym stopniu na przypuszczeniach. Jeżeli ona dokazuje z Westonem w łóżku, mamy do czynienia z silnym motywem zbrodni — Rentlow bębnił palcami po biurku. — Rozmawiał ktoś z matką denatki, żeby dowiedzieć się, co ona ma do powiedzenia o tym małżeństwie?

— Jeszcze nie.

— Lepiej się tym zajmij. Sprawdź też, czy ktoś widział Westona, kręcącego się wokół domu mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiła śmierć jego żony.

— To będzie wymagało zaangażowania całego sztabu ludzi, a my, jak dotąd, nie jesteśmy pewni, czy mamy do czynienia z morderstwem — Waters, trochę nierozsądnie, wniósł swoje zastrzeżenie.

— A jesteś w stanie się o tym przekonać bez prowadzenia dalszego śledztwa? — inspektor spytał złośliwie. Postawa komisarza, opowiadającego się za długotrwałym, mozolnym zbieraniem dowodów może i miała swoje zalety, ale czasami denerwowała Rentlowa.

Nagle usłyszeli pukanie do drzwi. Inspektor krzyknął, że można wchodzić, ale nie od razu popatrzył, kogo wpuścił. Kiedy podniósł głowę, zobaczył przed sobą szeregowego funkcjonariusza.

— Słucham, o co chodzi?

— Właśnie przywieźli raport dla pana inspektora. Przyjechał wóz z policji hrabstwa i mieli to ze sobą — policjant podał Rentlowowi prostokątną, brązową kopertę i wyszedł.

Inspektor rozdarł przesyłkę. Wewnątrz znajdował się obszerny raport anatomopatologa z oględzin zwłok Stephanie Weston. Okazał się o wiele bardziej szczegółowy, niż Rentlow przypuszczał. Stan zdrowia denatki, zważywszy na wiek, był dobry. Nie stwierdzono też żadnej przyczyny, która mogłaby usprawiedliwiać nieoczekiwane zaburzenia równowagi wskutek nagłych zawrotów głowy. Ujawniono natomiast zasinienie szyi w okolicy krtani i uszkodzenie skóry na karku na granicy włosów. Nie ulega wątpliwości, że jeden i drugi ślad spowodował ucisk palców na gardło, a nie zaciśnięcie pętli. Ucisk ten został jednak zwolniony i nie uśmiercił ofiary. Prawdopodobna wersja wydarzeń wskazywała na to, że albo ktoś chciał przestraszyć tę kobietę, albo ją udusić. Ona jednak, w panice, zdołała wyrwać się napastnikowi i zaczęła uciekać, żeby gdzieś się schronić. Jednak wpadła na coś po drodze, na przykład na poręcz schodów, i runęła na dół, odnosząc śmiertelne obrażenia głowy.

Rentlow odłożył raport na biurko. Teraz było już wiadomo, że nie doszło ani do morderstwa, ani do nieumyślnego spowodowania śmierci.

Gdyby Monica Badger była rozsądną kobietą, przeprowadziłaby się do o wiele mniejszego domu. Jednak olbrzymi dom, w przeciwieństwie do małego, mógł imponować. Ubrana cała na czarno, zaprowadziła konstablę do pokoju przyjęć. Na półce nad kominkiem stała w srebrnych ramach fotografia córki z żałobną opaską z czarnego atlasu.

— Tylko kilka pytań — powiedział policjant, zanim usiadł niepewnie na krześle o cienkich, wygiętych nogach, obawiając się, czy mebel wytrzyma takie obciążenie. Funkcjonariusz trzymał w pogotowiu ołówek i notes. Przeniesiony ostatnio do pomocy do Wydziału

Kryminalnego Policji, był bardzo gorliwy i skrupulatny. — Jak już mówiłem, przyszedłem, ponieważ pani twierdzi, że córka została prawdopodobnie zamordowana.

— Nie ma mowy o prawdopodobieństwie — ona została zamordowana. — Czas nie potraktował pani Berger łagodnie. Odcisnął na jej twarzy zgorzkniałość i rozgoryczenie. Mówiła przeciągle, wylewając cały swój nienawistny żal.

Z początku konstabl robił obszernie notatki, ale potem kiedy Monica zaczęła się powtarzać, wykonywał ruchy pozorne. Pomyślał sobie, że zapewne większy pożytek byłby z zamordowania mamusi niż córeczki.

— Wyobrażam sobie, że Stephanie wiele pani opowiadała — zaryzykował i przerwał jej, kiedy po raz trzeci mówiła to samo.

— Zawsze mi się zwierzała. Byłyśmy jak rodzone siostry. Kiedy przekonała się, jakim człowiekiem on jest naprawdę...

— A jakim był?

— Liczył wyłącznie na majątek. To właśnie jej powiedziałam, kiedy oczarował ją tą swoją błyskotliwą inteligencją, ale ona nie chciała mnie słuchać. Wiedziałam, że zdarzy się jakieś nieszczęście — wytarła oczy koronkową chusteczką.

— Chce pani powiedzieć, że córka miała majątek na własność?

— Mój mąż zostawił jej fortunę.

— Nie zdradziłaby pani, ile mniej więcej tego mogło być?

— Nie mam pojęcia — odparła szorstko, karcąc go za imperytynencję.

— Czy wiadomo, co dzieje się z tym majątkiem obecnie?

— On nalegał, żeby sporządzony został testament. Ponieważ zapisał jej w nim wszystko, co posiadał, ona uczyniła to samo, wyznaczając go jedynym spadkobiercą. Próbowałam ją przestrzec, że, skoro sam niczego by po sobie nie pozostawił, był to z jego strony nic nie znaczący gest, zrobiony w dobrej wierze, chociaż podstępnie w oczekiwaniu na wzajemność. Nie chciała mi wierzyć. Do niej po prostu nie docierała prawda o tym człowieku.

— A jak było między nimi?

— Nie rozumiem.

— Czy dobrze im się układało pomimo problemów?

— Zrobiła z siebie niewolnicę. Nawet wtedy, kiedy zaczęła pojmować, jaki on jest w rzeczywistości, nadal pragnęła wyłącznie jego szczęścia — pani Badger ożywiła się. — Stephanie była dbającą żoną, zdolną znosić długotrwałe cierpienia, byle tylko zjeść sobie jego serce miłością. On odtrącił ją brutalnie i cynicznie, interesując się wyłącznie jej majątkiem.

— Czy dawała mu od czasu do czasu jakieś pieniądze?

— Miał tak nędzną posadę, że musiała to robić. Kupiła dom i pokrywała wszystkie bieżące wydatki. Jednak jemu to nie wystarczało, wobec tego przy każdej okazji usiłował ją nakłonić, żeby pozwoliła mu prowadzić jej interesy.

— Ale ona się nie zgodziła?

— Powtarzałam jej na okrągło, że jeżeli do tego dopuści, on ograbi ją doszczętnie.

— Kiedy po raz ostatni próbował wywierać nacisk, żeby móc obracać jej pieniędzmi?

— Na początku roku. I wie pan, dlaczego tak do tego dążył?

— Skąd miałbym wiedzieć, pani Badger.

— Chciał ukraść jej jak najwięcej, a potem odejść z inną kobietą.

— Uważa pani, że miał kochankę?

— Mężczyźni jego pokroju muszą mieć kochanki — oznajmiła szorstko. Przypomniała sobie dzień, w którym odkryła, że jej mąż wynajmował w sąsiednim mieście mieszkanie, w którym kobieta o połowę młodsza od niego oferowała mu usługi, na jakie nie zgodziłaby się żadna porządna dziewczyna.

— Może pani podać mi nazwisko i adres tamtej kobiety?

— Nie są mi znane.

— Czy to znaczy, że córka opowiadała pani o niej, nie podając żadnych szczegółów?

— Wiedziała, podobnie jak ja, że ktoś taki istnieje, ale nic ponadto, ponieważ on był przebiegły. Bardzo ją to bolało i nikt tak jak matka nie potrafiłby lepiej jej zrozumieć...

Dwadzieścia minut później policjant wracał już do samochodu. Zapalił papierosa i zastanawiał się, czy naprawdę każde małżeństwo musi się kiedyś rozpaść.

Turner wyjął z kieszeni spodni chusteczkę i otarł pot z czoła. Pogoda skłaniała do marzeń o plażach śródziemnomorskich. Poprzedniej nocy napomknął Pauline, że może wybraliby się na wakacje do Grecji i oczywiście wynajęli jeden pokój, zanim ten bękart z kortów wyjedzie z propozycją dwóch tygodni na Seszelach.

Przeszedł przez dziedziniec przed blokiem mieszkalnym i znalazł się przy drzwiach wejściowych. Stanął przed domofonem z ośmioma dzwonekami i ośmioma wizytówkami. Nacisnął pierwszy przycisk, ale nikt mu nie odpowiedział. Na dźwięk drugiego dzwoneka odezwał się niski, kobiecy głos z pytaniem, o co chodzi. Przedstawił się. Drzwi zabzyczały i wszedł do środka. Ponieważ winda stała na ostatnim piętrze, zaczął iść po schodach. Pomyślał sobie, że ludzie zamieszkujący te luksusowe apartamenty najprawdopodobniej nie wyobrażają sobie, że można spędzać wakacje po tej stronie Pacyfiku.

Kobieta, która wpuściła go do mieszkania numer dwa, miała grube rysy twarzy i nie stosowała makijażu. Poruszała się ociężale i wyglądała niezbyt zachęcająco. Ubrana była w męską koszulę z krawatem i szerokie spodnie. Paliła fajkę. Turner nie uprzedzał się do ludzi, więc spytał ją, czy zna Westonów z Francaville. Odparła, że zawsze stara się unikać ludzi, którzy mieszkają w domach o tak cholernie głupich nazwach jak ta.

Mieszkanie numer trzy zajmowało starsze małżeństwo. Ludzie ci powiedzieli mu, że wprowadzili się zaledwie przed miesiącem, po sprzedaży domu na wsi, ponieważ uznali, że trudno będzie im go utrzymać. Stwierdzili, że tutaj przyjemnie się mieszka, tylko ktoś z górnego piętra zostawia otwarte drzwi od windy i nie można z niej korzystać. Widząc, że jest policjantem spytali, czy nie mógłby poprosić tego kogoś o zamykanie tych drzwi. Na koniec oświadczyli, że nigdy nie zetknęli się z Westonami.

Pod czwórką natknął się na dwie kobiety w średnim wieku. Pani Edwardes przedstawiła mu swoją przyjaciółkę panią Ackroyd i oznajmiła, że mąż jest w pracy. Zadeklarowała jednak chęć przyjęcia mu z pomocą w miarę swoich możliwości. Spytała policjanta, czego się napije. Poprosił o sok pomarańczowy. Pani Edwardes

usiadła w fotelu. Znała Westonów — łączyło ich coś w rodzaju nie zobowiązującej znajomości na odległość. W każdym razie tak się wyraziła. Dziwiło ją tylko, dlaczego to interesuje policję?

Turner wyjaśnił przyczynę, trzymając w ręku szklankę soku pomarańczowego. Istnieją pewne poszlaki, które wskazują, że tamtego popołudnia, kiedy pani Weston zmarła tragicznie, być może ktoś był u niej w domu. Jeżeli to prawda, policja chciałaby skontaktować się z tą osobą i ustalić, na ile może okazać się ona pomocna w udzieleniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego pani Weston przydarzył się wypadek.

— Nie było w tym chyba nic nadzwyczajnego? — spytała pani Edwardes.

— Nie, nie sędzę. Jednak w dzisiejszych czasach prowadzi się dochodzenie w sprawie niemal wszystkich wypadków śmiertelnych.

— Rozumiem — tak naprawdę nie bardzo rozumiała i czuła się zakłopotana. — Przykro mi, ale nie jestem pewna, kiedy miał miejsce tamten wypadek.

— Tydzień temu, w środę. O ile nam wiadomo, między trzecią a piątą po południu.

— Musiałam wtedy pojechać do miasta, ponieważ firma Charlesa wydawała lunch, na który pod groźbą klątwy musiały stawić się wszystkie żony — powiedziała po chwili zastanowienia. — Byłam z powrotem dobrze po piątej, prawda? — zwróciła się do pani Ackroyd.

— Raczej bliżej szóstej.

— Tak, rzeczywiście. Tamtego dnia przyjechałaś do nas i byłam zła, że musiałam siedzieć i słuchać świńskich dowcipów prezesa, który zatrzymał się w rozwoju umysłowym na poziomie piątej klasy szkoły podstawowej. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc — powiedziała w stronę Turnera.

— Dziękuję za dobre chęci — policjant odstawił pustą szklankę.

— Chwileczkę — wtrąciła się pani Ackroyd. — Wychodziłam tamtego popołudnia na spacer i mogłam kogoś zauważyć. O który dom dokładnie chodzi?

— O ten, który stoi jakieś pięć bloków dalej — wyjaśnił Turner.

— To największy dom w okolicy — stwierdziła pani Edwardes. — W głębi ogrodu rośnie tam wierzba płacząca.

— Jest też taki uduziwniony taras.

— Zgadza się. Dobrze, że Stephanie tego nie słyszy. Była bardzo dumna ze swojego klasycznego wejścia do domu.

— Dzieło ślepego architekta — pani Ackroyd sięgnęła po leżącą w kącie fotela torebkę. — Czy nie będzie państwu przeszkadzało, jeżeli zapalę? — spytała.

— Owszem, mnie będzie — odparła natychmiast pani Edwardes. — Wcześniej się tym nie przejmowałam.

— Mój umysł staje się o wiele bardziej klarowny, kiedy palę.

— To chyba najbardziej durne wytłumaczenie, jakie słyszałam.

Pani Ackroyd z uśmiechem poczęstowała Turnera papierosem. Dziękując, odmówił. Zapaliła więc sama, posłużywszy się zgrabną, złotą zapalniczką.

— Przypominam sobie, jak spojrzałam na zegarek i postanowiłam wracać, ponieważ dochodziła właśnie czwarta i pani domu powinna być wkrótce z powrotem. Przeszłam na drugą stronę ulicy, bliżej trawnika i przystanęłam na widok wierzby płaczącej — nieczęsto zdarza się oglądać takie drzewa. Wtedy zwróciłam uwagę na taras. Szczerze mówiąc, trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś był dumny z czegoś tak pretensjonalnego.

— Czy przyglądając się domowi, zauważyła pani kogoś kręcącego się w pobliżu? — spytał Turner.

— Właściwie tak — zaciągnęła się dymem i wypuściła go przez nos.

— Kto to był?

— Stałam tam i wciąż patrzyłam, kiedy jakichś dwóch mężczyzn wyszło zza domu na ulicę i oddaliło się. Wtedy pomyślałam... — przerwała.

— Słucham?

— Widzi pan, wiem jak łatwo jest sobie coś wyobrazić, kiedy wiadomo, że istnieje ku temu powód. Wtedy po prostu zauważyłam, że oni się spieszyli... Może zamierzali wezwać pomoc?

— W tym celu posłużyliby się telefonem — wtrąciła pani Edwardes.

— Oczywiście. Ależ ja jestem niemądra.

— Vera to artystka — wyjaśniła Turnerowi pani Edwardes.

Nie był pewien, jak ma to rozumieć i jaki to może mieć wpływ na ocenę zeznania.

— Czy jest pani całkowicie pewna, że chodzi o dom z wierzbą i dużym tarasem?

— Z wierzbą płaczącą. To jest kolosalna różnica, proszę pana. Tak, jestem absolutnie pewna. Jeszcze coś sobie teraz przypomniałam. Widziałam, jak oni wsiedli do samochodu i odjechali bardzo szybko i brawurowo. Nie obejrzeliby się nawet, czy nikt nie nadjeżdża z tyłu i o mało co, a doszłoby do groźnego wypadku.

— Potrafi ich pani opisać?

— Nie za bardzo. Byli po drugiej stronie ulicy; panował spory ruch, a poza tym niezbyt mnie obchodził ich wygląd.

— Będąc artystką, musiała pani zachować jakiś obraz w pamięci.

— Vera jest botanikiem a nie malarką-portrecistką — śmiała się pani Edwardes. — Jeżeli miałyby do czynienia z rzadkim okazem paproci, zapamiętałyby każdy liść z osobna, łącznie z najdrobniejszymi szczegółami.

Turner zdawał sobie sprawę, iż niełatwo jest opisać drugą osobę, jednak chciał panią Ackroyd do tego nakłonić.

Wkrótce dowiedział się, że obaj mężczyźni mieli na głowach czapki baseballowe z dużymi daszkami. Znaczną część twarzy zasłaniały im ciemne okulary. Byli mniej więcej w tym samym wieku, tuż przed trzydziestką lub niewiele starsi. Mieli na sobie dżinsy i jakieś sportowe kurtki. Tego od strony chodnika ledwie widziała. Zaznaczyła tylko, że twarz miał raczej kwadratową, nie owalną. Tamten drugi wyglądał na latynoamerykańskiego, odpicowanego żigolaka. Wrażenie to było jednak mylące, ponieważ przemawiała przez niego bezwzględność. To wszystko, co miała do powiedzenia.

— Świetnie się pani spisała — orzekł Turner.

— Naprawdę? — dała wyraz swemu zadowoleniu.

— Czy może pani cokolwiek powiedzieć o samochodzie, którym odjechali?

— Teraz wszystkie auta wyglądają dla mnie jednakowo.

— A kolor?

— Chyba jasnoszary albo niebieskawy — stwierdziła po chwili niepewnie.

— Nie sądzę, żeby udało się pani dostrzec jakiegóś szczegóły, na przykład numer rejestracyjny.

— Nic z tych rzeczy.

Poza tym nie powiedziała nic, co mogłoby mieć dla sprawy znaczenie. To był przecież przypadkowy incydent, który dane jej było niespodzianie oglądać.

— Dwaj mężczyźni? — zdziwił się Waters.

— Ona tak twierdzi — odparł Turner.

— Może miała na myśli jakiś inny dzień?

— Upierała się kategorycznie, że to była środa, co zresztą potwierdziła pani Edwardes, mówiąc o swoim popołudniowym wyjeździe do miasta na wielką wyżerkę.

— Ale dlaczego aż dwóch?

— Jest wrażliwy i wziął sobie kumpla do brudnej roboty.

— Wynajął go. Szedł razem z nim, wskazując mu drogę i otworzył drzwi kluczem, żeby nie było żadnych oznak włamania. Ona myślała, że to mężulek, więc nie miała powodu do niepokoju.

— Może i tak było.

— Musi być z niego kawał cholernego drania, żeby tak działać z zimną krwią.

— A dlaczego by nie? Wystarczy pomyśleć o fortunie i laluni, która czeka i wygrzewa łóżeczko.

— Tylko nie domagaj się referencji na temat moralności... O tym słyszeliśmy już w Crosford. Pani Badger uważa, że Weston ożenił się z jej córką wyłącznie dla pieniędzy i cały czas usiłował wymóc na niej zgodę na prowadzenie jej interesów. Ona wyznaczyła go jedynym dysponentem swojego majątku, a ich małżeństwo było wielkim nieporozumieniem.

— Wszystko pasuje jak ulał. — Turner usiadł na biurku. — Wszystko gry.

— No to bierz się do roboty. Zorganizuj konfrontację na komputerze i sprawdź, czy pani Ackroyd jest w stanie rozpoznać Westona.

Turner ześliznął się z biurka i zaczął iść w kierunku drzwi.

— Założę się o ładnych kilka funtów, że nie wiesz, jakiego koloru samochodu ma Weston — powiedział Waters.

— Mercedes jest ciemnoniebieski, a sierra jasnoszara z odcieniem brązowym. No i jak teraz wyglądasz?

— Podnieś stawkę — odparł szorstko Waters.

— Na granicy terenów zielonych rośnie mnóstwo drzew — powiedział Turner.

— No i co z tego?

— Rzucają one cień i na dodatek wszystko jest jakby w cętki, a wtedy nie tak łatwo określić prawdziwy kolor. Jasnopłowy odcień może równie dobrze wyglądać jak jasnoniebieski lub jasnoszary.

— Jeżeli nie będziesz bardziej powściągliwy, to wkrótce utwierdzisz się w przekonaniu, że naprawdę widziałeś go, jak ją mordował.

Kate przykłękała na starej poduszce i za pomocą motyczki wygrzebała jeszcze trochę ziemi. W dołku umieściła kamień. Teraz było dobrze. Wykopaną ziemię uklepała starannie wokół podstawy kamienia. Wszystkie te miniaturowe skałki, którymi wyłożony był brzeg wąskiej rabatki z kwiatami, były jak zaczarowane. Co jakiś czas któraś z nich zmieniała swoje położenie, a przecież tylko magiczne przedmioty są zdolne do czegoś takiego. Na początku małżeństwa Kate odkryła te kamienie nad brzegiem morza pod klifowym urwiskiem. Zaintrygowana ich niezwykłymi kształtami i fakturą — niektóre były koleczaste, inne wyżłobione, poorane lub dziurawe jak ser gruyere — postanowiła nawozić ich tyle, ile pomieści bagażnik samochodu. Czynność tę powtarzała wielokrotnie. Keith za każdym razem podśmiewał się z niej, uważając to za głupie. Należał do ludzi, którzy rzadko potrafią dostrzec piękno w czymś, co odbiegało od normy. Być może z powodu jego drwin każde poruszenie się skałki przypisywała teraz siłom magicznym, a nie na przykład kretom, które ryły ziemię gdzieś w pobliżu albo ulewnym deszczom, wymywającym warstwy gruntu, albo maszynie do koszenia trawy, która zawadzić mogła brzegiem o kamień. Wiara w czarodziejskie moce pozwalała złagodzić skazę psychiczną.

Kate usłyszała, jak nadjeżdżający samochód zatrzymał się przed jej domem. Ponieważ przez gęsty żywopłot nie mogła zobaczyć, kto zamierza ją odwiedzić, wstała. Kiedy wysoka, chuda jak szczapa kobieta w luźnej, wzorzystej sukience pomachała do niej ręką, Kate westchnęła.

— Przywiozłam tygodnik parafialny — oznajmiła panna Hammond, starannie wymawiając każde słowo i weszła do ogrodu.

— To bardzo miło z twojej strony. Może filiżankę herbaty? — Kate zawsze pozwalała górować współczuciu nad prawdziwymi uczuciami. Nawet małżeństwo z Keithem nie wyleczyło jej z tej słabości.

— Nie powinnam zostawać. Muszę wpaść jeszcze w kilka miejsc. Chyba, żebym zwagarowała. — Często wyrażała się w taki sposób, jak gdyby dopiero co skończyła szkołę, podczas gdy lata nauki miała już dawno za sobą.

Weszły do domu. Panna Hammond zasiadła w salonie, a Kate nastawiła w kuchni wodę, ułożyła na tacy czekoladowe ciasteczka, postawiła filiżanki i talerzyki. Sięgnęła jeszcze po łyżeczki, cukier, mleko i sitko. Jednocześnie zastanawiała się, czy jej gość odjedzie przed rozpoczęciem programu telewizyjnego o Galapagos w kanale BBC.

Przy herbacie panna Hammond dostarczyła, jak zwykle, odpowiedniej porcji plotek i fałszywych informacji. Pastor zasmucił wielu parafian swoim pomysłem ograniczenia ilości kwiatów w kościele; rzeźnik z pobliskiej wioski został przyłapany na sprzedaży mięsa nie nadającego się do spożycia; córka właściciela posiadłości ziemskiej... — Zrelacjonowała teraz wielce gorszą historię, szpikując ją lubieżnymi szczegółami w taki sposób, że Kate miała wątpliwości, czy zrozumiała do końca, o co jej chodziło.

— A potem tobie przytrafiło się to ekscytujące zdarzenie.

— Jakie zdarzenie? — Kate gryzła ciasteczko.

— Usiłowanie włamania.

— Jakiego włamania?

— Nie dziwię się tobie. Dopóki taka rzecz kogoś nie dotknie bezpośrednio, ciężko sobie wyobrazić, jak bardzo może być denerwująca. Pamiętam, jak dawno temu podczas podróży statkiem celnicy przetrząsali każdą walizkę, grzebiąc łapami w cudzych ubraniach.

Zawsze czułam się wtedy jakby zhańbiona.

Czyżby naprawdę jej się zdawało, że traci cnotę, kiedy urzędnik celny dotyka jej bielizny?

— To oczywiście, kochanie, że wzbranasz się przed rozmową na ten temat. Jednak zawsze powtarzam, że zmartwienie staje się o połowę mniejsze, kiedy człowiek się nim z kimś podzieli. Czy to bydlę dostało się do środka?

— Przykro mi, ale doprawdy nie wiem o czym mówisz.

Twarz panny Hammond aż zadrżała z podniecenia. Taka kategoryczna reakcja świadczyła o niejasnym podłożu całej sprawy.

— Detektyw wypytywał Mavis.

— Wypytywał? O co?

— Czy widziała jakiegoś obcego mężczyznę, który kręcił się koło twojego domu w ostatnich kilku tygodniach.

Mavis mieszkała w miejscu, gdzie kończyła się droga. Zawsze uskarżała się, że ma za dużo pracy, aby znaleźć czas dla siebie. Pomimo to stanowiła równie dobre źródło informacji, jeżeli chodzi o sprawy życia mieszkańców Anstey Cross, co panna Hammond.

— Dlaczego policja miałyby się tym interesować?

— Z powodu próby włamania, rzecz jasna. Usiłują się dowiedzieć, czy ktoś widział sprawców.

— Powiadasz, że detektyw pytał, czy zauważono obcych ludzi kręcących się w pobliżu i usiłujących dokonać włamania?

— Zgadza się.

— Ależ to kompletna bzdura!

Panna Hammond odjechała po czterdziestu siedmiu minutach urażona, że Kate nie zdradzała chęci do dyskusji o całej sprawie w szczegółach.

Kate wyniosła tackę do kuchni, wstawiła brudne naczynia do zlewozmywaka i, pogryzając ostatnie ciasteczko, wróciła do salonu. Usiadła i sprawdziła godzinę. Okazało się, że do rozpoczęcia programu, który miała zamiar obejrzeć, pozostało jeszcze piętnaście minut. Patrzyła w przestrzeń, rozmyślając. Ponieważ nie było żadnej próby włamania, albo panna Hammond wymyśliła historię jeszcze bardziej naiwną niż zwykle, albo detektyw plótł bzdury. Ona

często gmatwała fakty, jednak w tym przypadku Kate była skłonna uwierzyć, że tak nie było. Policjanci raczej nie mówią od rzeczy. Jedyne logiczne uzasadnienie opowieści panny Hammond stanowiłby fakt, że detektyw wypytywał o tożsamość osób odwiedzających Melton Cottage, starając się jednocześnie to ukryć. Innymi słowy, usiłował ustalić, czy Weston bywał tutaj częstym gościem, na tyle częstym, żeby stało się oczywiste, że to jej kochanek. Jeżeli tak było, mógł równie dobrze postanowić pozbyć się własnej żony, żeby ożenić się z Kate...

Doszła do wniosku, że musi go ostrzec. Jednak zaraz potem przypomniała sobie, jak zakończyło się ich ostatnie spotkanie i uznała, że cholernie trudno byłoby jej teraz wymyślić jakiś pretekst do następnego.

ROZDZIAŁ 17

Pani Amis mieszkała w północnej części Baston, w odległości zaledwie półtora kilometra od Baston Common, ale za to w dzielnicy o zupełnie odmiennym charakterze. Nie było w niej ani ogromnych domów z czasów Edwarda VII, ani luksusowych apartamentów. Pobudowano tam zwyczajne osiedla mieszkaniowe. Ulice pełne były podrzędnych sklepów i stojących rzędami identycznych domów. Córka pani Amis wyszła już za męża i mieszkała w Carlisle, dlatego rzadko przyjeżdżała na południe. W związku z tym matka większą część czasu spędzała samotnie.

Właśnie robiła herbatę, kiedy zadzwonił dzwonek. Wyszła z kuchni i krótkim korytarzem udała się do drzwi.

— Dzień dobry — przywitał ją Turner.

— Czego pan chce? — pani Amis przyjrzała mu się, zanim zadała pytanie. Jej szorstkość rzadko bywała zamierzonym przejawem niegrzeczności.

— Przyszedłem porozmawiać, jeżeli ma pani czas.

— A jeżeli nie mam?

Policjant wykrzywił twarz w uśmiechu.

— Proszę, niech pan wejdzie — zaprowadziła go do frontowego pokoju, który wyglądał tak, jak gdyby tego samego ranka zrobiono w nim generalne porządki.

— Właśnie robiłam herbatę. Ma pan ochotę?

— Nie trzeba mnie dwa razy pytać.

Pani Amis podała mu kubek, prosząc, żeby sam sobie wziął mleko i cukier.

— Dlaczego chce pan rozmawiać? Czyżby to nie był wypadek? — usiadła z jęklwym westchnieniem, które świadczyło albo o zmęczeniu w nogach, albo o dolegliwościach reumatycznych.

— Czemu zawdzięczam tego rodzaju pytanie?
 — Gliny nie przychodzą zadawać pytań bez potrzeby.
 — Zawsze sprawdzamy fakty towarzyszące śmiertelnym wypadkom.

— Od kiedy?
 — Odkąd nam każą... Chciałbym od pani usłyszeć, kto przychodził ostatnio do Francaville?

— Pracuję tam wyłącznie rano.

— Tak, wiem o tym.

Po namyśle wymieniła parę nazwisk. Potem przerwała i za chwilę dorzuciła jeszcze kilka innych. Do niektórych dołączała ostre, krytyczne komentarze na temat charakteru poszczególnych osób.

— Czy to byli przyjaciele — jej czy jego, a może obojga?

— Przede wszystkim jej. On siedział rano w pracy, dopóki go nie wywalili, więc ktoś by do niego przychodził?

— Czy przed lub po jej śmierci widziała pani kiedykolwiek kobietę około dwudziestopięcioletnią, rudą i najprawdopodobniej nie najbrzydszą?

— Nie wiem, jakie to może mieć dla pana znaczenie.

— Niech już pani pozostawi to mnie. Widziała ją pani, prawda? Kiedy?

— Wydaje mi się, że w ubiegłym tygodniu — pani Amis jako osoba starej daty, miała respekt dla władzy.

— Założę się, że jeszcze tam była, kiedy pani wychodziła.

— Przegrał pan zakład.

— Może wyszła, żeby kupić coś na lunch?

— Wyszła, bo się pokłócili.

— Skąd pani wie?

— Rozmawiali bardzo głośno — musieli się sprzeczać. To się czuje, nawet nie rozumiejąc poszczególnych słów. Ona, wychodząc, trzasnęła drzwiami, aż zadrżał cały dom.

Dlaczego mieliby się pokłócić? Pewnie postanowił, że w najbliższej przyszłości jej nie poślubi, uznając, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

Opracowanie za pomocą komputera podobizny postaci na podstawie opisu ustnego — to długie, żmudne i niejednokrotnie frustrujące zadanie. Dlatego wykonywał je zazwyczaj Waters, ślęcząc nad

klawiaturą i monitorem w domu co zdarzało się niewielu policjantom. Ze spokojem przyjmował wielokrotne niepowodzenia i z optymizmem wierzył, że kolejna próba uwieńczona zostanie sukcesem. Wszystko to wielu świadkom pomagało wytrwać w ich wysiłkach.

Waters poprosił panią Ackroyd o ogólny opis twarzy mężczyzny widzianego wyraźniej. Naniósł na ekran standardowe rysy, a następnie poprawiał je i odrzucał to, co było zbyt cenne w miarę, jak ona korygowała tworzony portret. Po dwudziestu minutach stwierdziła zmęczona, że twarz wygląda beznadziejnie.

Komisarz zaproponował przerwę na papierosa. Dyskutowali na temat uprawiania ogrodu, a zwłaszcza najnowszych odmian róż o bujnych kwiatach, które, jak twierdzili, intensywnie pachną. Minęło ponad piętnaście minut, zanim usiadł z powrotem do komputera. Tym razem miał trochę więcej szczęścia. Po wielu nieznacznych poprawkach trzeciej już z kolei podobizny, pani Ackroyd uznała, że teraz twarz najbardziej przypomina prawdziwą, chociaż daleko jej do doskonałości. Waters wydrukował portret. Spytał też, czy spróbowalaby zrekonstruować twarz drugiego mężczyzny, ale ona odmówiła twierdząc, że widziała go znacznie gorzej niż postać towarzyszącego mu kumpla. Opracowany przez nich wizerunek twarzy w bardzo niewielkim stopniu odzwierciedlał podobieństwo do prawdziwego mężczyzny.

Komisarz podziękował pani Ackroyd za pomoc, odprowadził ją do głównego wyjścia i wrócił do sali komputerowej po wydruk. Następnie zaniósł go do siedziby Wydziału Kryminalnego Policji i pokazał Turnerowi.

— Czy coś ci to mówi? — spytał.

— Tylko z grubsza. Za sam wygląd mógłby dostać pięć lat bez zawieszania.

— Świadkowie zwykle widzą w ludziach to, co najczarniejsze. Czybyś nie dostrzegł podobieństwa do Westona?

— Żadnego. Albo to jest tamten drugi mężczyzna, albo ona ma pamięć dziurawą jak sito.

— A może żaden z nich nie jest Westonem.

— W takim razie wszyscy naokoło są uczciwi.

Dzień był pochmurny, powietrze przepelnione wilgocią. Pani Amis, ubrana w stary płaszcz przeciwdeszczowy, szła z przystanku autobusowego do Francaville. Otworzyła sobie tylne drzwi dla służby i weszła do środka. Z korytarza udała się do pomieszczenia gospodarczego, powiesiła płaszcz i założyła fartuch. Kiedy znalazła się w kuchni, zauważyła, że wszystkie brudne naczynia z obiadu, kolacji i śniadania włożone zostały do zmywarki, masło i mleko schowane do lodówki, a dżem i przyprawy odstawione do szafy. Dzbanki i ekspres do kawy stały schludnie obok zlewozmywaka. Gdyby żyła Stephanie, zostawiłaby wszystko w nieładzie na stole lub w jadalni.

Pani Amis umyła najpierw dzbanki i ekspres, a następnie wzięła odkurzacz i przeszła do biblioteki. Odnosiła się z wielkim szacunkiem do nauki, chociaż nie zawsze ludzie wykształceni budzili w niej respekt. Z podziwem przyglądała się setkom książek, z których wiele oprawionych było w skórę. Właśnie skończyła odkurzanie parkietu, kiedy wszedł Weston.

— Dzień dobry, panie W. — Lubiła go, ponieważ zawsze był uprzejmy i serdeczny. Nigdy, nawet w najmniejszym stopniu, nie okazywał wyższości, która cechowała jego żonę. Pani Amis zgadzała się ze swoim niedawno zmarłym mężem, który twierdził, że pieniądze nie czyni człowieka lepszym, tylko bogatszym.

— Nie będę pani długo przeszkadzał. Przyszedłem po pewien dokument, który jest mi potrzebny. — Obszedł swoje biurko i otworzył górną szufladę z prawej strony.

— Wczoraj po południu miałam odwiedziny... — powiedziała.

Weston wyjął kartkę papieru, wsunął szufladę na miejsce i czekał.

— Przyszedł detektyw, ten sam, który był już tutaj raz czy dwa razy.

— Czego chciał?

Przykro jej było, że nowiny najwyraźniej go zaniepokoiły.

— Był bardzo wścibski. Wypytywał o gości, którzy bywają w tym domu, a zwłaszcza o młodą, rudowłosą kobietę.

— Ale o co pytał?

— Tak jak mówiłam, o to, czy przychodziła.

- I co mu pani powiedziała?
- Musiałam mu przecież powiedzieć prawdę.
- Oczywiście... że pani musiała. Czy mogła się pani zorientować, dlaczego o nią wypytywał?
- Powiedział tylko tyle, że gotów się założyć, że ona została po moim wyjściu. Odparłam, że nie jest taki bystry, jak mu się wydaje.
- Byłoby to raczej trudne. — Weston starał się potraktować to zajście jako pozbawione znaczenia, ale nie potrafił.

Nagle zadzwonił telefon. Ponieważ nie przyniósł aparatu bezprzewodowego do salonu, musiał pójść rozmawiać w holu.

- Mówi Eleanor. Jak się masz, Gary?
- Nie najgorzej, zważywszy na to wszystko. — Lubił oboje Edwardesow, chociaż Stephanie uważała Eleanor za osobę zanadto złośliwą i mającą zbyt wygórowane mniemanie o sobie.
- Jeżeli uznasz, że chciałbyś znów zacząć spotykać się z ludźmi, wpadnij do nas któregoś dnia, to razem coś zjemy.
- Jesteś bardzo miła.
- Nie chcę wyznaczać ci konkretnego terminu, ponieważ sam zdecydujesz, kiedy będziesz miał ochotę nas widzieć. Moja siostra, po stracie męża, rzuciła się w wir spraw poza domem. Kiedy naszymu przyjacielowi umarła żona, stał się prawdziwym odludkiem. A zatem wszystko zależy od ciebie. Tylko obiecaj, że dasz znać z chwilą, jak zapragniesz jakiejś odmiany.
- Obiecuję, z ręką na sercu.
- To dobrze... Chyba wiesz, że policja prowadzi śledztwo?
- Owszem.
- Nie chcę być nachalna, ale czy są jakieś obiekcje na temat wypadku?

Stephanie powiedziałyby, że wyłącznie kobieta pozbawiona wrażliwości w równy stopniu jak Eleanor byłaby zdolna do zadawania podobnych pytań wprost.

- Odnosi się wrażenie, że mają jakieś wątpliwości, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Skąd się dowiedziałas?

— Detektyw był tutaj w sobotę i wypytywał wszystkich mieszkańców.

— Jakiego rodzaju zadawał pytania?

— Mówił, że prawdopodobnie ktoś był u ciebie w domu w środę; dlatego chciał wiedzieć, czy ktoś widział tamtego mężczyznę. Policjant zachowywał się nienagannie, chociaż, moim zdaniem, bardzo chytrze. Wprawdzie dobry detektyw chyba musi być przebiegły. Powiedziałam mu, że nie mogę w niczym pomóc, ponieważ tamtego popołudnia pojechałam do Londynu. Musiałam wziąć udział w upiornym lunchu z Charlesem. Jak zwykle, jedzenie było bez smaku, wino skwaśniałe, a mowy drętwe. A najgorsze to, że lunchu nie można odliczyć od podatku.

— Według nich kto to mógł być?

— Naprawdę nie mam pojęcia, ale, być może, że Vera kogoś widziała. Zatrzymała się u nas i kiedy wyszła tamtego popołudnia na spacer, zauważyła, jak z twojego domu wyszło dwóch mężczyzn i w pośpiechu odjechało. Policja poprosiła ją do siebie i posadziła przed komputerem w celu stworzenia portretu pamięciowego.

— Udało się jej?

— Niezupełnie. Jeżeli ktoś nie potrafi rysować, opisanie drugiego człowieka jest rzeczą prawie że niemożliwą... No cóż... Muszę teraz wyjść na zakupy. Charles domaga się co wieczór gorącej kolacji, chociaż rośnie mu brzuszysko jak balon. Nie zapomnij dać mi znać, jak tylko przyjdzie ci ochota na odrobinę towarzystwa.

Gary odłożył słuchawkę. Kim byli tamci dwaj? Stephanie nie mogła się nikogo spodziewać, ponieważ tamtego ranka pojechała do matki, nie wiedząc, o której wróci...

ROZDZIAŁ 18

— Wygląda na to, że będziemy musieli zapomnieć o zeznaniu naocznego świadka — stwierdził inspektor, patrząc na komputerowy portret.

— Dlaczego, panie inspektorze? — zdziwił się Turner.

Obecny również Waters utkwiał na chwilę wzrok w suficie.

— Nie sądzicie, że ta podobizna jest raczej bezużyteczna? — spytał Rentlow złośliwie, bębniąc palcami po wydruku.

Turner, w przeciwieństwie do Watersa, miał zamiar się spierać, chociaż było oczywiste, że stary nie przyjmie żadnego argumentu.

— O ile mi wiadomo, pani Ackroyd nie uważa tej podobizny za zadowalającą.

— Wobec tego?

— Wobec tego zanim się poddamy, powinniśmy zdobyć zdjęcie Westona i pokazać jej.

— Po co?

— Ponieważ dowody wskazują na to, że on był jednym z tamtych mężczyzn.

— Dowody? Skoro w ogóle są jakieś dowody, to dlaczego nikt się nie pofatygował, żeby mi je dostarczyć? Wszystko, co zostało mi przekazane, stanowi jedynie przypuszczenia.

— Rentlow często zachowywał się jak adwokat diabła, chcąc zmusić prowadzących śledztwo do wysilenia umysłów, chociaż przyczyną obecnego komentarza było pełne złości zdenerwowanie. Tego rodzaju przypadek zatruwał ambitnego inspektora. Jeżeli przyjmie, że nie dysponuje dostatecznymi dowodami, aby skierować sprawę do sądu, zarzucą mu brak inicjatywy. Jeżeli zdecyduje się ścigać sprawcę i nie zdoła przekonać sądu do wniesienia aktu oskarżenia, zarzucą mu brak kompetencji.

— Jego kochanka odwiedzała go po śmierci żony i jedno ze spotkań zakończyło się kłótnią. To o czymś świadczy.

— Masz bujną wyobraźnię.

— Ależ, panie inspektorze, to wszystko łączy się w całość. Zacznijmy od początku. Weston mieszka z żoną, która ma gotóweczkę, całe wory wypchane forszą, ale przy każdej okazji wypomina mu, że to wszystko jej. Dom należy do niej i sama łoży na jego utrzymanie. Pensja męża, dopóki zarabiał, z trudem wystarczała na babę do sprzątanía. W dodatku on jest okrutnie sfrustrowany, ponieważ żona uważa, że łóżko służy wyłącznie do spania. Tymczasem zjawia się tamta ruda i daje mu taką radochę, o jakiej nawet mu się nie śniło. Tyle tylko, że ruda sądzi, iż ta wszystka śliczna forsa jest jego, więc skoro on już połknął haczyk, ona nie miałaby nic przeciwko małżeństwu. Ale cóż, jeżeli odejdzie od żony, utraci na zawsze wszystkie pieniądze i zostanie skazany wyłącznie na to, co sam zarobi. Wprawdzie jest naiwny, bo ruda naprawdę go kocha i wszystko i tak ułoży się pomyślnie. Ale do czasu. Kiedy straci pracę, nie będzie nawet w stanie kupić swojej ukochanej pudełka mlecznych czekoladek. Ona stawia jednak sprawę jasno — nie ma ślubu i pierścionka z brylantem, nie ma łóżia. Wobec tego zostaje mu tylko jedno wyjście — zamordować żonę i upozorować wypadek. Między Westonem i rudą wybuchła sprzeczka, ponieważ jej się spieszy, żeby jak najszybciej zostać panią Weston. On zdaje sobie jednak sprawę, że, jeżeli od razu z nią zamieszka, ludzie zaczną coś podejrzewać. A zwłaszcza my.

— Spisz to wszystko i postaraj się o odpowiedniego wydawcę, a zbijesz majątek.

— Tak właśnie było, panie inspektorze.

— Jedno mi tylko wytłumacz. Skąd ta pewność, że dziewczyna jest taka napalona?

— Bo jest ruda.

— I ty uważasz się za detektywa?

— Znałem kiedyś taką jedną rudowłosą, która nauczyła mnie...

— Nie obchodzą mnie twoje pogłębione studia — inspektor popatrzył na portret z komputera. — Mówisz, że chcesz urządzić seans fotograficzny i pokazać pani Ackroyd zdjęcie Westona?

— Tak, panie inspektorze. Chciałbym wziąć się za niego porządnie i ostro przesłuchać. Zadać też trochę intymnych pytań, ponieważ on należy do ludzi, którzy czują się wtedy zażenowani i tracą rezon.

— Rzeczywiście trzeba tak zrobić albo zaczekać, aż samo coś wystrzeli — Rentlow powiedział powoli.

Samochód dostawczy zatrzymał się na Trefoil Road od strony parku, niemal na wprost Francavilli. Na obydwu czarnych bokach pojazdu widniał kolorowy, skomplikowany napis, pomyślany nie w celu zwrócenia uwagi na wypisaną poniżej nazwę firmy — zwłaszcza, że przedsiębiorstwo to w ogóle nie istniało — lecz po to, by ukryć dwa umieszczone centralnie otwory.

Wewnątrz wozu pocił się fotograf i konstabl, który czatował, wyglądając przez mniejszy otwór. Przeklinał los, który wyznaczył mu zadanie tajnej obserwacji Westona. Byłby skończonym durniem, gdyby twierdził, że zna go z widzenia. Czyżby cztery lata służby nie wystarczyły, żeby opanować podstawowe zasady, pozwalające wychodzić obronną ręką z trudnych sytuacji? Żadnego więcej zgłoszenia się na ochotnika... Nagle zauważył mężczyznę, który wynurzył się z cienia rzucanego przez taras. Zanim zdążył mu się przyjrzeć, przejechało jeszcze kilka aut.

— Wyłania się — rzucił do fotografa.

— Nareszcie, do cholery. Czuję się, jak gdyby kazano mi zrobić drybling przez szparę w podłodze. — Klęknął, chwycił aparat z teleobiektywem i odsunął klapkę otworu obserwacyjnego.

— To ten w ogrodzie, który podchodzi teraz do bramy?

— Zgadza się.

— No to jedziemy — zrobił cztery zdjęcia.

— Powinny wyjść. Oczywiście pod warunkiem, że nie zapomniałem zdjąć osłony obiektywu.

Weston zostawił swoją sierę na parkingu osiedlowym — nie jeździł mercedesem od śmierci Stephanie. Przeszedł pieszko krótki odcinek drogi, minął plebanię i znalazł się przed dziesięciopiętrowym,

nowoczesnym, wykonanym ze szkła i betonu gmachem policji. Szerokim, ślimakowatym chodnikiem dostał się na poziom pierwszego piętra i głównego biura.

Za kontuarem stał komisarz i konstabl, który podszedł do Westona. Oznajmił mu, że ma właśnie umówione spotkanie z komisarzem Watersem i poprosił, żeby zaczekał.

Gary usiadł na krześle, sięgnął po leżące na stole czasopisma i zaczął je przeglądać. Kiedy stwierdził, że nie zatrzymuje wzroku nawet na zdjęciach, odłożył je na miejsce. Czy każdy wezwany na rozmowę przez policję tak bardzo się denerwuje? Na pewno wiele zależy od tego, czy ktoś jest winny czy nie. Ponieważ on jest niewinny, nie ma najmniejszego powodu do obaw...

Nagle przed drzwiami stanął Turner, rozejrzał się i, zauważwszy go, podszedł bliżej.

— Dzień dobry, panie Weston. Miło, że pan przyszedł.

Czyżby to złośliwość, pomyślał, ale nie był pewien.

— Zechce pan pójść ze mną.

Przypomniał sobie korytarz prowadzący do gabinetu dyrektora w St Brede.

Weszli do kwadratowego, wysokiego pomieszczenia z jednym niewielkim oknem, które było zakratowane. Wewnątrz stał stół i kilka drewnianych krzeseł. Było też naczynie z wodą, trzy szklanki, trochę kartek papieru i dwa pióra. Został przedstawiony Watersowi i wszyscy trzej usiedli.

— Jest kilka spraw, które chcemy wyjaśnić... — zaczął Turner.

— I jest też coś, co chcę powiedzieć wprost — przerwał mu Weston. — Moja żona zmarła na skutek wypadku. A mimo to wypytujecie bez końca o moje małżeństwo, o nią i o mnie. Jakim prawem wkraczacie w moje życie prywatne i znieważacie mnie?

— Takim prawem, panie Weston — Waters odparł spokojnie.

— Widzi pan, otrzymaliśmy szczegółowy raport z oględzin zwłok. Przykro mi, ale muszę panu powiedzieć, że wynika z niego ponad wszelką wątpliwość, iż pana żona nie zmarła na skutek wypadku, tylko padła ofiarą zaplanowanego morderstwa.

— O Boże! — krzyknął Weston. — Co to znaczy zaplanowane morderstwo? — spytał po chwili ściszone głosem.

— Termin nie jest prawniczy. Używamy go wtedy, kiedy napastnik sam nie zabija ofiary, ale działa w taki sposób, że staje się bezpośrednio odpowiedzialny za spowodowanie śmierci. W świetle zrekonstruowanych wydarzeń agresor zaatakował pana żonę, której udało się wyrwać. Wbiegła pędem na podest schodów i wpadła na poręcz. Siła uderzenia była tak duża, że żona straciła równowagę.

Nagle Weston bardzo dokładnie wyobraził sobie jej paniczny strach, który sprawił, że musiała odchodzić od zmysłów.

— Widziano dwóch mężczyzn, którzy mniej więcej w chwili śmierci żony w pośpiechu opuszczali posesję.

— I oni ją zabili?

— Wygląda na to, że spowodowali śmierć.

— Ale dlaczego? O co im chodziło? Czyżby sądzili, że w domu nie było nikogo, a tymczasem zastali ją?

— Przypadkowi złodzieje nie są fachowcami. Kiedy się włamują, pozostawiają mnóstwo śladów, a tamci nie zostawili żadnych — powiedział Turner agresywnym tonem.

— I jeszcze jedno. W garażu stał mercedes, co oznaczało, że prawdopodobnie ktoś był w domu. Przypadkowi złodzieje nie włamią się, kiedy mogą kogoś zastać w środku.

— Wobec tego, któż to mógł być?

— Dwaj mężczyźni, którzy wiedzieli, że żona była w domu.

— Chce pan powiedzieć, że zamierzali ją zabić? Ile razy mam jeszcze powtarzać, że to niemożliwe.

— Chcielibyśmy się o tym przekonać. Wobec tego zacznijmy od pana. Niech nam pan opowie, jakie w zasadzie było pana małżeństwo?

Trudno się dziwić, że Weston był zbulwersowany. W jego głosie brzmiał już tylko gniew.

— To nie wasz zakichany interes — rzucił wściekle.

Waters, w przeciwieństwie do Turnera, mówił w sposób opanowany.

— Przykro mi, panie Weston, że musimy pytać o takie rzeczy. Rozumiem, co pan czuje. Jednak potrzebne nam są fakty, których znajomość pozwoli oddzielić rzeczy ważne od nieistotnych.

— To akurat jest bez znaczenia.

— Nie byli państwo szczęśliwym małżeństwem, prawda? — ciągnął swoje Turner.

- Nasze małżeństwo było bardzo szczęśliwe.
- Pani Badger twierdzi wręcz odwrotnie. Posunęła się nawet tak daleko, że oskarża pana o morderstwo.
- Oczywiście, że tak.
- Dlaczego powiedział pan „oczywiście”?
- Ponieważ ona... Nie da się tego wytłumaczyć.
- Panie Weston — wtrącił się Waters. — Jeżeli dowiemy się o istniejących układach i przeanalizujemy je, będziemy mogli zdecydować o kierunku naszych działań zmierzających do wykrycia mordercy.

Gary zawahał się, ale w końcu zaczął mówić jakby bezwiednie, od czasu do czasu zawieszając głos. Małżeństwo Badgersów prawie od samego początku nie było szczęśliwe. Z trudnością przyszłoby znaleźć dwoje ludzi o jeszcze bardziej odmiennych charakterach. Wreszcie Andrew Badger wystąpił o rozwód, ale ona nie wyraziła zgody. W tamtych czasach nie istniały rozwody za porozumieniem stron. Przeprowadzano je wyłącznie na skutek albo złego prowadzenia się któregoś z małżonków, albo zachwianej równowagi psychicznej. Jeżeli strona skrzywdzona postanowiła nie uczestniczyć w procesie, respektowano to. Andrew Badger zemścił się dopiero po śmierci. Będąc człowiekiem bardzo zamożnym, pozostawił żonie zaledwie jedną dziesiątą części majątku. Zadał również i o to, żeby nie mogła wysunąć ewentualnych roszczeń do znacznie większego udziału. Sformułował na piśmie długą i drobiazgową relację na temat jej fizycznej oziębłości i obojętności psychicznej. Udzielił również wskazówek, iż gdyby żona kiedykolwiek wniosła apelację, należało włączyć jego pisemne oświadczenie do materiału dowodowego. Okazało się, że znał swoją żonę znacznie lepiej niż ona jego. W żaden sposób nie dopuściłaby do ujawnienia publicznie tego rodzaju dowodu. Dlatego pogodziła się z odziedziczonym stosunkowo mizernym majątkiem i bardziej nienawidziła męża po śmierci niż za życia.

— W ludzkich uczuciach rzadko dopatrzeć się można logiki. Nienawiść do męża przerodziła się w niechęć do wszystkich mężczyzn. Kiedy po raz pierwszy Weston został jej przedstawiony, była niezwykle uprzejma, chociaż odniosła się do niego z rezerwą. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że tamta powściągliwość nie służyła kamuflowaniu początkowej, zrozumiałej postawy wyczekiwania,

ale skrywała niczym nieuzasadnioną, natychmiastową wrogość. Robiła wszystko, co się dało, żeby nie dopuścić do małżeństwa, nastawiając Stephanie przeciwko niemu. Córka miała jednak tego rodzaju charakter, że ze wzmożoną siłą skłaniała się zawsze w kierunku przeciwnym, aniżeli ten, który ktoś próbował jej nadać. Już od dnia ślubu matka Stephanie przy każdej okazji dawała do zrozumienia, że ich małżeństwo to nieporozumienie; że on ożenił się wyłącznie dla pieniędzy; że miał romans z inną kobietą...

— Kiedy powiedziałem jej, że Stephanie uległa śmiertelnemu wypadkowi, bezzwłocznie oskarżyła mnie o morderstwo.

— Tak zupełnie bez powodu? — Turner spytał z niedowierzaniem.

— Przyczyny tkwiły we wszystkim, co przed chwilą powiedziałem.

— Oskarżanie pana o morderstwo wyłącznie dlatego, że ona i jej stary mąż nie zgadzali się ze sobą, wydaje mi się mocno naciągane.

— Wrażenie takie odnieść może ktoś, kto nie potrafi zrozumieć ludzkiej natury.

— A pan uważa się za kogoś, kto wie o niej wszystko? — Wobec tego pani Badger jest w błędzie, kiedy twierdzi, że pana małżeństwo nie było szczęśliwe? — Waters spytał ze spokojem.

— Tak — odparł Weston.

— To dlaczego wybrał się pan sam do Hiszpanii? — Turner nie był w stanie milczeć zbyt długo.

— A dlaczego miałbym tego nie zrobić?

— Ponieważ wszyscy mężowie, których znam, zabierają ze sobą żony. Chyba, że znajdzie się jakaś prawdziwa przeszkoda, chociażby taka, że na piasku czeka łakomy kąsek. — Przykro mi, że muszę pana rozczarować, ale nie czekał na mnie żaden łakomy kąsek — zakładałam, że miał pan na myśli kobietę.

— Znam małżeństwa, w których każda ze stron wyjeżdża na wakacje oddzielnie — zareagował Waters. — Uważają, że obojgu dobrze robi przejściowa rozłąka. A może państwo również stanowili tego rodzaju parę?

Stephanie i Gary nigdy wcześniej nie spędzali wakacji osobno, co zresztą łatwo da się sprawdzić.

— Planowaliśmy wspólne wakacje na początek września — albo w Kanadzie, albo na południu Afryki. Jednak pojechałem na urlop sam, ponieważ zwolniono mnie z pracy. Uważałem, że... że nie stać mnie na tak kosztowne wakacje. Pomimo to musiałem się od wszystkiego oderwać. Moja żona nie chciała mi jednak towarzyszyć.

— Gdzie pan był w Hiszpanii? — spytał Turner.

— W Restinie, na Costa del Sol.

— W jakim hotelu pan się zatrzymał?

— W Bahia Azul.

— Dlaczego pani Weston nie chciała z panem pojechać?

— Czy to naprawdę ma znaczenie?

— Nie wiemy, dopóki nam pan nie powie.

— Ona nie znosiła zorganizowanych wyjazdów.

— Dlatego, że korzystają z nich ci wszyscy kobiecieciarze i zrędy?

— Już przestali korzystać — ostro zareagował Waters.

— Skoro nie chciała tłoku, dlaczego nie zrealizowali państwo wcześniejszego pomysłu i nie pojechali do Kanady czy na południe Afryki — Turner nie dawał za wygraną.

— Już tłumaczyłem, że przestało mnie być stać na tego rodzaju wakacje.

— Ale żona mogła sobie z powodzeniem na nie pozwolić,

— Czy pan w ogóle cokolwiek rozumie?

— Proszę mi więc pomóc zrozumieć.

— Zawsze sam za siebie płaciłem.

— Czyżby? To znaczy, że pokrywał pan połowę kosztów utrzymania domu albo nalegał, żeby rozliczać się co do pensa za najdrobniejsze zakupy?

— Przestań już — warknął Waters, usiłując wyrazić oburzenie z powodu napastliwego tonu Turnera.

— Panie Weston, próbujemy tylko znaleźć właściwe rozwiązanie. Ponieważ pan lubił płacić sam za siebie, a żona nie znosiła tłoku, pojechał pan do Hiszpanii sam, żeby się oderwać. Czy spotkał tam pan kogoś, z kim był wcześniej umówiony?

— Nie.

— Wobec tego nie musimy tracić na tę sprawę więcej czasu... W zamian za to porozmawiajmy o środzie, o dwunastym. O ile mi wiadomo,jechał pan wtedy do Kent spotkać się z panią Stevens.

— Tak.

— Czy to dobra znajoma?

— Nigdy jej przedtem nie widziałem.

— To dlaczego chciał się pan z nią spotkać? — dążył Turner.

— Na to pytanie też już odpowiedziałem. Musiałem ją zawiadomić o przypuszczalnej śmierci brata.

— Przypuszczalnej? Nie wiedział pan na pewno, czy żyje, czy nie?

— Nasz jacht zatonął podczas sztormu.

— Ale pan się uratował. Dlaczego on miałby się utopić?

— Nie pływał zbyt dobrze. — Nie mógł przecież ujawnić, że Farleya postrzelili w ramię.

— Nie mieliście kamizelek ratunkowych albo tratw?

— Łódź poszła na dno tak niespodziewanie, że nie było czasu ani na jedno, ani na drugie.

— Sztorm rzeczywiście musiał być bardzo silny — zauważył Waters.

— Owszem, był.

— Oczywiście płynęliście blisko brzegu. Nie dało się gdzieś schronić?

— Nie przypuszczaliśmy, że sztorm okaże się aż tak groźny.

— Nie słuchaliście prognoz pogody?

— Letnie sztormy na Śródziemnym często zaczynają się przy błękitnym niebie.

— Nie wiedziałem, że to dzieje się tak szybko.

— Wygląda na to, że nie mieliście większego doświadczenia — stwierdził Turner.

— Z pewnością nie było ono wystarczające.

— Skąd pan wie, że przyjaciel się utopił?

— Ależ ja tego nie wiem. Sprawdziłem tylko przed wyjazdem z Hiszpanii, że ciała nie odnaleziono. Dlatego pojechałem na spotkanie z panią Stevens — dowiedzieć się, czy miała jakieś wiadomości.

— A miała?

- Nie.
 - Co wydarzyło się potem?
 - Nawiązała kontakt z władzami hiszpańskimi, które nic więcej nie potrafiły powiedzieć.
 - Zatem widuje pan panią Stevens.
 - Przecież wiecie, do cholery, że spotkałem się z nią od tamtego czasu.
 - Doprawdy wiemy?
 - Ten wasz sprośny detektyw zapewne wam o tym doniósł.
 - Który? Mamy bardzo wielu detektywów o brudnych myślach — powiedział po chwili Turner, nie spodziewając się tego rodzaju reakcji Westona. — Prawdą jest jednak to, że bardzo często się widujecie.
 - Nie.
 - I było tak zwłaszcza przed śmiercią żony.
 - Do jasnej cholery, dlaczego nie słuchacie, co mówię.
 - Słuchać jest łatwo, uwierzyć — znacznie trudniej.
 - Chyba wyczerpaliśmy temat — wtrącił się Waters. — Dziękuję, że pan przyszedł na pogawędkę.
 - Powiedziałem wam prawdę — Weston oświadczył podniecony.
 - Jestem tego pewien.
- Siedzący naprzeciwko Turner uśmiechał się sarkastycznie.

Odprawiawszy Westona, Turner i Waters przeszli przez główne biuro i udali się do windy. Konstabl wcisnął trzecie piętro. Drzwi zasunęły się.

- Zabawiałeś się kiedyś na jachcie? — spytał Waters, kiedy winda ruszyła.
 - Zależy, co pan chce przez to powiedzieć.
 - W każdym razie nie to, o czym myślisz.
 - A już zamierzałem stwierdzić, że na tylnym siedzeniu samochodu jest o wiele bardziej wygodnie.
 - Jeżeli masz to za sobą, powinieneś dojść do wniosku, że tylko głupiec płynąłby w sam środek huraganu zamiast wrócić i poszukać zacisznego miejsca.
 - Do czego pan zmierza?
- Winda zatrzymała się i drzwi stanęły otworem.

— Do czegoś cholernie idiotycznego — Waters zrobił krok w przód. — Ale Weston nie jest głupi i nie ma natury awanturnika, dlatego w jego opowiadaniu coś mi nie gra.

— Co pan dalej zamierza? — spytał Turner, kiedy zatrzymali się przed drzwiami do głównego biura Wydziału Kryminalnego Policji.

— Najpierw się zastanowię, a potem, być może, poproszę o chwilę rozmowy z inspektorem i wybadam, czy zgodziłby się wystąpić z prośbą do policji hiszpańskiej o ustalenie tego, co tam się wydarzyło.

Pani Ackroyd mieszkała na przedmieściu Birmingham wraz z mężem i młodszym synem.

— Pewnie pan chce, żebym obejrzała kilka zdjęć, czy tak? — spytała konstabla, prosząc go do salonu.

— Zgadza się. Proszę tylko powiedzieć, czy sfotografowany mężczyzna jest jednym z tamtych dwóch, których pani widziała, kiedy odjeżdżali z Trefoil Road.

— Ale zdaje pan sobie sprawę, że nie zwracałam na nich specjalnej uwagi. Prawdę mówiąc, tamtego drugiego w ogóle sobie nie przypominam.

— Pomińmy to, co powiedziała pani w Londynie. Teraz proszę tylko się przyjrzeć — podał jej cztery zdjęcia.

— To na pewno nie jest tamten mężczyzna, który był lepiej widoczny. Nie sądzę również, żeby to był ten drugi — stwierdziła po dokładnym obejrzeniu zdjęć.

— Chcesz, żebym za pośrednictwem Interpolu wystąpił z prośbą do policji hiszpańskiej o ustalenie wszystkich możliwych faktów związanych z pobytem Westona w Restinie. A zwłaszcza, żeby stwierdzili, czy był tam w towarzystwie pani Stevens. No i jeszcze żeby się dowiedzieli, w jakich okolicznościach zatonął jacht — Rentlow usiadł na brzegu biurka.

— Tak, panie inspektorze — potwierdził Waters.

— Uzasadniając tego rodzaju prośbę, musiałbym wykazać, że potencjalne dowody są niezbędne dla sprawy. Ale jeżeli Weston nie zabił swojej żony, wszystko to przestaje mieć rację bytu.

- To jedno wielkie „ale”.
- I ty to mówisz po zeznaniach pani Ackroyd?
- Po pierwsze, wydaje się, że ona nie była do końca pewna, jeżeli chodzi o drugiego mężczyznę. Po drugie, Weston wcale nie musiał być jednym z nich, żeby dokonać morderstwa. Po trzecie, coś nie gra w jego opowiadaniu o zatonięciu jachtu. Wreszcie po czwarte, prawie wszystkie pozostałe dowody przemawiają za tym, że jest mordercą.
- I ty to nazywasz dowodami? Zaczynasz zachowywać się jak Phil.
- Od czasu do czasu on też miał rację.

ROZDZIAŁ 19

Weston skręcił na podjazd do Melton Cottage i zatrzymał auto obok garażu. Podszedł do drzwi frontowych i nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiadał. Nie od razu wrócił do samochodu — rozejrzał się po ogrodzie, sięgając wzrokiem w stronę drzew i obserwując gołębia, który latał tam i z powrotem, aż wreszcie, gwałtownie trzepocząc skrzydłami, usiadł na dębie. Mógł przecież zatelefonować, żeby upewnić się, że ją zastanie. Postanowił jednak tego nie robić, ponieważ mogłaby się wtedy nie zgodzić na spotkanie.

Okazało się, że podjął niefortunną decyzję.

Zaczął spacerować wyłożoną kamienną kostką ścieżką, która prowadziła do bramy ogrodu. Nagle usłyszał zajeżdżający samochód. Zrobił jeszcze krok do przodu i wyjrzał poza narożnik domu. W samą porę dostrzegł tył czerwonego auta, które zniknęło za przybudówką. Czekał rozgrzany słońcem.

Teraz, na wysypanym żwirem podjeździe, słyszał już jej energiczne kroki, których odgłos przypominał chrzęst. Zawiasy bramy zaskrzypiały i ukazała się postać Kate.

— Poznałam twój samochód. Czego ty właściwie chcesz? — w jej głosie czuło się rozdrażnienie. — Przeszła obok niego, kierując się do drzwi frontowych i nagle zawróciła.

— Mógłbyś mi powiedzieć i sobie pójść?

— Przyjechałem, żeby cię przeprosić.

Nie potrafiła ukryć zdziwienia.

— Bardzo mi przykro w związku z tym, co zaszło tydzień temu. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie oprócz tego, że byłem potwornie wszystkim wstrząśnięty i nie mogłem myśleć logicznie. Na dobrą sprawę nie bardzo wiedziałem, co mówię.

Kate uznała, że Gary działał teraz rozmyślnie, próbując wzbudzić

w niej sympatię i sprawić, by nie żywiła już do niego tak wielkiej urazy. Tymczasem ona doznała w przeszłości zbyt wielu nieszczęść, żeby teraz tę sympatię stłumić.

— Wejdz, proszę — powiedziała, otwierając kluczem drzwi.

Wszedł za nią do holu, a następnie do salonu. Kate usiadła od strony okna, splotła dłonie i położyła je na kolanach. On zatrzymał się dokładnie w drzwiach.

— Tydzień temu... — zaczął. — Wiesz przecież, co stało się w ubiegłym tygodniu. Natomiast na dzisiaj rano zaproszono mnie do głównego gmachu miejscowej policji; raczej kazano mi się stawić. Dwaj detektywi powiedzieli mi, że zakończone zostały szczegółowe oględziny zwłok mojej żony, które wykazały, że przyczyną śmierci nie był wypadek. Ktoś ją napadł. Zdołała jednak się wyrwać. Uciekając w panice, wpadła na poręcz schodów i straciła równowagę. Policja nazywa taką śmierć następstwem zaplanowanego morderstwa.

— O, mój Boże! — westchnęła Kate.

— Wobec tego oni teraz szukają mordercy, a ze sposobu w jaki mnie przesłuchiowano jasno wynika, iż są przekonani, że już go mają. Tyle tylko, że ja nigdy, wobec żadnej kobiety nie użyłem przemocy fizycznej, a tym bardziej wobec własnej żony. Przysięgam, że to prawda.

— Dlaczego... dlaczego posądzają właśnie ciebie?

— Ponieważ są jak psy Pawłowa. Skoro większość morderstw popełnia ktoś z rodziny lub grona bliskich przyjaciół ofiary, jakby automatycznie od samego początku podejrzewają właśnie kogoś takiego.

— Przecież najpierw muszą znaleźć przyczynę.

— To bardzo proste. Są przekonani o słuszności swoich racji. Naginają fakty, dopasowując je do własnej teorii.

— Jakiej teorii?

— Takiej, że stosunkowo biednego mężczyznę, ożenionego z bogatą kobietą, interesują wyłącznie jej pieniądze. A ponieważ ich małżeństwo nie jest przedłużeniem miesiąca miodowego, on zamierza się jej pozbyć, uznając, że to jedyny sposób na zagarnięcie pieniędzy. Poza tym, jeżeli zdarzyło mu się kilka razy rozmawiać z inną kobietą, to znaczy, że ona jest jego kochanką... Wcale się nie myliłaś. Tamten detektyw, który tylko węszył naokoło stwierdził, że jesteście kochankami. Do tego samego wniosku doszli dwaj policjanci dzisiaj rano. Powiedziałem im, że prawie ciebie nie znam, ale

nie potrafili zrozumieć, że mogą być tak bardzo naiwny i liczyć na to, że mi uwierzą. Ci cholerni dranie są przekonani, że zabiłem Stephanie, żeby pojąć całą jej fortunę i ożenić się z tobą.

Kate rozplotła dłonie i odgarnęła z czoła zabłąkany kosmyk włosów.

Gary odszedł od drzwi i usiadł na najbliższym fotelu.

— Zawsze myślałem, że praca policji opiera się w tym kraju na niezbitych dowodach. Tymczasem oni uznali mnie za winnego, ponieważ powodowana chęcią zemsty matka Stephanie powiedziała im, że to właśnie ja zamordowałem jej córkę.

— Takie stwierdzenie stanowi dostatecznie silny argument.

— Wobec tego uważasz, że oni mają rację?

— Chciałam tylko powiedzieć, że jeżeli matka żony oskarża zięcia o zamordowanie jej córki, zmusza w ten sposób policję do podejrzeń. A niezależnie od wszystkiego muszą istnieć jakieś nadzwyczajne okoliczności, żeby matka tak się zachowywała.

— Owszem były nadzwyczajne okoliczności, cholernie nadzwyczajne, ale dotyczyły teściowej i teścia, a nie Stephanie i mnie. Usiłowałem wytłumaczyć to policji, lecz mnie nie słuchali, ponieważ nie pasowało to do ich teorii. Jak, na Boga, mam ich przekonać, że jej nie zabiłem. Że nie każdy mąż pała żądzą zagarnięcia majątku żony. Że można rozmawiać dwukrotnie z kobietą i niekoniecznie z nią sypiać... Przepraszam. Przyjechałem tutaj prosić o wybaczenie, a skończyło się na hysterii.

— Trudno to tak nazwać.

— Prawdą jest, że... — zawiesił głos.

— Że się boisz — powiedziała Kate, przyjrzawszy mu się.

— Wiem, że jestem niewinny. A jednocześnie widzę, jak oni nabierają coraz większej pewności, że wina ciąży na mnie.

— Zastanawiałeś się, kto może być mordercą?

— Policja wyklucza przypadkowego sprawcę, zaskoczonego obecnością Stephanie w domu. Nikt spośród znanych jej ludzi nie byłby zdolny do czegoś takiego. A co do podejrzeń, że ja mógłbym...

— Ponieważ tego nie zrobiłeś, nikt nie jest w stanie ci udowodnić, że było inaczej.

— Miesiąc temu uważałbym podobnie. Niewinność stanowi doskonałą tarczę. Coraz bardziej się jednak przekonuję, że ta tarcza jest cholernie iluzoryczna.

— Mam nadzieję, że popełniasz straszliwy błąd.

— A ja wiem, że mam rację.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Napijesz się czegoś? — spytała Kate.

Już prawie zapadał zmierzch. Lekki wietrzyk ścichł, a powietrze znieruchomiało. Z łatwością docierał teraz każdy najdrobniejszy dźwięk. Kiedy stanęli przed wejściem do domu, słychać było odległy, głuchy, rytmiczny stuk maszyny prasującej siano, ryk krowy, pianie koguta, który stracił chyba poczucie czasu, szczekanie psa i odgłos nadjeżdżającego samochodu. Weston przyglądał się rosnącej na środku trawnika jabłoni.

— Opowiadałam ci o Jasonie i o tym drzewie?

— Nie.

— On bardzo za nim tęsknił. Dziwiło mnie to, ponieważ bynajmniej nie należał do ludzi, którzy popadają w nostalgię. Prawdopodobnie jabłoń przedstawiała dla niego wartość symbolu.

— Co też mogła przywozić mu na myśl?

— Może wyrażała nadzieję powrotu do życia pełnego prawdziwych wartości i dawała szansę ponownego znalezienia się tutaj, jeżeli tylko by tego zapragnął.

Kate patrzyła na drzewo z rękami skrzyżowanymi na piersiach. W gasnącym świetle wieczoru z jej twarzy znikły zmarszczki. Wyglądała młodo i atrakcyjnie.

— Czy w ogóle potrafiliby osiedlić się gdzieś na stałe? — zastanawiała się. — Sprawiał wrażenie człowieka, którego świat musi obfitować w różnego rodzaju zdarzenia. Kiedy byłam dzieckiem, uważałam go za kogoś wspaniałego, pełnego wigoru. Gdy wydorosłałam, zaczęłam dostrzegać w jego życiu element wyzwania, które popychało go do przodu, przepowiadając zarazem prawdopodobieństwo zagłady... Może należy być wdzięcznym losowi, że umarł zanim zdążył odkryć, że i tak stałby się w końcu człowiekiem przegrany. Świat nie jest łaskawy dla strażników.

A może wszyscy troje są na straconych pozycjach? Pomyślał Weston z goryczą.

— Lepiej będzie, jak już sobie pojedę — powiedział.

Zaczęli iść w kierunku sierry. Nagle Kate spojrzała mu w twarz.

— Chcę, żebyś wiedział, że bardzo się cieszę z dzisiejszego wieczornego spotkania.

— Mam nadzieję, że nie zachowywałem się jak złowróźbna Kasandra.

— Czyżby ona nie przepowiadała nieszczęść, w które nie należy wierzyć, pozostawiając na uboczu przeszłość, która jest wiarygodna? Pomogło mi to przewartościować wiele spraw. A tobie?

— Owszem, tak — odparł, starając się, żeby słowa te zabrzmiały szczerze. Jej życzliwość działała na niego jak balsam, chociaż nie odmieniała faktów. Otworzył drzwi auta, ale nie od razu wszedł.

— Jeżeli znów przyjadę, wybrałabyś się ze mną na kolację? — spytał.

— Z przyjemnością — chyba nigdy nie mówiła tak wprost.

— Daję uroczyste słowo honoru, że nie będzie żadnych narzekania i utyskiwań.

— Nie musisz składać tego rodzaju obietnic.

— Zatem do zobaczenia — powiedział, siedząc już za kierownicą i opuszczając szybę.

— Czy uświadamiasz sobie fakt, że po raz pierwszy nie rozstajemy się w gniewie? — spytała pochylona w jego stronę.

Pierwsze dwa tygodnie sierpnia przyniosły upalną pogodę. Temperatura wzrosła rekordowo. Gazety wypełnione były artykułami na temat raka skóry, suszy, ograniczonych dostaw wody i efektu cieplarnianego. Anglicy lubowali się w makabrycznych wizjach.

Rentlow nareszcie dał za wygraną i poddał się pogodzie, wieszając marynarkę na oparciu krzesła i odsłaniając płomiennie czerwone szelki. Waters, zdziwiony tak ostentacyjnym neglizmem, gapił się na nie, próbując dociekać, jaki mają wzór.

— Co nowego? — spytał inspektor.

— Przyszedł raport z Hiszpanii w sprawie Westona — Waters wrócił nagle myślami do poważniejszych spraw.

— Jest coś interesującego?

— Nie wiem, kto robił tłumaczenie, ale na ogół wszystko da się zrozumieć — komisarz położył dokument na biurku.

Rentlow przeczytał raport i podniósł wzrok.

— Nic nadzwyczajnego — oznajmił. — W hotelu mówią, że wynajmował pokój jednoosobowy, ale nie mogą stwierdzić, czy mieszkał w nim sam. Policja poszukuje świadka, który rzekomo widział Westona w nocnym klubie w towarzystwie jakichś dwóch kobiet. Świadek nie jest jednak pewien, czy któraś z nich była ruda... Straciliśmy szansę.

— Na drugiej stronie jest coś bardziej konkretnego.

— O, dobry Boże! — krzyknął Rentlow, przewracając kartkę.

— To wiele wyjaśnia.

— Może albo tłumaczyć wszystko, albo jeszcze bardziej sprawę zagmatwać... Policja twierdzi, że Weston wdał się z Farleyem w przemyt narkotyków. Czyżby żona odkryła, w co był zamieszany? Czy zabił ją dlatego, żeby zamknąć jej gębę? A może wymknęło mu się, że ona zamierza sypanąć, a wtedy tamci faceci na górze zdecydowali sami przystąpić do działania? A jeżeli uzyskane informacje nie mają żadnego związku z naszą sprawą?

— Takie odnoszę wrażenie — stwierdził inspektor, wzruszając ramionami.

— Policja hiszpańska zamierza wystąpić o ekstradycję.

— Umiem czytać — Rentlow rzucił oschle.

— Jak pan na to zareaguje?

— Entuzjastycznie.

— Pozwoli pan, żeby on wymknął się nam z rąk? — Waters nie ukrywał zdziwienia. Rentlow nienawidził wpadek, nawet jeżeli przyjąć, że z jego statystyk policyjnych usunięta zostałaby sprawa niezbyt dobrze się zapowiadająca.

— Zamierzam wykazać dobre chęci, jeżeli chodzi o wydanie Westona. A to zupełnie zmienia postać rzeczy.

— Obawiam się, że odbieram na innych falach, panie inspektorze.

— Chyba powinienem cię pochwalić za brak wyobraźni.

Waters nie mógł zrozumieć, dlaczego on się z niego wyśmiewa.

ROZDZIAŁ 20

Eskort należący do Wydziału Kryminalnego Policji zwolnił.

— To ten dom — orzekł prowadzący auto Waters.

— W rzeczy samej, cóż za wzbudzająca respekt pretensjonalność — Rentlow wyglądał przez boczną szybę. — Przypomniała mi się moja pierwsza obława, kiedy byłem szczyłem. Dom także wyglądał na zamieszkały przez podstarzałego bankiera, który wprawdzie nie miał gustu, ale i nie wzbudzał żadnych podejrzeń.

— Czyżby dom należał do kogoś zupełnie innego? — Waters wcisnął się między parkujące samochody.

— Mieszkało w nim małżeństwo, które zajmowało się fabrykowaniem aniołków. Zbijało na tych skrobankach znacznie większą forszę niż szanujący się bankier.

Wysiedli z samochodu i szli chodnikiem w kierunku Francavilli. Ogrodnik, który plewił grządkę w ogrodzie od frontu, podniósł do góry głowę i kiwnął nią nieznacznie w odpowiedzi na dziarskie dzień dobry Rentlowa.

— Słucham — drzwi otworzyła pani Amis.

— Chcielibyśmy porozmawiać z panem Westonem — powiedział Rentlow po przedstawieniu się.

Kobieta w milczeniu wpuściła ich do środka i wskazała drogę do pokoju przyjęć. Zanim odeszła, rozejrzała się naokoło, żeby się upewnić, czy przypadkiem nie pozostawiono czegoś, na co mógłby się połakomić gliniarz o naturze złodziejaszka.

Rentlow podszedł do najbliższego okna i rozglądał się po tylnej części ogrodu.

— Jeden ekscentryczny książę z Bedford polecił służbie, żeby zachowywała się wobec każdego gościa w sposób drastycznie

niegrzeczny, mając nadzieję, że okaże się to na tyle denerwujące, iż przybysz sam odejdzie. Być może Weston zapożyczył ten pomysł?

— Powiedziałbym, że jego służącej grubiańskość przychodzi jakby naturalnie. Chociaż w rzeczywistości nie jest taka najeżona, na jaką wygląda.

— Twoja wielkoduszność, Nick, wpędzi cię kiedyś w kłopoty.

Inspektor rzadko zwracał się do Watersa po imieniu. Komisarz zastanawiał się, co też mogło być przyczyną okazanej poufałości.

Wreszcie do pokoju wszedł Weston. Rentlow się przedstawił i natychmiast przejął kontrolę nad spotkaniem, jak gdyby to on był panem domu.

— Postaramy się nie zawracać panu głowy dłużej, niż będzie konieczne. Ponieważ jednak jest trochę spraw do przedyskutowania, proponuję, żebyśmy usiedli — usadowił się wygodnie. — Jak panu wiadomo, prowadzimy śledztwo w sprawie tragicznej śmierci pana żony, które wykazało, że padła ona ofiarą zaplanowanego morderstwa. Obecne prawo, w odniesieniu do pewnych szczegółów, zajmuje z jednej strony jasne, a z drugiej — niesprecyzowane stanowisko. Jeżeli oskarżony zamierzał zabić swoją ofiarę, mamy do czynienia z morderstwem. Jeżeli sprawca nie chciał pozbawiać ofiary życia, ale nie dbał o skutki własnych poczynań, które według każdej rozumnej istoty doprowadziłyby do zgonu, mamy do czynienia z nieumyślnym spowodowaniem śmierci. Z pewnością rozumie pan, że nieściskość prawa odnosi się do tego mrocznego obszaru, w którym fakty nie określają przejrzysto i jednoznacznie intencji sprawcy i stopnia jego ignorancji. Konsekwencje praktyczne dla oskarżonego o morderstwo istotnie się różnią od konsekwencji wobec winnego nieumyślnej śmierci. Tam, gdzie dochodzi do zbrodni, zarówno w teorii, jak i w praktyce, kara jest znacznie bardziej surowa. Mam na myśli w równym stopniu skutki moralne i następstwa prawne. Czy rozumie pan, dlaczego o tym wszystkim mówię?

— Nie — odparł Weston sztywno.

— Nie? Wobec tego spróbuję to panu wyjaśnić. Wielokrotnie w interesie oskarżonego o pozbawienie kogoś życia leży raczej

uznanie istniejących faktów, które przemawiają za nieumyślnym spowodowaniem śmierci, aniżeli dalsze im zaprzeczanie. Przyznanie się do winy oznacza skruchę i gotowość poniesienia kary, dzięki czemu osiągnąć można uwolnienie od oskarżenia. Sędzia, który wydaje wyrok, zawsze traktuje przejawianą skruchę jako okoliczność łagodzącą. Tymczasem jeżeli ktoś w dalszym ciągu wszystkim zaprzecza, a prawda sama wychodzi na jaw, sędzia uważa, że ma przed sobą człowieka pozbawionego jakichkolwiek skrupułów i nawet nie próbuje uwolnić go od winy i kary. Sędziowie zwykle odnoszą się do takich ludzi z ogromną surowością. Nie są w stanie zrozumieć ludzkich słabości, jeżeli nie daje im się żadnej szansy.

- Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią mojej żony.
- Fakty mówią inaczej.
- Co wy, u diabła, możecie wiedzieć o faktach? Interesują was tylko niczym nie uzasadnione przypuszczenia.
- Nie zamierza pan powiedzieć nam prawdy?
- Od samego początku mówię prawdę.
- Wobec tego nie ma pan już nic do dodania?
- Nie.
- Szkoda. A sądziłem, że nam pan jednak coś powie, dla własnego dobra.
- Chcacie mnie przekonać, że fałszywe zeznania leżą w moim interesie?
- Zakładam, że zeznania byłyby prawdziwe. Hiszpania występuje o pana ekstradycję. Jeżeli przyznałby się pan do nieumyślnego spowodowania śmierci tutaj, w tym kraju, tamto dałoby się zdementować.

— Czego chcą Hiszpanie?

— Żeby im pana wydać pod zarzutem handlu narkotykami.

Weston spojrział na Rentlowa i przez chwilę nie był w stanie zrobić nic poza tym, że zachodził w głowę, czy inspektor przypadkiem nie zwariował.

— Mówią, że załadowaliście tonę konopi indyjskich na wybrzeżu Maroka, z zamiarem przewiezienia ich do Hiszpanii.

— Zupełnie skretynieli.

— Kiedy wyłynęliście z Restiny, kierowaliście się na północ, żeby sprawić wrażenie, iż odbywacie zwyczajny, relaksowy rejs

wzdłuż wybrzeży Hiszpanii. Po zapadnięciu zmroku zmieniliście kurs i przepłynęli do Menache. Zawróciliście kursem odwrotnym, a potem skręcili na południe, żeby jeszcze bardziej upozorować wycieczkę dla przyjemności. Plan zdruzgotał sztorm.

— Jedno mnie zaintrygowało, jak tylko opowiedział nam pan o rejsie — Waters przemówił po długim, jak na niego, milczeniu — dlaczego nie schroniliście się gdzieś w zacisznym miejscu, kiedy było już wiadomo, że wiatr tężał. Teraz przyczyna jest oczywista. Nie odważylibyście się dotknąć lądu przed dotarciem do Restiny, ponieważ tam, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, miało nastąpić przekazanie ładunku.

— Na pokładzie nie było ani grama haszyszu.

— Policja hiszpańska twierdzi, że ma na to dowody.

— W takim razie kłamie.

— Rzuci pan poważne oskarżenie — zauważył spokojnie Rentlow. — Chyba powinien sobie pan zdać sprawę z jednego. W handlu narkotykami obowiązuje ostra konkurencja w obronie własnych interesów. Pośrednik, sprzedający pewną ilość towaru przewoźnikowi, który zaraz wyruszy w drogę, informuje odpowiednie władze o dokonaniu transakcji. Następnie władze te przekazują wiadomość policji w kraju przeznaczenia i handlarz zostaje aresztowany. Za udostępnienie informacji pośrednik dostaje jeszcze nagrodę, którą na ogół stanowi procent od wartości towaru. Wobec tego wilk jest syty, a owca cała.

— Żaden pośrednik nie mógł posłużyć za informatora, ponieważ nie kupowaliśmy narkotyków.

— Popłynęliście do Maroka?

— Odbywaliśmy rejs dla przyjemności wzdłuż wybrzeży Hiszpanii.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak błyskotliwie inteligentny człowiek uporczywie kłamie dalej, chociaż wszystkim już dokładnie wiadomo, że mija się pan z prawdą. Widział pan, jak wygląda więzienie w Hiszpanii? — Rentlow westchnął.

— Oczywiście że nie.

— Dobrobyt nie zawsze zapewnia izolację od prawdziwego świata, panie Weston — Rentlow uśmiechnął się sardonicznie. — Hiszpania ma wprawdzie ambitny program poprawy warunków w

więzieniach, ale, niestety, jak wszędzie, szczytne zamiary niweczą biurokratyczne opóźnienia, presja inflacji i ta cała formalistyczna procedura. Mówiono mi, że dotychczas zaledwie kilka więzień zostało przebudowanych i zmodernizowanych. Większość z nich trwa w nie zmienionym stanie. Zdarzyło mi się kiedyś aresztować człowieka, który spędził pięć lat w hiszpańskim więzieniu. Twierdził on, że po tamtym doświadczeniu perspektywa dziesięciu lat odsiadki w Dartmoor — to pestka. Upokarzające warunki bytu degradują ludzką naturę. Upodlony więzień często znajduje przyjemność w poniżaniu innych, którzy naginają się do jego poziomu. Przyjemność jest jeszcze większa, jeżeli trafi się na cudzoziemca. A już prawdziwą satysfakcją sprawia obcokrajowiec wywodzący się z uprzywilejowanej klasy społecznej. Bardzo wątpię, czy jest pan sobie w stanie wyobrazić te wszystkie brudy, bezpodstawną agresję i dręczenie seksualne, będące na porządku dziennym w starych, zatłoczonych więzieniach. Jestem pewien, że nie wyszedłby pan z tego bez okaleczeń fizycznych i psychicznych.

— Jestem niewinny — powiedział już bliski obłędu Weston.

— Pozostaje mieć tylko nadzieję, że zdoła pan, dla własnego dobra, przekonać o tym władze hiszpańskie. Jeżeli nawet by się panu w końcu udało, i tak wtrącą pana do więzienia na niewiele krócej niż dożywotnio, ponieważ dewizę ich usług prawnych stanowi hasło „jutro nigdy nie nadejdzie”. Szczerze mówiąc dziwię się, dlaczego odmawia pan zrobienia tylko jednego kroku w celu uniknięcia tego wszystkiego.

— Jakiego kroku?

— Powiedzenia nam prawdy o śmierci żony. Oczywiście, jeżeli obciążony pan będzie zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci tutaj, w tym kraju, nie będzie pan podlegał ekstradycji do Hiszpanii pod zarzutem handlu narkotykami.

— Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

— Niczego się od pana nie dowiedzieliśmy.

— Dlatego, że ja nic nie wiem.

— Tym gorzej dla pana.

— Dlaczego, do diabła, nie chcecie mi wierzyć?

— Ponieważ pan kłamie.

— Mówię prawdę, do cholery. Z wyjątkiem opowiadania o wycieczce jachtem. Reszta jest prawdziwa.

— No to co z tą wycieczką?

Weston poczuł, jak zimny pot oblewa mu czoło. W przeciwieństwie do Ulissesa, nie mógł przywiązać się do masztu, kiedy zbliżał się do Scylli i Charybdy.

— No dobrze. Nie płynęliśmy wzdłuż brzegu, ale wzięliśmy kurs aż do Maroka. Zamiast narkotyków zabraliśmy na pokład trzech mężczyzn. Kiedy Jason powiedział, że ze względu na fatalną pogodę trzeba schronić się w porcie, jeden z nich wyciągnął broń i zmusił nas do utrzymania kursu.

— Czy wszyscy trzej byli Hiszpanami?

— Jason twierdził, że tak. Z pewnością porozumiewali się po hiszpańsku.

— To prawdopodobnie narkotyczni mafiosi.

— Nie.

— Skąd ta pewność, jeżeli nie potrafi pan jednoznacznie określić ich narodowości?

— Gdyby byli szefami mafii, Jason nie wpuściłby ich na pokład.

— Czyżby świadomość odpowiedzialności? Z mojego doświadczenia wynika, że postępowanie wbrew własnemu sumieniu przyjmuje tylko jedno ograniczenie — prawdopodobieństwo, że wszystko wyjdzie na jaw. Jeżeli szefowie mafii narkotycznej odpadają, może to byli terroryści?

— Nie wyglądali na terrorystów.

— Nawet ten, który wyciągnął broń i mierzył w pana kierunku? Nie wszyscy terroryści podobni są do Che Guevary. Ile panu zapłacili?

— Odmówiłem przyjęcia jakichkolwiek pieniędzy.

— Męskie zasady?

— Znalazłem się w załodze Cristiny, ponieważ nie miałem wyboru.

— Uśpili pana i załadowali na jacht, prawda?

— Zaszantażowali mnie.

— Interesujące rozwiązanie. W jaki sposób odbył się ten szantaż?

— Jason zorganizował przyjęcie z udziałem dwóch kobiet...

— I co? Niech pan się przestanie liczyć z naszymi odczuciami. Nie mamy specjalnych uprzedzeń.

— Pokazał mi zdjęcia, na których byłem ja i jedna z tamtych dziewczyn; groził, że je ujawni, jeżeli nie przyjdę mu z pomocą.

— Lepiej mieć przyjaciół niż wrogów... W porządku. W takim razie nie. pozostaje nam nic innego, jak podjąć rutynowe czynności. Poinformujemy władze hiszpańskie, że zaprzecza pan, jakoby miał przewozić narkotyki, a damy im znać, że pana ładunek stanowili trzej mężczyźni, prawdopodobnie narodowości hiszpańskiej. Muszę pana przestrzec, że albo panu uwierzą, albo uznają, że tamci trzej — to terroryści, a wtedy zapalą się jeszcze bardziej do pomysłu ekstradycji.

— Musicie im powiedzieć, że zostałem siłą wzięty na pokład.

— Zrobimy adnotację na tę okoliczność, chociaż rodzaj szantażu osłabi moim zdaniem, jej skuteczność. Przyłapanie in flagrante delicto wzbudzi raczej śmieszność i pogardę aniżeli pełne współczucia i zrozumienie.

— Nie obchodzi mnie, do licha, jak zostanie to odebrane. Po prostu tak się stało.

— Zanim nasz raport dotrze do władz hiszpańskich, a ich zmodyfikowane żądanie ekstradycji wróci do nas, upłynie trochę czasu, pozostanie pan zatem na razie na wolności. Żeby jednak nie przyszło panu do głowy wyjechać z kraju i szukać schronienia tam, skąd nie praktykuje się ekstradycji ani do Hiszpanii, ani z powrotem do Anglii, zmuszony jestem poprosić pana o paszport. Oczywiście wolno panu odmówić. Jeżeli pan nie wyrazi zgody, wystąpię do sądu o nakaz jego konfiskaty i sprawa natychmiast nabierze rozgłosu. Chyba wolałby pan tego uniknąć.

Weston miał ochotę krzyknąć, że w wolnym kraju niewinnego obywatela nie można traktować jak przestępcy. Jednak zachował dostateczne poczucie rzeczywistości i zrozumiał, że nie powinien tego robić. Wyszedł więc z pokoju i udał się do biblioteki, skąd wrócił z paszportem.

— Napisz pokwitowanie — Rentlow powiedział do Watersa.

Komisarz miał kilka pustych blankietów zatkniętych z tyłu w nosie. Wypełnił jeden kwit, podpisał i podał Westonowi.

— Zanim skontaktujemy się z panem ponownie, proszę wykorzystać czas, pamiętając, że może pan jeszcze zrewidować swoje stanowisko — oznajmił Rentlow.

— W jakim sensie?

— Powiedzieć nam prawdę o śmierci żony i uniknąć nadzwyczaj nieprzyjemnego doświadczenia, jakim jest wyrok skazujący na więzienie w Hiszpanii.

— Powtarzam wam tę prawdę na okrągło.

— Szkoda.

Wreszcie wyszli. Waters siadł za kierownicą escorta, a Rentlow zapiął pasy.

— Niech to diabli, a wydawałoby się, że ma tyle zdrowego rozsądku, żeby wiedzieć, co leży w jego interesie.

— Czy więzienia w Hiszpanii rzeczywiście są takie okropne? — spytał Waters, uruchamiając silnik.

— Nie mam pojęcia... No cóż, jak ci się to widzi?

— Przypomina labirynt, jak korytarze sądu w Hampton. Im bardziej się w to wgłębić, tym bardziej się wszystko gmatwa — komisarz zjechał z chodnika.

— Czy on mówił prawdę o rejsie do Maroka?

— Opowiadanie brzmiało przekonująco. Jeżeli ładunku nie stanowiły narkotyki, na jakiej podstawie policja hiszpańska twierdzi, że ma jakieś dowody?

— Dobre pytanie. Oczywiście na nie odpowiedzią jest to, że on kłamał. Tylko jeżeli Hiszpanie skłonni są traktować próbę przewiezienia trzech potencjalnych terrorystów jako znacznie poważniejsze przestępstwo aniżeli transport tony haszyszu, dlaczego Weston, upierając się przy swojej wersji, ryzykuje znacznie poważniejsze oskarżenie? Potrafisz to wyjaśnić?

— Nie, nie potrafię.

— Istnieje tylko jedna możliwość... że on mówił prawdę.

— Sądziłem, że był pan przekonany o jego kłamstwie.

— Jestem przekonany wyłącznie co do jednej rzeczy. Jak już mówiłeś, cała sprawa staje się coraz bardziej zawiła.

ROZDZIAŁ 21

Kate leżała w hamaku rozciągniętym pomiędzy jesionem i dębem za żywopłotem z krzewów kolczastych, zasłaniającym ogród od zachodu. Nagle usłyszała nadjeżdżający samochód. Zakląła. Niebo było bezchmurne, słońce prażyło, wiał łagodny wietrzyk, a delikatne kołysanie hamaka bardzo przypominało jej popołudnia z Jasonem, kiedy razem żeglowali w górę rzeki Dart. Kate odkryła ponownie naturalny urok tamtych dni.

Weston wyszedł z za rogu domu i zmierzał w kierunku drzwi frontowych. Już z daleka zauważyła widoczny na jego twarzy niepokój. Zakolebała się w hamaku, chwyciła siatkę z obu stron i usiadła.

— Jestem tutaj — powiedziała.

Kiedy ją zobaczył, przeszedł przez trawnik.

— Coś się stało, tak? — spytała, ostrożnie ześlizgując się na ziemię.

— Dzisiaj rano była w moim domu policja. Przyszli mi powiedzieć, że Hiszpania domaga się mojej ekstradycji.

— O, Boże, dlaczego?

— Twierdzą, że mają dowody na to, że Jason i ja załadowaliśmy tonę konopi indyjskich na brzegu w Menache z zamiarem przemytu do Hiszpanii.

— To absurd! — wściekłość Kate była natychmiastowa.

— Powiedziałem inspektorowi, że Jason nie tknąłby narkotyków. Musiałem jednak przyznać się do tego, że zabraliśmy trzech mężczyzn.

— Mówiłeś mu o tym?

— Przecież tak było.

— Jeszcze się nie nauczyłeś, że prawda bywa czasami zbyt niebezpieczna, żeby ją ujawniać?

— Ja... nie myślałem w ten sposób.

— Ani w ten, ani w żaden inny.

— Najpierw wypytywali mnie o śmierć Stephanie. Potem dali do zrozumienia, że jeżeli nie chcę zgnić w hiszpańskim więzieniu, muszę przyznać się do spowodowania jej śmierci, nawet jeżeli nie miałem zamiaru jej zabić...

— Przepraszam, ale nie rozumiem — przerwała mu. — Co ma wspólnego żądanie ekstradycji ze śmiercią twojej żony?

— Połączyli obie sprawy w jedną, żeby wymusić na mnie przyznanie się do morderstwa.

— Słuchaj, wejdźmy do domu i napijmy się kawy. Kawa ma wiele właściwości magicznych. Między innymi uspokaja i działa kojąco.

Wszedł za nią do domu, a potem do kuchni. Napełniła czajnik do połowy i postawiła na kuchence.

— Muszę cię przestrzec — parzenie kawy ma w sobie coś z rytuału.

— Który kończy się zaklęciem?

— Oczywiście — odwróciła głowę, żeby się do niego uśmiechnąć. — Oto i ona! Już na samą myśl o jej wypiciu człowiek zaczyna się odprężać.

— To dzięki tobie, nie kawie.

Kate otworzyła kredens i wyjęła biały, porcelanowy dzbanek, filtr, papierowy wkład, elektryczny, szybkoobrotowy młynek i puszkę ziarnistej kawy. Trzyczęściowy młynek pełen był już ziarenek.

— To Blue Mountain, dostarczony przez firmę z Londynu. — Włączyła go na kilka sekund i zwolniła przycisk. — Lubisz Bourbons?

— To jedno z moich ulubionych ciasteczek.

— Moich też. I dlatego zawsze bardzo uważałam, żeby się nie dowiedzieć, ile kalorii zawiera jedna sztuka.

— Ty nie musisz się przejmować.

— Ty też możesz zjeść tyle, ile ci się zmieści.

Czajnik zaczynał już gwizdać, więc zdjęła go z kuchenki i nalała trochę gotującej wody do dzbanka. Po chwili opróżniła go, umieściła w nim osadę filtra, nasypała kawy do połowy papierowego wkładu i zaczęła ostrożnie wlewać wodę.

— Filizanki i spodeczki są za tobą.

Stojący za plecami kredens nie był zbyt obszerny. Górną jego część zdjęto, ponieważ musiał się zmieścić pod schodami. Gary przyniósł filiżanki, spodeczki i talerzyki. Wszystko to postawił na blacie kuchennym.

— Bourbons znajdziesz w ostatniej puszcze na drugiej półce od dołu — Kate wskazała na kredens. — Czy możemy być nieoficjalni i nie wyjmować ciastek na talerzyki? Jestem pewna, że jedzenie smakuje lepiej, kiedy pominię się te wszystkie ceregiele. Dlatego tyle uciechy jest na piknikach.

Kiedy tak gadała bez związku, udawało jej się umiejętnie złagodzić jego paniczny strach. Przestał czuć się jak mucha schwytna w sieć pająka, na którego przyście pozostaje jej tylko beznadziejnie czekać. Chociaż to nielogiczne, Gary gotów był uwierzyć, że musi istnieć jakiś sposób, który pozwoliłby mu wyrwać się na wolność.

Wrócili do ogrodu. Kate powiedziała, że w przybudówce są leżaki, ale on czuł się na tyle młody duchem, że gotów był siedzieć na trawie. Nalała kawę i podała mu filiżankę. Spróbował.

— No i jak werdykt?

— Jest najwspanialsza ze wszystkich, jakie dotychczas piłem.

— Co za dyplomacja. Chociaż sędzę, że nic innego nie zdołałbyś powiedzieć po tym, jak udzieliłam ci mojego wsparcia. Jason mawiał zwykle, że ja... Do licha! Nie mogę skończyć z tymi banałami, wciąż powtarzam te same bzdury. — Odstawiła filiżankę i spodeczek na trawę, gryząc ciastko.

— Opowiedz mi dokładnie, co wydarzyło się podczas tamtej wyprawy — podkurczyła nogi, splotła dłonie na kolanach i patrzyła na ogród i żywopłot, który rosnąc na wysokości jej oczu, zasłaniał widok drzew.

Gary mówił szybko, ale nie było już w nim tamtego paralizującego strachu. Kate słuchała w milczeniu, od czasu do czasu odwracając głowę, żeby rzucić w jego stronę przelotne spojrzenie. Utwierdzała się wtedy w przeświadczeniu, że za jego słowami coś jeszcze się kryje i próbowała dostrzec, co to może być. Kiedy skończył, napełniła filiżanki.

—Znajdowaliście się bardzo blisko brzegu, kiedy jacht zatonął?
— spytała.

— Sterowałem w kierunku północnym, ale bez naniesienia kursu na mapę nie sposób było precyzyjnie ocenić odległości od brzegu. Jak na ironię, gdybyśmy się utrzymali na powierzchni, znacznie wcześniej utknęlibyśmy na mieliźnie.

— Kiedy już znalazłeś się w wodzie, jak myślisz, zdołałbyś się uratować, gdyby nie udało ci się czegoś chwycić?

— Pływam niezłe, ale nie jestem zbyt wytrzymały. Najprawdopodobniej nie dopłynąłbym do brzegu.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że ktoś bardziej odporny mógłby sobie dać radę?

— Tak. Ale przecież kontaktowałem się z policją przed powrotem do domu, ty również się dowiadywałaś, i do tej pory nie ma żadnych wieści, że ktoś się uratował.

— Jason doskonale pływał, tyle tylko, że wtedy miał pogru-chotane ramię... Gdyby ocalał, odezwałby się do mnie.

— Kate milczała przez chwilę, patrząc przed siebie bezmyślnie. Nagle obok przeleciał motyl, przyciągając jej uwagę.

— Zgadzam się, że nie można bez przerwy żyć tylko nadzieją... — Wyciągnęła rękę i zerwała stokrotkę. Zaczęła zrywać płatki. — Czy tamci dwaj mężczyźni w średnim wieku wyglądali na sprawnych fizycznie?

— Robili wrażenie zmęczonych biznesmenów, którzy od lat nie pokonali pieszo większej odległości niż od samochodu do biura.

— Jest raczej mało prawdopodobne, żeby któryś z nich dopłynął do brzegu?

— Bardzo mało, zwłaszcza że obaj okrutnie cierpieli na chorobę morską i utonięcie byłoby dla nich wybawieniem.

— Nie wspomnieliśmy o tamtym trzecim. Był od nich młodszy, prawda?

— Młodszy, twardszy i zupełnie inny. Ale zapomnij o nim i przestań się zastanawiać, czy dopłynął do brzegu. Policja nie informowała o żadnych uratowanych.

— Ktoś musiał się uratować.

— Dlaczego?

— Jason zawsze miał wszystko dokładnie zaplanowane. Jeżeli by chciał, zmusiłby nawet kamień do mówienia. Zauważ, że dopóki nie znaleźliście się na morzu, nie powiedział wam, dokąd popłyniecie. Tamtych trzech pasażerów zamierzało oczywiście dostać się

do Hiszpanii nielegalnie. Dlatego należy zakładać, że przedtem nikomu nie puścili pary z gęby, nawet jeżeli Jason powiedział im, którądy zamierza płynąć. A zresztą, jak już mówiłam, nie zrobiłby tego. Skąd policja hiszpańska mogłaby wiedzieć, że do zmroku płynęliście wzdłuż wybrzeża, a potem odbili aż do Menache i wrócili tą samą drogą, gdyby ktoś, kto znajdował się na pokładzie, im tego nie powiedział.

— Nigdy nie pomyślałem w ten sposób — odezwał się po chwili milczenia. — Ale posłuchaj. Przyjmijmy, że trzeci pasażer rzeczywiście się uratował. Dlaczego miałby mówić cokolwiek władzom, jeżeli z całą pewnością nie chciał, żeby się dowiedzieli o tym, że przyplłynął z Maroka? Gdyby nawet musiał ujawnić, że był na pokładzie Cristiny, w imię czego miałby twierdzić, że wieźliśmy konopie indyjskie i samemu przyznać się natychmiast do handlu narkotykami? A jeżeli policja hiszpańska dowiedziała się, że był na pokładzie, na pewno zażądałaby również jego ekstradycji, zdobywając w ten sposób dodatkowe materiały dowodowe.

— Zdaję sobie sprawę, że moje spekulacje pozbawione są większego sensu. Chyba jednak uświadamiasz sobie fakt, że policja w żaden inny sposób nie mogła się dowiedzieć o twoich krokach — musimy przyjąć, że jeszcze ktoś spośród obecnych na pokładzie ludzi uratował się.

— Któż by jednak tak bezsensownie sam się w to wplątał?

Kate dokończyła ciasteczko i bezwiednie sięgnęła po następne.

— Gary, czy ty naprawdę nie masz żadnych podejrzeń, dlaczego twoja żona została zamordowana?

— Nie mam... Chcesz, żebym ci powiedział w zaufaniu, czy jestem winien tej zbrodni, tak?

— Nie. Uważam cię za człowieka, który nie byłby zdolny nawet pomyśleć, że można dokonać czegoś tak bestialskiego.

— Przepraszam — Gary nie miał wątpliwości, że Kate mówiła szczerze. — Ja po prostu jestem już...

— U kresu wytrzymałości?

— Tak. I do tego panicznie się boję. Mówię prawdę, ale nikt mi nie wierzy. Czuję, jakbym znalazł się w tunelu, z którego nie ma odwrotu. A kiedy dojeżdżam już do samego końca, dochodzi do katastrofy. Jestem niewinny, ale wszyscy przekonani są o mojej winie

— Gary'ego z powrotem ogarnęła panika.

— Nie wszyscy.

— To dlaczego pytasz, czy wiem, z jakiego powodu zamordowano Stephanie? — Strach sprawił, że Gary zapomniał, iż jeszcze przed chwilą uwierzył, że Kate uważa go za niewinnego.

— Ponieważ to ważne. Ważniejsze niż to, kto jest winien. Dlaczego ktoś chciał ją zabić?

— Gwiżdżę na wszystko, co mówi policja. Mordercą musiał być jakiś przypadkowy złodziej, którego zaskoczyła jej obecność.

— A jeżeli, mimo wszystko, policja ma rację?

— Wtedy jedynym podejrzanym jestem ja.

— Z czego wynika logicznie, że policja jest święcie przekonana, że kłamiesz i dlatego rozpatruje fakty z jednego punktu widzenia. Tymczasem ty możesz spojrzeć na wszystko inaczej. Jeżeli wykluczmy przypadkowego złodzieja, musi istnieć jakiś motyw zbrodni. Powiedziałeś, że nie widzisz żadnego. A czy dostrzeżasz jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zabić ciebie?

— Pytasz, czy zabito ją zamiast mnie albo przeze mnie, tak? — spojrzął daleko przed siebie. — Jedyne, co mogłoby do tego doprowadzić, jest chyba tylko to, co wydarzyło się w Hiszpanii.

— Kiedy zmuszono cię do udziału w czymś nielegalnym. Pomimo że zakończyło się tak nieszczęśliwie, może istnieć ktoś, kto zdecydował, że trzeba zatrzeć wszelkie ślady. Nikomu nie mogłoby zależeć na tym bardziej niż tej drugiej osobie, która poza tobą zdołała się uratować.

— Zgodnie z ustaleniami policji napastnik dusił Stephanie. Jednak udało jej się wyrwać, ale kiedy przerażona uciekała na oślep, wpadła z całym impetem na poręcz schodów i runęła na sam dół. Czyżby bandyta próbował zmusić ją do powiedzenia gdzie jestem?

— Gary mówił powoli.

— A czy ona wiedziała?

— Tamtego ranka Stephanie pojechała do matki, a ja podjąłem spontaniczną decyzję przyjazdu tutaj, żeby zobaczyć się z tobą. Ona nie mogła powiedzieć im, gdzie jestem — nagle wyobraził sobie, jak potwornie musiała być przerażona.

— Czytałam kiedyś, że gdy strach staje się nie do zniesienia, umysł podejmuje jakby ucieczkę, która prowadzi do zablokowania poczucia rzeczywistości — powiedziała Kate ściszym głosem.

— Muszę powiedzieć policji o tym kimś, kto odebrał poczucie rzeczywistości ofierze, którą zamierzał udusić.

— Co chcesz im powiedzieć?

— Że mordercą jest najprawdopodobniej najmłodszy spośród trzech mężczyzn zabranych z Maroka.

— Skłonni byliby rozważyć tę ewentualność tylko wtedy, gdyby dopuścili myśl, iż nie ty jesteś winien śmierci swojej żony. A przecież jasno dali do zrozumienia, że tego nie zrobią. Ale będą zmuszeni odrzucić tego rodzaju przypuszczenie pomimo podobnych wątpliwości, jakie my mamy w tej chwili.

— Wobec tego nic nie mogę więcej zrobić — Gary patrzył w przestrzeń. Jeżeli oczekiwał współczucia, to się rozczarował.

— Mówisz jak mięczak! — oburzyła się.

Odwrocił głowę i spojrzał na Kate. Jej wyraz twarzy zdradzał zacięty upór.

— Kiedy człowiek traci grunt pod nogami, nic dziwnego, że jest miękki — powiedział.

— Tylko wtedy, gdy nie podejmuje walki. A ty potrafisz walczyć.

— Skąd ta pewność?

— Zawsze wiem, jaki kto jest naprawdę, bez maski.

— A czy wiedziałas, jakim człowiekiem był w rzeczywistości twój mąż?

— To... to nie fair — gwałtownie wciągnęła oddech. — Wiedziałam, że był słaby i potrzebował pomocy. Wiedziałam o tym sama z siebie, bez zgadywania.

— Przepraszam. Nie powinienem tak mówić — gorzko żałował swoich słów.

— Mnie też zdarzało się powiedzieć coś, czego nie powinnam. W zasadzie wyrównaliśmy rachunki.

Kiwnął głową na zgodę.

— Poprzednim razem mówiłeś, że chciałbyś zabrać mnie kiedyś na kolację — Kate odchrząknęła. — Co byś powiedział, gdybyśmy wybrali się dzisiaj wieczorem?

— Ostatnia kolacja skazańca? — spytał z lekko sardonycznym uśmiechem, ale bez świadczącej o stałości rezygnacji w głosie.

Odkryli, że mają ze sobą dużo wspólnego. Oboje lubili podróże, muzykę symfoniczną i operę, filmy pozbawione niepotrzebnego okrucieństwa, telewizyjne reportaże przyrodnicze. Nie znosili natomiast hipokrytów, polityków (o ile da się oddzielić jednych od drugich), snobów i natrętnych sąsiadów, których z konieczności trzeba wysłuchać.

O godzinie ósmej piętnaście Kate zaproponowała, żeby pojechali do sąsiedniej wioski do nowo otwartej restauracji. Można było mieć nadzieję, że kuchnia jeszcze nie zdążyła się popsuć. Okazało się, że miejsce rzeczywiście było godne polecenia — niewyszukane menu, ale jedzenie smacznie przyrządzone i odpowiednio podane. Jarzyny były świeże, nie mrożone, a szefostwo restauracji zadowolilo się zaledwie stuprocentowym narzutem na wino.

Weston opróżnił butelkę Beaune, rozlewając trunek do kieliszków.

— Tutejsza kuchnia bije na głowę wszystkie potrawy przyrządzane w domu. Zanim poczujesz się dotknięta, zaznaczam od razu, że mam na myśli własną domową kuchnię.

— Czyżby twoja gburowata gosposia poprzestawała na kiełbasie i zawieszistej papce z kapusty?

— Pani Amis odmawia prowadzenia dla mnie kuchni. Prawdopodobnie należy to uważać za błogosławieństwo. Mam przeczucie, że jest ona entuzjastką gotowanych befszytków i knedli, nie kiełbasy. Od czasu pobytu w St Brede obrzydło mi jedno i drugie.

Kate zaczęła bawić się kieliszkiem do wina, obracając nóżkę w palcach.

— Lubieś szkołę? — spytała.

— Trudno powiedzieć. Patrząc wstecz, pamięta się przede wszystkim to, co było wspaniałe i za tym się tęskni. Jednocześnie przypominam sobie, jak mówiłem rodzicom, że wolałbym znaleźć się w pojedynczej, więziennej celi.

— Czy bardzo byłeś zaprzyjaźniony z Jasonem?

— Nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi — Gary przełknął łyk wina. — Podobnie jak inni koledzy w pewien sposób byłem nim zafascynowany, ponieważ sam wybrał taki niebezpieczny

styl życia. Jednak w ślad za podziwem dla niego podążała pewna rezerwa, a jego ryzykanctwo sprawiało, że człowiek starał się zachować bezpieczny dystans. Układ między nami był całkiem dobry i od czasu do czasu zadawaliśmy się ze sobą... Bywało, że przyjaźń ta doprowadzała nas na dywanik do dyrektora. Nie powiem, żebym darzył wtedy Jasona sympatią.

— Wiesz, że nigdy nie dowiedziałam się prawdy, dlaczego go wylali? Kiedy to się stało, uważali, że jestem jeszcze za młoda, aby informować mnie o szczegółach. A potem po latach zapytany Jason, ryczał tylko ze śmiechu, mówiąc, że niektóre przeżycia warte są zachodu, a inne — nie. Czy powodem była dziewczyna?

— Starsza córka dyrektora szkoły. Stary przyłapał Jasona, jak się z nią zabawiał w jego gabinecie.

— Z tego rzeczywiście musiały wyniknąć kłopoty. Czy dlatego wybrał tę właśnie dziewczynę i takie miejsce, żeby uwodzenie stało się bardziej ekscytujące i niebezpieczne?

— W pewnym sensie tak.

— W wystawionej mu opinii napisano, że jego poczuciu humoru towarzyszy całkowity brak rozsądku... Nie proponował ci, żebyś dotrzymał mu towarzystwa z młodszą córką dyrektora? Czy może była ona zdecydowanie za młoda?

— Nie była za młoda, a Jason, owszem, miał taki pomysł, szczęśliwie jednak choć raz udało mi się wykpić.

— To dlaczego nie wykręciłeś się z rejsu Cristiną!

— Nie miałem wyboru.

— Zamustrował cię na siłę. Przecież nie widziałeś się z nim od dnia, kiedy go wylali. Do licha, jak to się mogło stać, że zdołał zmusić cię do podjęcia takiego ryzyka?

— Początkowo nie miałem pojęcia, że podejmuję jakiegokolwiek ryzyko.

— Mógłbyś to wyjaśnić?

Gary milczał.

— Czy Jason mówił ci, co to byli za ludzie — ci trzej, których zabraliście z Menache?

— Nie pisała o nich ani słowa.

— Zatem w żaden sposób nie potrafiłbyś ich określić?

— Nie.

— Po co płynęli do Restiny?

— Tyle wiem co i ty. Według mnie Jason dogadał się w porcie i na policji, że nie będą się interesować, dlaczego z pokładu jachtu schodzi pięć osób, podczas gdy wypłynęły dwie.

— To jest... — przerwała.

— Zapewne chciałaś powiedzieć, że to cholernie beznadziejna sprawa.

— Do licha, dlaczego ja wciąż nie mogę się nauczyć trzymać gęby na kłódkę? Mieliśmy zjeść radosną kolację... Próbowалаm tylko coś wymyślić, żeby przyjść ci z pomocą. Ktoś kiedyś powiedział, że boi się nienawiści drugiego człowieka, ale znacznie bardziej boi się jego pomocy — wyciągnęła rękę przez stół i położyła swoją dłoń na jego dłoni. — Wkrótce tak nie będzie.

Z trudem zdobył się na potakujący ruch głową.

Kelnerka, która obsługiwała również bar, podeszła do nich i spytała, co życzą sobie na deser. Oboje wybrali mus czekoladowy. Gary zamówił jeszcze dwie butelki białego wina Bach. Jak to mówią — topienie trosk.

Gary skręcił na podjazd do Melton Cottage i zatrzymał się przed garażem.

— Jestem ci wdzięczny, że pozwoliłaś mi zapomnieć o kłopotach — powiedział.

— Nie przesadzaj z tą wdzięcznością, ponieważ w pewnym sensie bardzo się starałam, żeby wpędzić cię w myślenie o nich z powrotem... Czy posądzisz mnie o bezczelność, jeżeli zaproponuję, żebyśmy wkrótce to powtórzyli?

— To nie bezczelność, tylko optymizm.

— Otwiera się przed nami szansa, więc nie popełnij jakiegoś błędu... Nie napiłyś się kawy przed odjazdem?

— Zapraszasz mnie na filiżankę czarodziejskiego naparu?

Poszli w kierunku drzwi frontowych.

— Idź do salonu, a ja przygotuję kawę — powiedziała w holu.

— Tylko nie zapomnij o magicznych zaklęciach.

Usadowił się w fotelu i sięgnął po numer „Country Life”.

Przekartkował ogłoszenia o sprzedaży domów i zatrzymał się przy kolorowym zdjęciu i opisie ogromnej rezydencji na siedmiu

akrach ziemi. Gdyby sprawy miały się inaczej... Jego ojciec powiedział kiedyś, że to „gdyby” jest odpowiedzialne za dziewięć dziesiątych wszystkich wrzodów dwunastnicy.

Kate wniosła tacę i postawiła ją na stoliku okolicznościowym. Gary przyglądał się pani domu. Kiedy się nachyliła, zauważył jak bawełniana sukienka przylega ściśle do prawej piersi, podkreślając jej kształt.

— Daję pensa za twoje myśli — powiedziała.

— Rozmyślałem o wrzodach dwunastnicy.

— Też pomysł — uśmiechnęła się.

Rozmawiali o okolicy i o tym, jakie to smutne, że duża część hrabstwa Kent została zdewastowana. Zgodzili się, że idealnym miejscem do mieszkania jest stylowy dom z przynależnymi do niego gruntami, które otaczają go ze wszystkich stron. Ustalili również, że najbliższy port lotniczy, autostrada, linia kolejowa i ogromny dom towarowy nie powinny znajdować się bliżej niż w odległości piętnastu kilometrów.

Kiedy na chwilę umilkli, zegar należący niegdyś do babki wybił północ.

— O Boże, nie miałem pojęcia, że to już tak późno. Muszę wracać.

— Masz jakieś umówione spotkanie wcześniej rano?

— Nie.

— To po co ten pośpiech?

— Może z obawy, że nadużyłem gościnności.

— Bezsensowny popłoch.

— A jeżeli nawet...

— Jeżeli nawet? — powtórzyła przedrzeźniając go.

— Lepiej będzie, jeżeli się wyniosę — zdawał sobie sprawę, że w jego głosie była sztuczność.

— Domagasz się jednoznacznego zaproszenia?... A więc zostań.

Przyglądał się jej, mając wielką ochotę po prostu przyjąć zaproszenie, ale nie byłby w zgodzie z samym sobą, gdyby tak postąpił.

— Nie musisz tego robić dlatego, że jest ci mnie żal.

— Mogłabym cię kopnąć tam, gdzie naprawdę boli! Myślisz, że zaprosiłabym cię do swojego łóżka wyłącznie dlatego, że mi ciebie żal?

ROZDZIAŁ 22

Kate wstała z łóżka, podeszła do okna i rozsunała zasłony. Sypialnia skąpała się w słońcu, którego blask oświetlał jej nagie ciało.

— Cudowny dzień — powiedziała.

— To wracaj, żeby go uczcić.

Podeszła do łóżka i pocałowała go.

— Jest zbyt piękny, żeby tracić z niego nawet chwilę. Idę wziąć prysznic. Potem zaraz przygotuję śniadanie — uśmiechnęła się delikatnie. — Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, czy lubisz śniadanie w łóżku?

— Nienawidzę. Zawsze rozsypuję okruchy.

— Bardzo się cieszę, że nie znosisz. Podejrzewam, że mężczyźni, którzy lubią śniadanie w łóżku, cierpią na syndrom baszy.

— Byłem więc w śmiertelnym niebezpieczeństwie, narażającym mnie na straszliwe potępienie.

— Niezupełnie. Byłam pewna, że nie możesz być jednym z nich.

— To po co zawracać sobie głowę pytaniami?

— Czy ty zawsze się tak przekomarzasz?

— Tylko wtedy, kiedy jestem szczęśliwy.

Znów go pocałowała. Podeszła do komódki i wyjęła z szuflady czystą bieliznę. Kiedy kręciła się po sypialni, zauważył, że znajduje rozkosz w prezentowaniu swego ciała. Udowodniła już, że jest kobietą namiętą. Tę namiętość trzymała jednak na wodzy, ponieważ była także osobą łatwo poddającą się emocjom. W nocy wyznała mu, że jest pierwszym mężczyzną, do którego się zbliżyła, odkąd Ben od niej odszedł, gdyż ona musi kochać, żeby uprawiać miłość... Przyglądał się jej, jak szła do łazienki i żałował, że nie spotkali się

wcześniej. Być może, gdyby Jasona nie wylali... Do licha z tym „gdyby”...

— Śniadanie będzie na stole za piętnaście minut. Kto nie stawi się na dole na czas, nie dostanie jeść — oznajmiła już ubrana, po powrocie z łazienki.

— Co za nagła zmiana. Przed chwilą proponowano mi śniadanie do łóżka, a teraz „nie podoba się, to do widzenia”.

— Stąd powiedzenie, że należy chwytać okazję, póki czas.

— Co za egzotyczny zapach — Gary pociągnął nosem.

— Kilka miesięcy temu czułam się tak podle, że mogłam albo poderżnąć sobie gardło, albo zrobić coś niezwykłego. Wybrałam to drugie i kupiłam sobie maleńką buteleczkę perfum Le Reve firmy Bejoule.

— Pomogło?

— Chwył udał się tylko częściowo. W rezultacie nigdy ich nie używałam, ponieważ kiedy wróciłam do domu, uznałam, że były tak drogie, iż trzeba je zachować na specjalną okazję.

Gary śmiał się.

— Typowo męska reakcja — bezmyślna i mało sympatyczna — powiedziała z pogardą.

— Jak się nazywały te twoje perfumy? Boule? — spytał, delektując się drugą filiżanką kawy.

— Bejoule. Ale dlaczego o to pytasz?

— Ponieważ nazwa coś mi przypomina, tylko nie mogę jej z niczym skojarzyć.

— Prawdopodobnie widziałeś ją w bogato ilustrowanych, błyszczących czasopismach. Kilka lat temu firma podupadła i została kupiona przez potężnego plantatora z Grasse, który wydał fortunę na reklamę. Teraz perfumy te są już tak drogie, że, kupując je, kobieta ma poczucie winy.

— Co zresztą jeszcze dodaje im atrakcyjności... Ale z całą pewnością nie widziałam, żeby je reklamowano. Nazwa musi mi być znajoma z jakiejś innej przyczyny...

— A teraz zajmij się poważniejszymi rzeczami i zdecyduj, dokąd mamy jechać.

Postanowili wybrać się na piknik. Kate miała przyjaciół, którzy mieszkali w Sussex, ale chwilowo przebywali za granicą. Ich posiadłość

schodziła w dół niewielkiej zatoki. Należała do miejsc trudno dostępnych ze względu na skalisty brzeg po obu jej stronach.

Okazało się, że zatoczkę mają wyłącznie dla siebie. Zażywali kąpieli, rozkoszując się orzeźwiająca, ale nie przesadnie chłodną wodą. Opalali się. Butelka białego wina posłużyła im za aperitif. Potem jedli szynkę, ser, jajecznicę z piklami, upieczone przez Kate domowe bułeczki i kupione po drodze ekliery. Wypili jeszcze pół butelki wina. Teraz znów wygrzewali się w słońcu.

— Gdybym umiała z wypolerowanego, starego, miedzianego kociołka wyczarować dobrego duszka, kazałabym mu zatrzymać chwilę obecną na zawsze — powiedziała, ujmując jego dłoń.

— Spróbujemy przeszukać wszystkie sklepy ze starymi rupieciami.

— Jakby to było wspaniale, gdyby los potrafił zawsze być taki łaskawy.

Słowa te okazały się niefortunne, ponieważ przywracały poczucie rzeczywistości.

— Szkoda, że wszystko, co dobre, musi się kiedyś skończyć, podczas, gdy to, co złe, potrafi trwać wiecznie.

— Przestań — powiedziała z zaciętością w głosie. — Skończ z tym „szkoda, że...”. Wciąż sobie przypominasz, zamartwiasz się i widzisz same nieszczęścia.

Gary delikatnie uwolnił dłoń, wstał, wsunął stopy w klapki i zaczął iść po kamieniach w kierunku brzegu.

— Lepiej kochać i tracić, niż nie kochać wcale — czy wspomnienia szczęśliwej przeszłości są oderwane od chwili obecnej i przyszłej czy też sprawiają, że terażniejszość i przyszłość stają się nieznosne.

W świetle teorii chaosu należałoby przypuszczać, że jeżeli motyl zatrzepocze skrzydłami w Chile, nad Anglią przejdzie huragan. Nic nie znaczące zdarzenie doprowadzi do masowej zagłady. Tylko dlatego, że siedział w tamtej kawiarni w Restinie, kiedy akurat przechodził tamtędy Farley, zginęli ludzie, a on stoi w obliczu całkowi-
tej klęski. Krok po kroku przemierzał teraz w myślach drogę, która przywiodła go tutaj. Przyjęcie w El Diablo, rejs do Menache, sztorm, fanatyczny pasażer, który żąda zbyt wiele, nie dostrzegając niebezpieczeństwa...

— Coś mi się przypomniało — Gary wrócił do Kate i usiadł na kocu.

— Już wiem, dlaczego nazwa twoich perfum wydawała mi się znajoma. Przypomina brzmienie Bajols — miejscowość, do której chciało się dostać tamtych trzech z Cristiny.

— Domyślasz się, dlaczego tak im zależało, żeby tam dotrzeć? — Kate usiadła, obejmując rękoma kolana.

— Nie, ale musiało to być dla nich niezmiernie ważne. Gdybyśmy przeczekali gdzieś sztorm, prawdopodobnie po czterdziestu ośmiu godzinach ruszylibyśmy dalej. Ciekawe, czy...

— Dokończ.

— Pewnie to zwariowany pomysł, ale zastanawiam się, czy tamten ich samobójczy pośpiech miał cokolwiek wspólnego z fałszywym oskarżeniem o handel narkotykami, stanowiącym podstawę występowania o moją ekstradycję?

— Możesz coś bliżej na ten temat powiedzieć?

— Nie mam zielonego pojęcia, jak to mogło wyglądać. Kiedy jednak już się wykluczy rzeczy niemożliwe — jak mawiał Holmes — wszystko to, co pozostanie, chociaż jest nieprawdopodobne, musi być prawdziwe.

— Sam pomysł należy z pewnością do mało wiarygodnych.

— Wiem, ale... Jedno zdarzenie może zajść bez jakiegokolwiek logicznej przyczyny. Jeżeli trafiają się już dwa i do tego następują po sobie w bardzo krótkim odstępie czasu i dotyczą jednej i tej samej osoby, mamy do czynienia z podejrzanym zbiegiem okoliczności. A jeżeli do tego wszystkiego ten ktoś pada ofiarą fałszywego oskarżenia, pochodzącego z kraju, w którym doszło do pierwszego aktu przemocy... Wtedy wszystko musi łączyć jakaś wspólna nić. Logiczne następstwo zdarzeń można dostrzec w sposób bardzo wyrazisty. Trzeba tylko zrozumieć tę logikę i odpowiedź będzie gotowa.

— Czy to wszystko na coś cię naprowadza?

— Dochodzę do hipotetycznego wniosku, że jeżeli udałoby mi się ustalić, dlaczego tamci trzej, zdesperowani, nie zważając na grożące im śmiertelne niebezpieczeństwo, pragnęli dotrzeć do Bajols na czas, prawdopodobnie zdołałbym odnaleźć tę wspólną nić, ustalić fakty i ich logiczne następstwo.

- Jak zamierzasz to osiągnąć?
- Pojadę do Bajols i spróbuję trochę powęszyć.
- To szaleństwo.
- Dlaczego?
- Ponieważ wszystko przemawia przeciwko tobie. Niczego się nie dowiesz.
- Jeżeli zostanę tutaj, z całą pewnością niczego się nie dowiem.
- Jeżeli policja hiszpańska otrzyma informację o twoim przyjeździe, zaarrestują cię.
- Wtedy wystąpię o złagodzenie kary za to, że zaoszczędziłem im tych wszystkich korowodów związanych z moją ekstradycją z Anglii.
- Na litość boską, nie próbuj upraszczać sprawy za pomocą kiepskich żartów.
- Przepraszam.
- Załóżmy, że masz rację i że dowiesz się czegoś ważnego. Tylko oni już zamordowali twoją żonę i zabili Jasona. Jak myślisz, co zrobią z tobą?
- Jeżeli nie podejmę ryzyka i zostanę na miejscu, albo oskarżą mnie o zamordowanie Stephanie, albo wydadzą mnie Hiszpanom pod zarzutem handlu narkotykami. W zasadzie nie mam wyboru.
- Rzeczywiście nie masz, jeżeli nie rzucisz tego w diabły. A poza wszystkim, czemu nie miałbyś zostać na jeszcze jedną noc.
- Nic nie rozumiesz...
- Nie, nie rozumiem — Kate wstała. — Chcę wracać do domu.

— A niech to wszyscy diabli! — Gary przerwał trwające wiele minut milczenie. Ostro zahamował, zatrzymując się na poboczu wiejskiej drogi. — Jestem skończonym głupcem. Przez tę całą ambitną mowę na śmierć zapomniałem, że policja zabrała mi paszport. Nie mogę więc wyruszyć na żadne poszukiwania. Jestem uziemiony i nie pozostaje mi nic innego, jak tylko czekać, aż powiedzą mi, gdzie będę rezydował — w angielskim czy hiszpańskim więzieniu.

Kate podniosła prawą rękę i położyła ją na oparciu fotela. Opuszkami palców dotykała jego szyi.

— Dopiero co cię odnalazłam, Gary, co nie znaczy, że nie potrafię kochać cię takim, jakim jesteś. Na samą myśl o tym, że cię zabiją, nie mogę zapanować nad strachem. Dlatego byłam taka cholernie wredna tam na plaży.

— Nie ma o czym mówić.

— Pomimo mojego tchórzostwa, wiem, że musisz pojechać do Baj ols, ponieważ tylko w ten sposób masz szansę udowodnić, że jesteś niewinny.

— Zapomniałaś, że nigdzie nie mogę się ruszyć, bo nie mam paszportu.

— Złota Rączka.

— Co takiego?

— Jason zawsze go tak nazywał — potrafi podrobić wszystko.

— Jason Farley? — Pettifer potrząsnął przecząco głową. Był wysokim, chudym mężczyzną, prawie że łysym. Jego wystająca grdyka rzucała się w oczy. Sprawiał wrażenie człowieka wiecznie niezadowolonego. Nigdy nie słyszał o Jasonie Farleyu.

— Wystawił pan mu sfałszowany kwit VATu na jacht, którym popłynął na wyspy Bahama i który sprzedał tam jakiemuś Amerykaninowi — powiedziała energicznym głosem Kate.

— Nic mi o tym nie wiadomo — spojrzał na nią z wyrzutem.

— Jason pana podziwiał. Mówił, że jest pan rzeczywiście bardzo drogi, ale wart tych pieniędzy.

— Mówisz, że Jason Farley jest twoim bratem — Pettifer, słysząc o pieniądzach, wysilił pamięć.

— Tak.

— Nigdy nie wspominał o siostrze.

— Pewnie uważał, że przyniosłoby mu to ujmę.

— Może pani udowodnić, że jest jego siostrą? — Pettifer odchrząknął.

— Gdybym nią nie była, skąd mogłabym wiedzieć o kwicie VATu?

Pettifer zaczął pstrykać palcami. Jego grube wargi poruszyły się. Raz po raz popatrywał na Kate i Westona, a potem błędził gdzieś wzrokiem.

— Nic nie wiem o fałszywych paszportach, ale słyszałem, że można zdobyć takie coś z lipną datą urodzenia...

— Chcemy to mieć jutro o tej porze — przerwała mu.

— Wykluczone.

— Ile? — spytał Weston.

— Jeżeli w ogóle słyszałem o kimś, kto się tym trudni — ale to tylko przypuszczenie, niech mnie pan dobrze zrozumie — to cała sprawa musi kosztować sporą forszę. — Pettifer przestał skubać wargę.

— Tutaj są dwa zdjęcia, w razie gdyby z pierwszym coś nie wyszło — Weston podał kopertę, którą właśnie wyjął z kieszeni.

— Paszport musi kosztować najmniej ze trzy tysiące funtów.

Weston był przygotowany na taką kwotę.

ROZDZIAŁ 23

Położone w odległości siedemdziesięciu kilometrów od morza Bajols nie było bezpośrednio zagrożone przemysłem turystycznym, który poważnie dewastował wybrzeże. Większość zabudowań pozostawiono z zewnątrz w nie zmienionym stanie. Nowo wybudowanych domów było zaledwie kilka i wzniesiono je bardzo niedawno. Podstawowe zajęcie mieszkańców miasteczka stanowiło rolnictwo. Miejscowość rozciągała się w rozległej dolinie, w której ziemia była niezwykle urodzajna. Niższe jej warstwy kryły praktycznie niewyczerpane zasoby wody. Niżej położone zbocza okolicznych gór porastała bujna trawa. Jagnięta z Bajols uważane były aż po Madryt za najlepsze, jakie można kupić. Miejscowa ludność w sposób pośredni odczuwała jednak skutki turystyki i niespodziewanie zaczęła czerpać z niej korzyści. Działo się tak dzięki dziesiątkom tysięcy przebywających na wybrzeżu urlopowiczów, którzy zapewniali łatwy zbyt całej produkcji Bajols po cenach, na wieść o których starsi mieszkańcy miasteczka kiwali głowami z niedowierzaniem. Tamsze domy, wyblakłe i mało zachęcające z zewnątrz, coraz częściej zadziwiała luksusowo urządzone wnętrza.

Ponieważ Bajols niewiele miało do zaoferowania przypadkowemu turyście, toteż i odwiedzających było mało. Jeden jedyny mały hotelik był wprawdzie nieskazitelnie czysty, ale brakowało w nim nawet najprostszej klimatyzacji. W jedynym zajeździe proponowano jeszcze bardziej spartańskie warunki. Restauracje serwowały wyłącznie potrawy regionalne, a w wielu barach wciąż jeszcze przed każdym klientem stawiano darmową miseczkę oliwek. Alkohol kosztował tak niewiele, że, gdyby dowiedzieli się o tym właściciele podobnych lokali na wybrzeżu, byłiby oburzeni.

Weston wyszedł z hotelu Victoria i znalazł się w pełnym, dokuczliwie piekącym słońcu. Już po zrobieniu kilku kroków cały zlany był potem. Na końcu wąskiej uliczki, nad którą wisały kunsztowne balkony z barierkami z kutego żelaza, znajdował się plac.

Po jego południowej stronie był bar z kilkoma stolikami ustawionymi na zewnątrz pod osłoną postrzępionej i wyblakłej markizy. Weston wybrał całkowicie ocieniony stolik. Kelner ubrany w czarne spodnie i białą koszulę — strój nie wyglądał zbyt świeżo — podszedł do siedzącego już gościa. Gary zamówił gin z tonikiem. Hiszpan, w przeciwieństwie do Francuza, pozbawiony podyktowanej ksenofobią niewiedzy językowej, rozumiał Westona bez większych trudności.

Wkrótce na stoliku zjawił się drink i oliwki w glinianej miseczce.

Gary sącył go bez pośpiechu, ocierał pot z czoła i przyglądał się zaprzęzonemu w muła wozowi, który skrzypiąc przemieszczał się powoli w kierunku bocznej uliczki. Weston nie mógł się nadziwić przepastnej otchłani dzielącej oczekiwania od spełnienia. Jeszcze w Anglii z optymizmem sam siebie zapewniał, że znajdzie sposób na odkrycie prawdy i udowodnienie swojej niewinności. Tymczasem tutaj na miejscu, po trzydziestu sześciu godzinach, przemierzywszy miasteczko wzdłuż i wszerz, nie napotkał niczego, co mogłoby się do tego przyczynić. Jego wyprawa przerodziła się w próbę daremnej ucieczki przed czymś, przed czym umknąć nie sposób.

Weston skończył drinka i rozejrzał się za kelnerem. Nie widząc go, wstał i zaczął iść w kierunku wyjścia. Przeszedł obok kilku starszych mężczyzn, którzy oglądali telewizję. Kelner, na wpół śpiący stał oparty o bar. Jeden z mężczyzn, zauważywszy Westona, krzyknął coś do kelnera. Ten natychmiast się wzdrygnął. Gary podniósł rękę do ust, dając mu do zrozumienia, że życzy sobie drugiego drinka.

Teraz wrócił z powrotem do stolika. Zjadł jeszcze dwie oliwki, chyba bardziej gorzkie i pieprzne od tamtych, które próbował w Casa Pepe. Kiedy kelner zjawił się z drinkiem, Weston wyciągnął garść drobnych pieniędzy, z których tamten wziął dwie monety — jedną o wartości stu peset, drugą — pięćdziesięciu. Gary dorzucił jeszcze jedną pięćdziesiątkę.

Hiszpan wyglądał chyba na bardziej zdziwionego niż zadowolonego z napiwku.

Weston pił powoli, zastanawiając się, co też, u diabła, powinien robić dalej. Gdzie należałoby szukać tego, czego nie sposób bliżej określić, szukać w mieście, które trwa uspione przez upał i które już się spenetrowało? Logicznie na to patrząc, trzeba by zrezygnować i przyznać się do porażki. Wsiąść w najbliższy pociąg do Sewilli, a stamtąd odlecieć do domu, w którym przyjdzie tylko czekać, aż człowieka zaarrestują albo za jedno przestępstwo, albo za drugie... A jednak Weston wciąż nie potrafił pogodzić się z takim rozumowaniem...

Jeżeli nie robi się nic, potwierdza się tym samym, że nie ma już nic do zrobienia. Lepiej byłoby działać, wszystko jedno jak, ale działać. Daleko w głębi placu stał kościół, którego Gary nie zdążył jeszcze zwiedzić. A zatem ma już jakiś cel. Była to wyblakła budowla, bardzo prosta pod względem architektonicznym. Jej mury z bloków piaskowca wznosiły się niemal prostopadle do podłoża na wysokość piętnastu metrów. Okien prawie nie było widać. Podobnie jak w przypadku domów, nędzny wygląd zewnętrzny zapowiadał zgoła inne wnętrze. Po wejściu do środka cieszyła oko lekkość konstrukcji, jej piękno i koloryt. Można tam było oglądać smukłe kolumny z żyłkowanego marmuru, kamienne posągi rzeźbione wprawną ręką artysty, bogactwo złocień, malowidła kopuły z zadziwiająco dynamiczną sceną alegoryczną, rzeźbione ławy i wspaniałe posągi w drewnie, stanowiące tło ołtarza.

Weston przyglądał im się z zaciekawieniem, kiedy usłyszał czyjeś kroki. Nawą szedł ksiądz — niski i gruby jak beczka. Jego okrągła twarz świadczyła niezbitcie o głębokiej wierze i poczuciu humoru. Zatrzymał się obok Westona i zaczął mówić coś bardzo szybko po hiszpańsku, połykając słowa, co było zresztą w miejscowym zwyczaju.

— Przykro mi, ale nie znam hiszpańskiego — powiedział Weston.

— Pan być Anglik? Pan być tutaj to oglądać? — ksiądz wskazał na rzeźbę z tyłu za ołtarzem.

Weston zachowałby się nieokrzesanie, gdyby nie zgodził się z księdzem.

— Słyszałem, że jest ona tak piękna, iż trzeba obowiązkowo ją zobaczyć.

— Pan pójść ze mną.

Gary podążył za księdzem w stronę ołtarza.

Hiszpan mówił z zapalem człowieka, który pragnie podzielić się z kimś swoim własnym entuzjazmem. Sto lat temu Bajols słynęło niemal w równym stopniu ze wspaniałych rzeźbiarzy, co z rolników. Niektóre rodziny z pokolenia na pokolenie trudniły się rzeźbieniem drewnianych figurek o tematyce religijnej. Świątki te znane były w całej okolicy, a nawet i poza nią. Kiedyś najlepszy rzeźbiarz w Bajols — Bartolome Vicens otrzymał oficjalne zamówienie na figurę madonny z dzieciątkiem, mającą zdobić boczną kaplicę, w której pochowano hrabiego z Huelvy. Praca nad rzeźbą trwała całymi miesiącami, a może i latami. Było to dzieło powstające z miłości. Vicensowi chciano pomagać, ale on uparł się, że wszystko robi własnoręcznie. Nawet prace wstępne, które na ogół pozostawia się terminatorom, wykonywał sam. Z chwilą ustawienia rzeźby w kaplicy zaczęto przypisywać jej cudowne właściwości. Co roku odprawiana jest msza za duszę rzeźbiarza, który dzięki swojej wierze stworzył tak piękne dzieło.

Opowiadając to wszystko, ksiądz przez cały czas dotykał drewnianej figury. Nagle cofnął rękę i najwyraźniej posmutniał. W Bajols do czasu Wojny Domowej tworzyło jeszcze wielu rzeźbiarzy, chociaż żaden z nich nie dorównał Bartolome Vicensie. W tamtych koszmarnych latach młodzi musieli opuścić miasto. Pozostali tylko starcy, którzy rzeźbili nadal, ale nie wkładali w to już tyle serca. W takich czasach nie mogli przecież wykazywać tak silnego zapалу, jak przedtem. Po wojnie zaledwie kilku młodych rzeźbiarzy powróciło w rodzinne strony, lecz nie chcieli oni zajmować się czymś, co wymagało zarówno wiary, jak i umiejętności. To smutne, ale ich wiara nie przetrwała. Nie mieli również ochoty pracować nad czymś, za co uzyskuje się rekompensatę mierzoną bardziej w wartościach duchowych, aniżeli materialnych. Dlatego teraz nie ma już w Bajols nikogo, kto rzeźbiłby w drewnie na chwałę Boga.

Weston podziękował księdzu i wyraził chęć złożenia ofiary na potrzeby kościoła. Ksiądz wskazał mu niewielką puszkę, do której

Gary wrzucił banknot o wartości tysiąca peset. Był to niewątpliwie bardzo szczodry datek. Ksiądz dał ofiarodawcy do zrozumienia, że z przyjemnością pokazał mu największy skarb w kościele. Gotów był również z egoistycznych pobudek udzielić mu skromnej gościny w swoim domu pod numerem piętnastym, przy ulicy General Pena, którego drzwi zawsze będą dla niego otwarte.

Weston wrócił na plac, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie aż takim głupcem, żeby wciąż szukać czegoś, co w ogóle nie istnieje.

O zmierzchu upał trochę zelżał i miasto obudziło się. Widoczne stały się zwyczajne oznaki ożywienia. Na placu otwarto budkę z lodami, ze starego wózka jakiś mężczyzna sprzedawał dzieciom słodycze zapakowane w małe paczuszki. Kobiety wystawiały krzesła na ulice, siadały i plotkowały. Mężczyźni tłoczyli się w barach, rozmawiali, kłócili się, grali w karty i w domino. Samochody, w większości nowe auta, szalały na wąskich, krętych uliczkach, a kierowcom, lekceważącym wszelkie znaki drogowe, udawało się jakoś unikać zderzeń...

Weston szedł drogą do końca, po raz kolejny bez celu, i znalazł się na skraju miasteczka. Zostawił za sobą boisko oświetlone ostrym światłem łukowych lamp, z którego dochodziły odgłosy muzyki pop, granej tak głośno, jak gdyby odbijało ją echo z okolicznych gór. Gdyby poszedł na mecz, czas upłynąłby mu szybciej, pomimo że grające drużyny nie były mu znane. Kasę biletową stanowiła dziura w otaczającym boisko murze, na którym nabazgrano napis, że wstęp kosztuje dwieście peset. Weston uiścił opłatę i czekał na wydanie biletu. Kiedy wiadomo już było, że niczego takiego nie dostanie, wszedł przez bramę.

Teren boiska pokryty był piaskiem. Główna trybuna, zapełniona do połowy, składała się z trzech rzędów betonowych ławek. Weston zajął miejsce z brzegu w środkowym rzędzie. Zawodnicy grali z zapałem, ale brakowało im podstawowych umiejętności, wobec czego piłka często przerzucana była z jednego końca boiska na drugi w wyniku niecelnych trafień. Po piętnastu minutach drużyna w

błękitnych koszulkach zdobyła bramkę. Ryk radości świadczył, że był to gol dla gospodarzy. Wkrótce rozległ się gwizdek na przerwę.

Widzowie wstali, łazili po trybunach i okropnie się darli, chociaż stojąc blisko od siebie słyszeliby się wzajemnie bez krzyków. Dzieci uganiały się tam i z powrotem pomiędzy ławkami, a dwóch facetów z tacami pełnymi butelek zimnego piwa, prażonej kukurydzy, słodyczy i papierosów, zachwalając swój towar jeden przez drugiego, krążyło powoli po całym terenie.

Nagle Weston spostrzegł, jak przez główne wejście wmaszerowało dwóch policjantów w jasnoniebieskich koszulkach i granatowych spodniach, z przypiętymi do pasków krótkofalówkami z jednej strony, a kaburami z bronią — z drugiej. Jeden z nich przywitał się z jakimś kibicem i zaczął z nim rozmawiać. Drugi, zsunawszy czapkę z daszkiem na tył głowy, z rękoma opartymi na biodrach i arogancką miną wymuszającą posłuch wobec władzy, rozglądał się naokoło. Nagle Weston z przerażeniem rozpoznał w nim mężczyznę, który strzelał do Farleya.

Policjant rzucił w stronę Gary'ego szybkie spojrzenie i równie gwałtownie odwrócił wzrok. Pomimo odległości i niezbyt ostrego światła łukowych lamp dało się dostrzec zmianę w wyrazie jego twarzy. Początkowa niepewność ustąpiła miejsca nienawistnej pewności. Policjant krzyknął coś do swojego kumpla i odpinając kaburę, ruszył pędem naprzód.

Weston nie mógł uciekać tą samą drogą, którą dostał się na stadion, ponieważ jedyne wejście było zarazem wyjściem. Zauważył jednak, że od ostatniego najwyższego rzędu ławek do górnej krawędzi muru jest zaledwie metr. Przebił się więc przez grupkę zagadanych kibiców, torując sobie drogę do ostatniej ławki, następnie wdrapał się na mur i szybko zeskoczył na dół. Kiedy z hukiem wylądował na ziemi, z trybun dobiegły go jakieś okrzyki.

Pędził teraz drogą, skrzył w najbliższą uliczkę i wpadł na plac, gdzie zatrzymał się, nie mogąc złapać tchu. Tamci dwaj policjanci z pewnością wszczęli alarm przez krótkofalówki. Prawdopodobnie jeszcze kilku gliniarzy, będących na służbie, zaraz dołączy do poscigu. Rozpoznają go natychmiast, tym bardziej, że bez trudu można go wskazać palcem, ponieważ wyróżnia się zdecydowanie spośród

miejscowych. Jeżeli pozostanie na ulicy, wkrótce przyprą go do muru. Jeżeli wróci do hotelu, ścigająca go policja z pewnością łatwo go tam dopadnie. Nie ulega kwestii, że hotel jest pierwszym miejscem, w którym będą go szukać. Jeżeli opuści miasteczko i spróbuje zaszyć się gdzieś w okolicy, znajdzie się w całkowicie nieznanym terenie i jeżeli nawet uda mu się przetrwać noc, odnajdą go o świcie... Przypomniał sobie Kate i jej strach na myśl o tym, co może się z nim stać, gdy go rozpoznają. Pamiętał również i to, że beztrząsliwie odsuwał od siebie myśl o takiej ewentualności.

Teraz słyszał już wyraźnie odgłosy pościgu. Nie ulegało wątpliwości, że wóz policyjny wjechał w uliczkę wychodzącą na plac. Instykt nakazywał mu ucieczkę, ale przecież człowiek, który biegnie, zwraca większą uwagę, niż ten, który idzie. Dlatego postanowił iść. Dotarł do ulicy dochodzącej z boku do kościoła i nagle przypomniał sobie o księdzu. Jeżeli ktokolwiek mógłby jeszcze uwierzyć w jego zapewnienia o niewinności, to tym kimś jest właśnie ksiądz. Jeżeli nawet mu zaufa, czy wystąpi z propozycją pomocy? Weston uznał, mimo wszystko, że to jedyna osoba, do której może się zwrócić...

Jak znaleźć ulicę General Pena? Gdyby kogoś chciał spytać, musiałoby upłynąć trochę czasu, zanim sformułowałby jasno pytanie. Mało tego, zrozumienie odpowiedzi trwałoby jeszcze dłużej. A poza tym ujawniłby precyzyjnie swój cel. Ksiądz musi mieszkać gdzieś niedaleko kościoła, pomyślał. Weston pamiętał jednak, że rejon ten był płataniną wąskich i krótkich uliczek.

Szedł naprzód, aż dotarł do skrzyżowania w kształcie litery T. Dokąd należało teraz pójść? Ulica odchodząca w prawo pełna była ciągnących się jeden za drugim sklepów. Na lewo roilo się od domów stojących naprzeciwko kościoła. Weston skręcił w lewo. Po piętnastu zaledwie krokach, znalazł się na końcu uliczki. Było tam następne skrzyżowanie w kształcie litery T, tuż za najbardziej wystającym rogami kościoła. Przekonany, że wybrał złą drogę i że ścigający go policjanci niemalże deptają mu po piętach, czego dowodziły dobiegające go hałaśliwe odgłosy, obrócił się naokoło zdecydowany rozpocząć bieg, który teraz mógł być mniej niebezpieczny niż marsz. Nagle w murze z prawej strony zauważył bramę i okna.

Doszedł natychmiast do wniosku, że właśnie tutaj, w domu zbudowanym przy północnym skrzydle kościoła, musi mieszkać ksiądz.

Wtem dobiegł go głośny krzyk, świadczący bez wątpienia o tym, że pościg dzieli zaledwie kilka kroków od skrzyżowania w kształcie litery T. Chwytał zardzewiałą klamkę, nacisnął ją i pchnął drzwi, które stały przed nim otworem. Wpadł do środka i natychmiast zamknął je za sobą.

Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, służącym prawdopodobnie zarówno jako hol, jak i pokój przyjęć. Na skromne umeblowanie składało się kilka krzeseł z oparciami wyściełanymi skórą, obraz o treści religijnej, drewniana skrzynia ze stojącym na niej wazonem ciętych kwiatów, podniszczony dywan i stół z telefonem, który właśnie zaczął dzwonić. Po chwili w sąsiednich drzwiach pojawił się ksiądz w rozpiętej koszuli i szortach. Na widok gościa najwyraźniej ani trochę nie zdziwił się. Podeszedł do telefonu, podniósł słuchawkę, chwilę posłuchał, a potem zaczął mówić coś szybko, jednocześnie intensywnie gestykulując. Wkrótce odłożył słuchawkę.

— Dobrze widzieć pana znów inny raz — powiedział łamaną angielszczyzną, uśmiechając się szeroko.

— Mam kłopoty. Poszukuje mnie policja.

Okragła, szczerą twarz księdza wyrażała teraz zdumienie. Z zewnątrz dobiegały podniecone krzyki. Zaraz potem przejechał jakiś samochód z wadliwie działającym tłumikiem. Zagłuszył on wszelkie inne odgłosy. Kiedy pojazd się oddalił, nie słyhać już było żadnych krzyków.

— Przysięgam, że me zrobiłem nic złego. Ale jeżeli złapie mnie policja, nie będę w stanie tego udowodnić, a oni mnie zabiją, nie dając mi żadnych szans.

Ksiądz sprawiał wrażenie dobrodusznego, prostego człowieka. I rzeczywiście taki był. Jednak jak każdy ksiądz w średnim wieku reagujący na innych ludzi z pokorną ufnością, nie bardzo rozumiał naturę ludzką, ale odnosił się do niej z sympatią i zazwyczaj potrafił odróżnić prawdę od kłamstwa.

— Proszę wejść — powiedział po kilku sekundach.

Przeszli teraz do obszernego pomieszczenia, w którym panował swoisty nieład. Na jednym fotelu leżała rozłożona gazeta, na drugim — zwinięty w kłębek syjamski kot.

W popielniczce dopalał się papieros, a ze stereofonicznego adaptera rozbrzmiewała Dziewiąta Symfonia Beethovena. Ksiądz zatrzymał płytę i przegonił kota z fotela.

— Proszę usiąść — wskazał Westonowi miejsce. Starannie złożył gazetę, przekładając ją na sąsiedni fotel. Przydusił niedopałek i usiadł. Sięgnął po paczkę papierosów z zamiarem poczęstowania Westona.

— Nie, dziękuję — usłyszał w odpowiedzi.

— Nałóg nie być groźny — ksiądz powiedział nieśmiało i na chwilę zamilkł. — Proszę, pan mówić, jaki mieć kłopot.

Weston, możliwie najprościej i zwięźle zrelacjonował przebieg wydarzeń. Kiedy skończył, ksiądz przyglądał mu się jeszcze przez kilka sekund z lekko przechyloną głową. Nagle wstał bez słowa i wyszedł z pokoju. Weston spojrział na zamknięte przed chwilą drzwi. Czyżby ksiądz zdecydował, że w zaistniałych okolicznościach ma obowiązek donieść o wszystkim policji? A tak w ogóle, niewiele to miało ze sprawami ducha...

Wkrótce ksiądz wrócił, niosąc przed sobą tacę, na której stała butelka i dwa kieliszki.

— Ten nałóg też nie być groźny — nalał po kieliszku sherry i podał jeden Westonowi. — Jak nazywać się policjant z Łodzi? — spytał.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia.

— Jak on wyglądać?

Weston opisał policjanta, którego rozpoznał na stadionie piłkarskim.

— Czy on mówić dobrze po angielsku na jachcie?

— Sprawiał wrażenie, że wszystko rozumie. Mówił też całkiem biegle, chociaż zdarzało mu się używać niepoprawnie słów.

— To może być Victoriano Herrero — ksiądz wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem od fotela do okna. Co trzeci krok podnosił się na palcach, jak gdyby szykował się do skoku. — Ten człowiek... — nagle znieruchomiał. — Kiedy to się stać na morzu?

— Czwartego w nocy zabraliśmy ich na pokład — powiedział Weston po chwili namysłu. — Piątego wczesnym rankiem jacht zatonął.

Ksiądz przystanął po raz drugi. Zaciśnął prawą pięść i uderzał nią o dłoń lewej ręki.

— Agosto Seis! — krzyknął niespodziewanie.

— Co to znaczy?

— To człowiek przekłety, który... Nie, ja nie powinienem mówić taka rzecz. — Ksiądz usiadł ociężale, jak gdyby chciał ukarać własne ciało za swą nielitościwość. Przyczajony za fotelem kot wyłonił się nagle i wskoczył księdzu na kolana. Ksiądz głąskał go, nie przestając mówić w podnieceniu i chaotycznie. Często ganił sam siebie za swoje sądy, ale się od nich nie odzęgnywał.

Podczas burzliwych lat przypadających na dwa pierwsze dziesięciolecia dwudziestego wieku jedność mieszkańców Bajols i okolic nie uległa zachwianiu w przeciwieństwie do tego, co się działo w kraju. Być może góry odgradziły ich od nieposkromionych namiętności.

Jednak w latach trzydziestych wiele się zmieniło. Niektórzy powiadają, że buntownicy przyszli z Malagi, gdzie lewica wykazywała dużą aktywność. Ksiądz nic na ten temat nie potrafił powiedzieć, ponieważ urodził się dopiero po tym, jak wybuchła wojna. Dochodziło do wielu incydentów. W tamtych czasach w Bajols był tylko jeden ksiądz, którego dom doszczętnie spalono. Dowódca żandarmerii strzelił do któregoś z podżegaczy, zabijając go. Ludzie, którzy byli przyjaciółmi od dziecka, stawali się wrogami. Bajols przeistoczyło się w miasto pełne nienawiści...

Alfonso Bauzer, najmłodszy syn największego właściciela ziemskiego w całej dolinie, był pułkownikiem w armii. Jego ojciec uchodził za człowieka bez skazy, wyznającego najbardziej liberalne poglądy spośród wszystkich latyfundystów. Alfonso był inny. Miłosierdzie, zrozumienie i litość stanowiły dla niego oznaki słabości.

— Mówić tak jest bardzo źle — przyznał ksiądz z jeszcze większą złością niż chwilę wcześniej, kiedy wyraził równie krytyczny sąd, którego nie powinien był wydać. Dokończył sherry i przystąpił do rozwijania swoich poglądów. Alfonso Bauzer uważał, że większość ludzi rodzi się po to, żeby być posłusznym. Tylko niewielu dane jest rozkazywać. Według niego bogactwo stanowi przywilej mniejszości, a ubóstwo — brzemień właściwe większości.

Bauzer, z zamiarem wykorzenienia wszelkich odstępstw, objął przywództwo nad Bajols. Udało mu się uzyskać poparcie żandarmerii.

Kiedy do miasta dotarły wieści o powstaniu w Maroku, zarządził powszechne świętowanie. Gdy dowiedział się, że Franco przylatuje z Maroka do Sewilli, ruszył pędem, żeby tylko zdążyć na czas, na szóstego sierpnia i ślubować wierność mieszkańców całej doliny.

W Bajols żandarmeria z zapalem wykonywała jego rozkazy. Aresztowano mężczyzn i kobiety. Kiedy niewielkie więzienie zappełniło się, więźniów przetrzymywano na dawnej arenie do walki byków, na której mieści się obecnie boisko sportowe. Całymi tygodniami, każdej nocy podjeżdżały na arenę ciężarówki, zabierając wielu więźniów i wywoziły ich w góry. Potem wozy wracały puste. Tych, których nie zaaresztowano, zmuszano do pracy, rzekomo dla dobra sprawy. Ludzie ci harowali na polach od świtu do nocy, szczęśliwi, jeżeli otrzymali zapłatę...

Pułkownik wyjechał z Bajols walczyć w szeregach nacjonalistów. Z wojny wrócił generał Bauzer. Niczego go nie nauczyła. Widok bezgranicznych cierpień ludzkich jeszcze bardziej znieczulił jego umysł i ograniczył go...

Ksiądz zawiesił głos, jak gdyby znów chciał siebie upomnieć. Wkrótce mówił jednak dalej. Łatwo przychodziło mu przebaczać ubogim, znacznie trudniej — darować winy bogatym.

Generał rządził doliną tak, jakby to był jego prywatny folwark. Własnym słowem ustanawiał prawo. Kiedy na placu wzniesiony został pomnik Franco, Bauzer ogłosił, że należałoby ustawić w jakimś innym miejscu również jego pomnik — oczywiście trochę mniejszy, ale niewiele. Wkrótce miasto miało już Aleję Generała Franco i Aleję Alfonso Bauzera. W zasadzie nawet jedna aleja w Bajols — to przesada, zwłaszcza że żadna z ulic nie była szersza niż wóz zaprzężony w muła. Któraś z ulic, na upamiętnienie dnia, w którym Wódz spotkał się z Bauzerem w Sewilli, otrzymała nazwę Szósty Sierpnia. Jak głosi plotka kiedyś mężczyźni zebrali się na ulicy Szóstego Sierpnia i obsiurali wszystkie mury...

Alfonso Bauzer już nie żyje. W dwa miesiące po nim zmarł Franco. Po śmierci tego ostatniego kraj nagle odetchnął. Na tronie zasiadł król, który zaprowadził demokrację. Demokracja przyniosła socjalistyczny rząd... Zaczęło napawać to strachem wszystkich tych,

którzy posiadali duże majątki, sprawowali władzę w czasie poprzedniego reżimu i dla których idea równości była przekleństwem. Ludzie ci zjednoczyli się, tworząc w Bajols organizację pod nazwą Szósty Sierpnia, upamiętniającą dzień, w którym ich bohater i Wódz połączyli wysiłki w walce z lewicą. Początkowo organizacja ta pełniła rolę lokalnej partii dysydentów. Wkrótce jednak jej macki dosięgły Madrytu. Wstępowali do niej ludzie, którzy chcieli odzyskać to, co dawno utracili, albo zdobyć to, czego zwyczajnie nie mogliby osiągnąć. Kiedy rząd zdecydował, że nareszcie powinno się dokonać podziału ogromnych połaci ziemi w Andaluzji, należących do garstki milionerów, co sprawiało, że dziesiątki tysięcy ludzi żyło na granicy ubóstwa, ugrupowanie Szósty Sierpnia zaczęło mówić o rewolucji...

Położone w dolinie i odseparowane od świata Bajols, stało się nieoczekiwanie ośrodkiem konspiracyjnym, działającym w celu obalenia nowo powstałej demokracji. Ludzie dążący do władzy zazwyczaj ukrywają swoje ambicje pod płaszczkiem hipokryzji i przyciągają łatwowiernych naiwniaków. Konspiratorzy nawoływali do przywrócenia upragnionych przez dużą część społeczeństwa wartości rodzinnych — postulowali zniesienie rozwodów, zakaz używania pigułek antykoncepcyjnych i szerzenia pornografii.

Organizacja podziemna musiała mieć swojego przywódcę, chociażby marionetkowego. Został nim Jaime Bauzer, człowiek bardzo różniący się od ojca — generała, ale wystarczająco próżny i słaby, żeby przyjąć tego rodzaju funkcję. Poza nim wszyscy akceptowali fakt, że z chwilą, kiedy partia Szósty Sierpnia dojdzie do władzy, Jaime Bauzer zostanie usunięty, a jego miejsce zajmie człowiek z żelaza...

Ksiądz nagle wstał.

— Proszę zaczekać — zwrócił się do Westona.

Wrócił po upływie kwadransa przeprasząc, że zabrało mu to aż tyle czasu. Podał Westonowi wycinek z gazety, zawierający dwa zdjęcia. Na jednym widniała grupka mężczyzn, na drugim była tylko jedna osoba. Weston rozpoznał w niej jednego z Hiszpanów, pozostających w salonie Cristiny podczas rejsu powrotnego z Maroka.

— To Jaime Bauzer. Utopił się podczas wakacji w Marbelli. Jego przyjaciela spotkał ten sam los.

ROZDZIAŁ 24

Weston podszedł do okna i spojrzął przez szparę między zasłoną i futryną. Ksiądz okazał się człowiekiem niezwykle przebiegłym. Postanowił zostawić swoje auto przed drzwiami frontowymi, co nie mogło wzbudzać żadnego zainteresowania, ponieważ często wzywano go gdzieś nocą. Jak tylko na ulicy zmalał ruch samochodowy i pieszy, Weston wślizgnął się na tylne siedzenie samochodu i przycupnie skulony. Ksiądz odwiezie go do Sewilli, skąd Gary odleci pierwszym samolotem do Anglii. Kiedy Weston zaczął protestować, nie chcąc narażać księdza na uciążliwą podróż w samym środku nocy, ten oświadczył mu, że Herrero — dowódca miejscowej policji w randze sierżanta — jest człowiekiem sprytnym, twardym i ambitnym, mającym zapewne szerokie powiązania z ugrupowaniem Szósty Sierpnia. Zdolny byłby posunąć się bardzo daleko, żeby tylko prawda o śmierci Jaimego Bauzera nie wyszła na jaw. Gotów postawić na nogi całą okolicę i szukać Anglika, podróżującego z fałszywym paszportem. Tę fałszywość łatwo wykazać, porównując paszport z kartą meldunkową w hotelu. Pościg będzie równie bezkompromisowy, jak pozbawieni skrupułów są ludzie, którzy go podejmą. Bardzo wielu funkcjonariuszy policji drogowej, straży miejskiej, oddziałów specjalnych policji i żandarmerii — to przecież członkowie Szóstego Sierpnia...

Nagle Weston usłyszał zbliżający się samochód i wkrótce zobaczył renault 19. Obserwował, jak auto przejeżdża i znika z pola widzenia i zastanawiał się, czy ksiądz rzeczywiście miał rację z tą swoją pewnością, że może się kręcić tam i z powrotem bez zwrócenia uwagi. Każdego innego dnia prawdopodobnie nie wzbudziłyby podejrzeń. Jeżeli Herrero z całą zaciekleścią postanowił doprowadzić do schwytania swojej zdobyczy, nawet czyjś najdrobniejszy,

odbiegający od normy, krok musiałby rzucić mu się w oczy.

Książd starał się wyjaśnić, dlaczego ukrycie prawdy o śmierci Bauzera było czymś tak istotnym dla członków partii Szósty Sierpnia. Hiszpanie czcili symbole — czasami szanowali je nawet bardziej niż kryjącą się za tym rzeczywistość. Dla zrzeszonych w Szóstym Sierpnia generał Bauzer był nie tylko założycielem ruchu, ale również jego duchowym przywódcą. Tamtego pamiętnego dnia, powracający z Maroka Franco szczęśliwym trafem spotkał Bauzera w Sewilli, przypieczętowując klęskę lewicy. Wobec tego trudno było o bardziej przekonujący współczesny symbol jak ten, który połączyłby w całość Bauzera, Maroko, Sewillę i Bajols z dniem szóstym sierpnia. Jaime Bauzer udał się w podróż do Maroka, skąd miał zostać potajemnie przywieziony z powrotem do Hiszpanii na pokładzie jachtu prowadzonego przez Anglika (Franco latał samolotem, pilotowanym potajemnie także przez obywatela angielskiego). Po dotarciu na ląd Bauzer pojechałby do Bajols, a następnie dokładnie szóstego sierpnia przybyłby do Sewilli. Tam nawoływałby swoich popleczników do powstania i obalenia rządu, który zdradził Hiszpanię, narażając ukochaną ojczyznę na zło socjalizmu i obcej dominacji, a także nieszczęścia społeczne wynikające z rozwiązości obyczajów...

Cała ta sprawa jest śmiechu warta i tylko tak skwitować można jej absurdalność. Czyż jest coś bardziej groteskowego niż widok opatego, sflaczałego faceta w średnim wieku, wyruszającego w drogę, żeby małpować Wodza i Generała w jednej osobie, faceta cierpiącego na nieprawdopodobną chorobę morską, ginącego żałosną śmiercią przez utonięcie, zanim jeszcze zdążył dotknąć stopą brzegów Hiszpanii?

Śmieszności dałoby się uniknąć jedynie wtedy, kiedy uznano by powszechnie, że Jaime Bauzer zmarł śmiercią tragiczną, w katastrofie nie mającej nic wspólnego z całą sprawą. Wtedy nie byłoby żadnych wspomnień zakrawających na farsę, z której pozostałoby tylko szydzić. Za rok ktoś inny mógłby wystąpić szóstego sierpnia, ogłaszając w Sewilli krucjatę. Żeby do tego mogło dojść, nie może przeżyć żaden świadek prawdziwej śmierci Bauzera...

Weston usłyszał następny zbliżający się samochód, który zwolnił i zatrzymał się. Nawet w przyćmionym świetle ulicznym zielony seat ritmo wyglądał jak gdyby został przed chwilą ściągnięty ze złomowiska. Jak tu, do licha, przyjechać czymś takim przez góry do Sewilli? Na czterech łysych oponach? Chyba tylko klepiąc bez przerwy pacierze...

Weston wsiadł do wagonu metra na lotnisku Heathrow i z jedną tylko przesiadką dojechał do stacji Randall Common. Na zewnątrz czekała taksówka, do której wsiadł, podając swój adres. Kierowca coś mamrotał niezadowolony z krótkiego kursu.

Gary, wchodząc do domu, zawołał panią Amis. Służąca weszła do holu z korytarza dla służby, trzymając w jednej ręce torebkę, a w drugiej — plastikowy płaszcz od deszczu.

— To pan, prawda? Na mnie już czas. Idę do domu. — Nakrył ją, że wychodzi dziesięć minut przed czasem. — Nie wiedziałem, że zaplanował pan wyjazd.

— Ja też do ostatniej chwili nie wiedziałem. Czy działo się coś nadzwyczajnego? Nikt mnie nie nachodził?

— Był nawet spokój — odpowiedziała niechętnie.

— Ktoś zostawił może jakąś wiadomość?

— Wszystko zapisałam.

— Był ktoś?

— Tylko tamci dwaj z policji.

— Czego chcieli?

— Pytali o pana. Nie wiedziałam, gdzie pan był. Trochę się denerwowali, ale powiedziałam im, że w gruncie rzeczy nic mi do tego. Już sobie pójdę. — Odwróciła się i zaczęła iść w kierunku korytarza, ale nagle przystanęła. — Był jeszcze dzisiaj jakiś telefon, ale nie zwracałam sobie głowy zapisywaniem, zwłaszcza że ten ktoś nie chciał zostawić żadnej wiadomości.

— Kto to był?

— Skąd mam wiedzieć? Mówił, że ma coś ważnego i musi rozmawiać z panem. Tłumaczyłam mu, że nie umiem powiedzieć, gdzie pan jest, chyba żeby w Kent — zaczęła iść w stronę drzwi.

— Pani Amis — krzyknął. Ponieważ nie zareagowała, pospieszył za nią. Kiedy wchodził do korytarza dla służby, ona była już

przy drzwiach, gotowa do wyjścia. — Niech pani chwilę zaczeka.

Niechętnie odsunęła rękę od klamki.

— Spytała pani o nazwisko?

— Oczywiście, że spytałam. Ale nie przedstawił się, a w ogóle to cudzoziemiec, więc i tak bym nie zrozumiała.

— Skąd pani wie, że to cudzoziemiec? — Westona obleciał nagły strach.

— Nie mówił dobrze po angielsku. A poza tym nie podziękował mi, kiedy podałam mu numer telefonu.

— Jaki numer telefonu?

— Do pani Stevens. Myślałam, że może pan tam jest — uśmiechnęła się chytrze.

— Ty przekłeta kretynko! — krzyknął.

Zaszokował ją. Nie z powodu języka. Była pewna, że jeżeli zdobył się na coś takiego, musiała niechcący postąpić bardzo głupio. Kiedy zaczęła mamrotać coś na swoje usprawiedliwienie, on odwrócił się i popędził z powrotem do holu. Usłyszała, jak podnosi słuchawkę i wykręca numer, nie dopuszczając do siebie myśli o skutkach jej postępków.

Nikt nie odbierał. Kate prawdopodobnie nie było w domu. Mogła pojechać na zakupy albo do kogoś z wizytą. Ale równie dobrze może leżeć na podłodze martwa, tak jak Stephanie. Martwa, ponieważ nie była w stanie powiedzieć, gdzie on jest. Kiedy miał już zacząć nakręcać numer dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, doszedł do wniosku, że będzie znacznie szybciej, jeżeli skontaktuje się z komisariatem. Znalazł numer w książce telefonicznej, zadzwonił i poprosił o rozmowę z konstabłem Turnerem albo komisarzem Watersem. Połączono go z Watersem.

— Zastanawialiśmy się, gdzie się pan podziewa, panie Weston...

— Pani Stevens znalazła się w potwornych tarapatkach. Musicie kogoś tam wysłać, żeby to sprawdził.

— Co właściwie...

— Niech pan przestanie zadawać głupie pytania.

— Nie mogę tak bez powodu prosić jakiegoś policjanta o przysługę tylko dlatego, że wydaje się panu, iż pani Stevens może mieć kłopoty...

— Do jasnej cholery, ktoś mnie poszukuje. Jeżeli ona dostanie się w jego ręce, będzie ją zmuszał do powiedzenia, gdzie można mnie znaleźć. A ona tego nie wie, podobnie, jak nie wiedziała Stephanie.

— Pomyślał pan, żeby do niej zadzwonić i ostrzec ją?

— Do diabła, oczywiście, że pomyślałem, ale nikt nie odpowiadał.

— Kto pana zdaniem może jej zagrażać?

— Hiszpan Victoriano Herrero, komendant policji w Bajols.

— Naprawdę sądzi pan, że hiszpański policjant przyjechał do Anglii, żeby pana odnaleźć?

— Żeby mnie zabić. O, Chryste! Człowieku, przez całą ostatnią noc usiłował to zrobić. Zdołałem uciec wyłącznie dzięki pomocy księdza.

— Czyżby pan był w Hiszpanii?

— Chyba musiałem, do diaska, jeżeli znalazłem się w Bajols!

— Przecież nie ma pan paszportu.

Jeżeli chce nakłonić komisarza do podjęcia działań, musi odsłonić prawdę. Tylko człowiek przyparty do muru skłonny jest przyznać się do czegoś takiego.

— Kupiłem fałszywy paszport za dwa tysiące funtów. Na lotosie boską, wyślijcie tam kogoś, żeby sprawdził, czy coś się jej nie stało — odłożył słuchawkę.

Wyszedł, zamknął drzwi frontowe i, kiedy wyjmował klucz z zamka, usłyszał telefon. Czyżby komisarz chciał zadać mu jeszcze kilka pytań? Sierra została w Kent, ale mercedes czekał w garażu. Chociaż od dnia śmierci Stephanie samochód nigdy nie był używany, Gary uruchomił silnik za pierwszym razem. Wycofał się na podjazd i skręcił na jezdnię. Nie zadał sobie trudu, żeby się zatrzymać i zamknąć drzwi garażowe. Kiedy w grę wchodzi życie albo śmierć, każda sekunda może być ważna.

Na ogół nie jeździł zbyt szybko, ale teraz prowadził tak, jakby jakaś piekielna sfora doganiała go z tyłu i osaczała. Podejmował ryzyko, na myśl o którym w każdym innym momencie oblewałby go zimny pot i przechodziłyby ciarki. Po godzinie i dwudziestu minutach od wyruszenia z Francavilli podjeżdżał już pod Melton Cottage.

Nie zdążył jeszcze wysiąść z samochodu, kiedy usłyszał odgłos stóp nadbiegającej Kate. Zjawiała się natychmiast. Rzuciła mu się w ramiona, żądając bezzwłocznej odpowiedzi, dlaczego był u niej wóz patrolowy i dwóch policjantów, którzy pytali, czy ma jakieś kłopoty. Chciała również wiedzieć, czy z nim wszystko w porządku i czy na pewno nic mu się nie stało.

Wóz patrolowy skręcił na podjazd pod Melton Cottage o godzinie czwartej piętnaście po południu. Do drzwi frontowych podszedł sierżant w mundurze i szeregowy funkcjonariusz. Kate wpuściła ich do środka i przedstawiła Westonowi.

— Wygląda na to, że panujemy nad sytuacją — powiedział sierżant.

— Dzięki Bogu, ale nie musiało tak być — odparł Weston.

— W naszym fachu, panie Weston, zawsze może przytrafić się coś paskudnego, chociaż na ogół jest spokój. — Policjant wyglądał na twardego faceta, nie przejmującego się uczuciami innych ludzi. Jego przelotny uśmiech sugerował jednak, że pozory potrafią mylić. — Zostanie pan tutaj przez jakiś czas, prawda?

— Z całą pewnością tak.

— Zatem chyba nie ma powodu do zdenerwowania.

— Czy to znaczy, że nie będziecie już mieli tego domu na oku?

— Wie pan, jak to jest. Jak się ma taki duży teren do nadzorowania, szczególna obserwacja jednego miejsca wyklucza możliwość wykonywania wszystkich innych zadań. Dlatego skoro pan tutaj jest, pani Stevens powinna czuć się bezpieczna, a my możemy już odjechać. W razie potrzeby proszę wezwać pomoc, a wóz patrolowy przybędzie, zanim pan zdąży odłożyć słuchawkę.

Nie miał innego wyjścia, jak przyjąć ich zapewnienia. Zaproponował im drinka, ale odmówili. Wobec tego podziękował za dotychczasowy trud i odprowadził ich do wyjścia. Kiedy znaleźli się za rogiem domu, zastanawiał się, ^{czy} jego obawy nie były przesadne. Być może powinien wziąć poprawkę na to, że pani Amis miała zakodowaną nieuzasadnioną awersję do niektórych ludzi. Tamten

rozmówca wcale nie musiał być cudzoziemcem, tylko najzwyczajniej kimś wystawiającym się w trudnym do zrozumienia dialekcie.

Sypialnia Kate była największa ze wszystkich trzech, jakie były w domu — usytuowana od strony wschodniej, wyposażona w dwa podnoszone okna i w jedno mansardowe, wstawione dodatkowo przez poprzedniego właściciela i wychodzące wprost na las. Sufit był belkowany. Wbudowana w ścianę szafa wypełniała przestrzeń pomiędzy murem zewnętrznym i grubym głównym kominem pnącym się w górę z salonu i stanowiącym podporę dachu.

Umeblowanie sypialni stwarzało przytulny nastrój i nie było zbyt wymyślne. Kate usiadła na krawędzi łóżka i podniosła głowę, spoglądając na Gary'ego. Po chwili wyciągnęła do niego rękę, a on ujął ją w swoją dłoń. Przyciągnęła go do siebie i przytuliła się do niego.

— Wiele o tobie myślałam — powiedziała. — Próbowałam sobie tłumaczyć, że jesteś absolutnie w porządku, ale mimo to stawały mi wciąż przed oczyma jakieś okropności. Doszło do tego, że musiałam zażyć proszek, by móc zasnąć. Wtedy dopiero zaczęły mi się majaczyć prawdziwe koszmary. Kiedyś czytałam, że po środkach nasennych nic się człowiekowi nie śni. Ileż w tym cholernej ignorancji!

— Mnie udało się trochę pospać ostatniej nocy bez proszka. Kiedy się obudziłem, wróżyłem sobie jak za dawnych lat, w dzieciństwie. Jeżeli stanie się dana rzecz, wszystko będzie dobrze. Na przykład jeżeli usłyszę kukułkę przed godziną dziesiątą, będę cały i zdrow. W ubiegłym tygodniu kukała każdego ranka, za to dzisiaj rano ten przeklęty ptak nawet nie pisnął. Zaraz potem zobaczyłem zajeżdżający wóz policyjny i serce mi zamarło, ponieważ wiedziałem, co to oznacza — coś mi mówiło, że zostałam zamordowana...

— Policjanci twierdzili, że przyjechali tutaj bez powodu. Po prostu, chcieli się upewnić, czy nie spotkało mnie nic złego. Miałam ochotę ich uściskać, ponieważ dzięki temu, wiedziałam już, że żyjesz i jesteś bezpieczny... O, Boże, kochanie, czułam się jak przekrecona przez wyżymaczkę. — Spozrzegła, że chyba miał ochotę coś powiedzieć. — Ale ty musiałeś jechać, a ja — zostać tutaj.

Emancypacja kobiet niczego pod tym względem nie zmieniła — Kate przytuliła się do niego jeszcze mocniej. — Pora się odprężyć.

— Spać przez dwanaście godzin i śnić o zielonych pejzażach.

— Jak ty mało wiesz o kobietach. Rozbierz mnie — wyzwoliła się z jego objęć i wstała.

Miała na sobie bawełnianą sukienką w jaskrawokolorowe kwiaty, zapinaną z przodu na guziki aż do pasa. Gary porozpinał je i chwytając sukienkę za obręb zaczął zdejmować ją z Kate przez głowę. Nagle zadzwonił telefon.

— Nie zwracaj uwagi na to bydlę — powiedziała.

— A jeżeli to policja? Mogą chcieć sprawdzić.

— Do diabła z taką troskliwością! — pocałowała go, dając do zrozumienia, że słowa te podyktowane były uczuciem i nie kryły w sobie urazy. Przeszła naokoło łóżka, usiadła przy nocnym stoliku i podniosła słuchawkę. Odpowiadała zwięźle, pozwalając mówić drugiej stronie. — To Hannah. Zanosi się na półgodzinną rozmowę. Dobrze ci tak — powiedziała, przysłoniwszy mikrofon.

W dalszym ciągu więcej słuchała, aniżeli mówiła. Zauważyła, jak Gary jej się przygląda i podniosła wzrok w stronę sufitu. Po chwili uśmiechnęła się, zsuwając ramiączko halki z prawego ramienia. Przyłożyła słuchawkę do drugiego ucha i opuściła lewe ramiączko. Sięgnęła teraz w stronę pleców, żeby rozpiąć biustonosz. Przytrzymała go jednak z przodu, kładąc prawą rękę na piersiach.

— Strasznie staromodny ten striptiz — stwierdził Gary.

— Chociaż jest w nim tajemna moc.

— Jeżeli nie stać cię na powiedzenie czegoś więcej, nie dowiesz się, czy... — Kate odsłoniła mikrofon. — Tak, Hannah, słyszę cię i zgadzam się, że Bill rzeczywiście był niesympatyczny, ale przecież wiesz, że on ma dziwne poczucie humoru. Kiedy indziej... — przerwała i odłożyła słuchawkę. — Wyłączyła się. Zgłaszasz jakieś reklamacje? — Kate opuściła rękę przytrzymującą biustonosz, który i tak pozostał na miejscu. — Co powiesz na taką sztuczkę?

Zamiast odpowiedzi w podobnym stylu Gary zignorował ją i utkwiał wzrok w telefonie. Potem przeszedł obok niej, podniósł słuchawkę i przyłożył ją sobie do ucha.

— Nie krępuj się i rób to, co dla ciebie najważniejsze — dzwoń do tego swojego maklera giełdowego.

— Telefon jest głuchy.

— Przerwało nam. Byłam zachwycona, ale oczywiście tobie się bynajmniej nie spieszy. A może wolałbyś pójść spać do innego pokoju?

— Nie ma sygnału?

— To wprost fascynujące!

— Nie pomyślałaś o tym, że prawdopodobnie odcięto przewody?

— O, mój Boże! — wyszeptała.

Gary wybiegł z sypialni do sąsiedniego pokoju. Zamknął drzwi, żeby nie przedostała się najmniejsza nawet smuga odbitego od podłogi światła i podszedł do okna. Noc była pogodna, chociaż bezksiężycowa, widoczność — raczej kiepska. Pozwalała jednak dojrzeć kontury mercedesa i sierry przy garażu. Wywnioskował stąd, że żadnego innego samochodu nie było w pobliżu. Ogarnął wzrokiem ogród i podwórze. Żadnego ruchu wokół. Może uległ fałszywej panice i wzbudził w sobie strach, że przerwana rozmowa oznacza odcięcie całej linii. Był przecież jednak tamten poranny telefon, a pani Amis twierdziła, że dzwonił jakiś cudzoziemiec i z premedytacją nie podał nazwiska...

Nagle wydało mu się, że widzi dwa poruszające się cienie. Kiedy jednak postarał się skupić na nich wzrok, przestały być widoczne. Strach wywołał jakieś omamy. Ale przecież organizacja Szósty Sierpnia musi za wszelką cenę ukryć prawdę, Herrero udowodnił już, że jest fanatykiem, gotowym na każde ryzyko. Lepiej być głupcem niż trupem. Dlatego należy przyjąć, że na zewnątrz kręci się jakichś dwóch. Są uzbrojeni, prawdopodobnie w pistolety. Tymczasem on nie ma się czym bronić. Żeby była chociaż dubeltówka 410. Jeżeli oni wtargną do środka, Kate i on pozostaną bezradni. Tamci z pewnością go zabiją. Prawdopodobnie zabiją też Kate, ponieważ martwy świadek przestaje być niebezpieczny. Ale zanim ją zamordują, mogą...

Bez względu na to, jak skuteczne okażą się jego działania, musi zacząć coś robić. Mówi się, że najlepszą obroną jest atak. Tylko w jaki sposób człowiek bez broni ma ruszyć do ataku na dwóch uzbrojonych mężczyzn? W judo uczą, że nie trzeba opierać się na własnej

sile, tylko liczyć na słabości przeciwnika. Jason zaszantażował go, wykorzystując najzwyczajniej jego słabość... Tamci dwaj musieli zapewne zbadać teren przed zaplanowanym włamaniem. Gdyby tylko potrafił, podobnie jak Jason, uderzyć w ich słaby punkt po to, żeby zyskać na czasie i zadziałać zaskoczenia... Szybko wbiegł z powrotem do sypialni.

— Schodzimy na dół — zarządził.

— Czy ktoś tam jest? — Była przerażona, ale starała się opanować strach.

— Może być.

— Wobec tego bezpieczniejsi będziemy na górze.

— Nie z chwilą, kiedy oni dostaną się do środka. Musimy w jakiś sposób przyciągnąć ich uwagę.

— Po co?

Gary chwycił ją za rękę. Kiedy ściągał Kate z łóżka, jej biustonosz zsunął się, odsłaniając piersi.

— Zakładaj to wszystko z powrotem.

Ubrała się szybko, nie rozumiejąc, co on zamierza zrobić, ale przystając na to, że jedyną szansą ratunku, jeżeli rzeczywiście im ktoś zagraża, jest podporządkowanie się planowi Gary'ego.

— Na dół, do salonu, tylko nie zapalaj światła w holu.

Szybko zeszli po schodach. Gary włączył lampę stojącą, podszedł do okna i rozsunął zasłony, robiąc między nimi szparę na szerokość kilku centymetrów.

— Będziemy widoczni... — zaczęła Kate.

— Na kanapę — Gary odwrócił się.

Usiadł obok niej i zaczął rozpinać jej z przodu sukienkę.

— Co ty wyczyniasz? — spytała podniesionym głosem.

— Kochanie, mamy tylko jedną szansę. Musimy sprawić, żeby byli tak pochłonięci tym, co oglądają i tak podnieceni na myśl o tym, czemu będą się przyglądać za chwilę, że przynajmniej na jakiś czas odstąpią od wcześniejszych zamiarów.

— Ale co dalej.

— Jak już się dadzą na to złapać, będziesz musiała przez chwilę sama się nimi zająć.

Kąty zrozumiała wreszcie plan Gary'ego.

— Jeżeli sądzisz, że... — zaczęła mówić z przerażeniem w głosie. Zaraz jednak zamilkła. A jeżeli on ma rację i na zewnątrz rzeczywiście

są jacyś mężczyźni, tylko tego rodzaju desperacki krok daje szansę przeżycia.

Ściągnęła przez głowę sukienkę, zsunęła z siebie halkę i rozpięła biustonosz. Kiedy już go całkiem zdjęła, zaczęła się bawić koniuszkami piersi.

— Widzisz kogoś? — spytała szeptem.

— Wystarczy jeżeli będę w połowie tak podniecony, jak powinienem udawać, żebym przestał się w ogóle przejmować, czy ktoś jest na zewnątrz. — Zdarł z niej halkę i pieścił ustami ciało. Nagle przerwał, czymś zaniepokojony. — Nie przestawaj ich podniecać — gestem dał znak Kate.

Sam wstał, szybkimi krokami skierował się do drzwi i wyszedł. Miał nadzieję, że zmysły gapiów stały się już tak bardzo pobudzone, że nie będą oni zbyt dociekać, dlaczego w takim właśnie momencie przerwał całą zabawę.

Gary minął hol i wszedł do znajdującej się na parterze łazienki. Otworzył okno, wdrapał się na parapet i po chwili wylądował na niewielkiej, półkolistej grzędce, obsadzonej kwiatami, które lubią cień. Tam, gdzie kończyła się rabatka, stała ceglana przybudówka, w której urządzono kotłownię. Bardzo ostrożnie otworzył do niej drzwi, w obawie, żeby zawiasy nie zaczęły skrzypieć. Obecny piec był na ropę, dawniej wykorzystywano inny, opalany paliwem stałym. Świadczył o tym pogrzebacz do żużlu, oparty o tylną ścianę, jakby pełniący rolę rekwizytu, na wszelki wypadek, a nuż się kiedyś przyda. Gary sięgnął po niego ręką.

Teraz mocniej zacisnął dłoń, wyszedł z kotłowni i zaczął iść po trawie. Kiedy zrównał się z domem, który przez cały czas go osłaniał, wyjrzał zza węgła. Z uczuciem przerażenia spostrzegł, że się nie mylił. W świetle padającym z salonu zobaczył dwóch mężczyzn, których twarze były zamaskowane.

Gary nie zrobił na razie żadnego ruchu. Mogli przecież jeszcze być jacyś intruzi, którzy albo nie zdążyli się załapać na pokaz na żywo, albo nie mieli ochoty na oglądanie. Jedynie czekając można będzie się przekonać, czy pojawi się ktoś jeszcze. Im dłużej czekał, tym większe było zagrożenie, że dwaj mężczyźni zaczną dociekać, dlaczego tak namiętna scena miłosna została przerwana tuż przed decydującym finałem.

Kiedy wychylił się zza narożnika domu, był tak zestresowany, że chyba zanadto reagował na najdrobniejszy szelest ubrania, ślady butów na trawie i odgłos przyspieszonego oddechu. Obaj mężczyźni nadal stali twarzą do okna, z uwagą skupioną na tym, co działo się wewnątrz.

Kiedy podszedł blisko, podniósł pogrzebacz do góry na wysokość ramienia. Albo zachowywał się teraz głośniejszy, albo stojący mężczyzna instynktownie wzmógł czujność i zaczął się nagle odwracać. Weston wydał z siebie gwałtowny ryk. Niespodziewana fala krzyku zelektryzowała obu mężczyzn, którzy zamarli na chwilę w bezruchu. Gary, trzymając pogrzebacz cienkim szpikulcem od siebie, zdzielił stojącego bliżej intruza prosto w twarz i kopnął go w krocze. Natręt wrzasnął przeraźliwie i runął na ziemię. Weston zrobił parę kroków w przód, z ponownie uniesionym w górę pogrzebaczem. Nagle zawadził o coś czubkiem prawego buta i z całym impetem zwał się na ziemię jak długi.

Kiedy zaczął się zbierać, w świetle dochodzącym z salonu dostrzegł, jak drugi mężczyzna odbezpiecza broń. Nie miał szans go dopaść, zanim tamten wystrzeli. Byłby jednak skończonym głupcem, gdyby czekał na to, co nieuchronnie nastąpi. Wobec tego rzucił się naprzód. Nagle lewą ręką uderzył o coś twardego. Kiedy ból przeszywał mu palce, zorientował się, że jego przyczyną był któryś z kamieni, ułożonych wzdłuż rabatki z kwiatami. Teraz wiedział również, dlaczego wcześniej runął z trzaskiem na ziemię. To te przeklęte, magiczne kamszyle, pomyślał złośliwie, przypominając sobie, jak Kate o nich opowiadała. Nagle doszedł do wniosku, że, jeżeli nawet te wszystkie miniaturowe skałki nie były obdarzone dobroczynnymi właściwościami magicznymi, akurat ta byłaby poręczna w użyciu. Przełożył więc pogrzebacz do obolałej, lewej ręki, chwycił kamień za wystające z trzech stron spiczaste końce i zdołał stanąć na nogi.

Uzbrojony bandyta wypalił. Strzał nie był jednak celny. Po raz drugi mierzył do celu dokładniej, trzymając broń oburącz i przekonany, że trafi. Cisnął kamieniem, z nadzieją, że nie opuściła go zręczność, jaką popisывał się w latach szkolnych grając na pozycji środkowego napastnika. I nie pomylił się. Kamień trafił bandytę w twarz ułamek sekundy wcześniej, zanim ten zdążył nacisnąć spust. I tym razem chybił. Weston rzucił się naprzód, przełożył pogrzebacz

z powrotem do prawej ręki i ugodził nim intruza w pokiereszowaną już twarz. Bandyta wydał z siebie jakiś bełkot, zatapiając twarz w dłoniach i nie zwracając uwagi na to, że automat wypadł mu z rąk. Weston podniósł go, wiedząc że nie potrafi przecież się z nim obchodzić. Uświadomił sobie również i to, że nigdy przedtem nie strzelał z ręcznej broni palnej.

Gary rozejrzał się naokoło. Pierwszy z ugodzonych mężczyzn klęczał na kolanach i najwyraźniej próbował wyciągnąć coś z kieszeni płaszcza. Weston ruszył do niego pędem i ze złością skutecznie przyłożył mu butem. Bandyta zwałił się na ziemię. Nagły przykurcz ręki sprawił, że pistolet mu się wymknął. Weston kopnął go na bezpieczną odległość i zaraz podniósł. Uzbrojony teraz w dwa pistolety, cały trząśł się z nerwów, których nie mógł już utrzymać na wodzy.

Kate była w salonie. Patrzyła przed siebie, a jej napiętą twarz wykrzywił przeraźliwy strach. Gary krzyknął, że nic mu się nie stało, ponieważ uratował go jeden z jej magicznych kamieni.

ROZDZIAŁ 25

Jak większość pośredników firm państwowych, Fremlin był optymistą, jeżeli chodzi o nabywanie nieruchomości. Wykazywał jednak daleko posunięty pesymizm, kiedy wchodziła w grę sprzedaż.

— Oczywiście, to dobra lokalizacja, ale będą kłopoty z ofertą sprzedaży tak olbrzymiego domu.

— Przekonajmy się, jak zareaguje rynek, a wtedy zobaczymy — powiedział Weston.

— Wobec tego proponuję dodatkową reklamę.

Natychmiastowa, nie wzbudzająca zastrzeżeń zgoda Westona tak bardzo ucieszyła Fremlina, że zaproponował pochoinnie umiarkowaną cenę wywoławczą Francavilli, ułatwiającą, być może, sprzedaż.

Dziesięć minut później Weston obserwował, jak Fremlin odjeżdża. Zaraz potem wrócił do salonu i nalał sobie następną szklaneczkę ginu z tonikiem. Poprzedniej nocy Kate spytała go, czy jest zupełnie pewien, że chce sprzedać dom. Jego zdecydowana odpowiedź: tak, pozbawiona wszelkich dalszych wyjaśnień i ewentualnych zastrzeżeń, zaniepokoiła Kate. Domyślił się, że nie jest to pytanie zadane wprost, chociaż starała się, żeby tak wyszło. Nie była do końca przekonana, czy śmierć Stephanie nie wywołuje w nim głębszych emocji aniżeli uczucie smutku i żalu. Obawiała się, że częściowo wciąż jeszcze związany jest emocjonalnie z żoną. Czas pokaże, że jest inaczej.

Dzwonek do drzwi frontowych przerwał rozmyślenia Gary'ego. Gościem okazał się komisarz Waters.

— Doszedłem do wniosku, że muszę zamienić z panem kilka słów, panie Weston. Mam nadzieję, że nie przychodzę nie w porę.

Weston zaprowadził go do salonu i zaproponował mu drinka. Waters, nie będąc na służbie, uznał, że może napić się whisky z wodą sodową.

— Co pana tym razem do mnie sprowadza?

— Chcę panu powiedzieć, że przeprowadziliśmy identyfikację i pani Ackroyd natychmiast rozpoznała Herrera, pomimo że miał zmasakrowaną twarz. Drugim mężczyzną okazał się Coll, którego, po długim wahaniu, również zidentyfikowała. Tożsamość pierwszego z nich nie będzie podważana, natomiast w odniesieniu do drugiego bandyty sąd może mieć poważne zastrzeżenia. Mogę się jednak mylić, ponieważ pani Ackroyd, pominąwszy drobne wątpliwości, jest raczej przekonana, że to był on... Sprawdziliśmy w Iberii i okazało się, że obaj przylecieli na Heathrow w poniedziałek, na dwa dni przed śmiercią pańskiej żony, i odlecieli do Sewilli w czwartek. Legitymowali się paszportami wystawionymi na fałszywe nazwiska. Dochodzenie w różnych firmach wypożyczających samochody na lotnisku potwierdziło wynajęcie przez Herrera jasnoszarego escorta. Samochód, zgodnie z zawartą umową, został zwrócony przed upływem tygodnia. Hiszpana dokładnie zapamiętano, ponieważ nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń wobec faktu, że jeżeli nie wypowiedziałby umowy na czterdzieści osiem godzin naprzód, nie otrzymałby zwrotu pieniędzy. Wypytywaliśmy również okolicznych mieszkańców i ludzi kręcących się wokół stacji metra. Twierdził, że Hiszpan zatrzymał samochód i pytał, jak dojechać do Trefoil Road. Gazeciarz pamiętał, że mężczyzna był cudzoziemcem i że nie zdobył się nawet na gest kupienia gazety, żeby mu w ten sposób podziękować.

Zwróciliśmy się także do władz hiszpańskich z prośbą o jakieś informacje i dzisiaj rano otrzymaliśmy wstępny raport. Herrera nie miał w tamtych dniach służby. Jego żona twierdzi, że leżał w łóżku, chory. Kochanka oświadczyła, że w piątek podarował jej kaszmirową garsonkę zapakowaną w torbę ze sklepu wolnoćlowego na lotnisku Heathrow. Próbujemy ustalić datę zakupu.

Jeżeli chodzi o pana, przedstawiliśmy władzom policji hiszpańskiej wszystkie dowody, pytając ich, czy nadal będą występować

o pana ekstradycję pod zarzutem przemytu narkotyków. Z pewnością od niej odstąpią, kiedy przekonają się, że zarzut był bezmyślny — spreparowany przez jakiegoś wysoko postawionego wpływowego funkcjonariusza policji.

— Co mi to da?

— Zakładając, że trzeci pasażer Cristiny był Hiszpanem, a jak wiadomo, dwóch było Hiszpanami, ich znalezienie się w Hiszpanii jest sprawą całkowicie legalną. Dlatego nie ma podstaw do obwiniania pana za udzielanie pomocy w nielegalnym przekroczeniu granicy.

— A sprawa śmierci mojej żony?

— Nie ulega wątpliwości, że Herrero i Coli oskarżeni zostaną o morderstwo, albo o nieumyślne spowodowanie śmierci. Chociaż oficjalnie nie mogę potwierdzić, że nie jest pan już podejrzany, mogę to nieoficjalnie oświadczyć... Niech pan zapomni o wszystkich wcześniejszych kłopotach — Waters podniósł szklaneczkę i wypił do dna.

— Jest jeszcze jedna nie wyjaśniona sprawa — Weston odchrząknął.

— Czyżby?

— Kiedy usiłowałem wytłumaczyć panu, że pani Stevens rozpaczliwie potrzebowała pomocy, nie miałem innego wyjścia, jak tylko przyznać się, że pojechałem do Hiszpanii z fałszywym paszportem.

— Komu pan się do tego przyznał?

— Powiedziałem o tym panu.

— Niczego takiego nie pamiętam — Waters zacisnął usta. — Musiał mnie pan z kimś pomylić. — Komisarz odstawił na stół szklaneczkę i wstał. — Czas na mnie.

— Pragnę panu podziękować, chociaż wolałbym to robić w bardziej sprzyjających okolicznościach — powiedział Weston po chwili wahania.

— Nie ma o czym mówić — Waters podszedł do drzwi. — Myślę, że ta informacja nie będzie już panu w przyszłości potrzebna, ale — niech pan to zachowa dla siebie — dwa tysiące za paszport to cholerne zdzierstwo. Obecna stawka wynosi około siedmiuset pięćdziesięciu albo pięciuset za najtańszy, na kraje Wspólnoty Europejskiej.

Weston zostawił auto przed garażem. Z przedniego siedzenia zabrał małą paczuszkę i siedł drogą dojazdową w kierunku domu. Kiedy zbliżał się już do drzwi frontowych, stanęła w nich Kate. Przyglądała mu się badawczym wzrokiem.

— Wyglądasz, jakby cię kto na sto koni wsadził.

— Albo i lepiej... Już miałem wyjeżdżać, kiedy zjawił się komisarz Waters. Powiedział mi, że jestem oczyszczony z wszelkich zarzutów, zarówno tych, które wiążą się ze śmiercią Stephanie, jak i wyprawą Cristiną.

— Skończyły się koszmary? O, mój Boże, nie mogę w to uwierzyć.

— Spróbuję cię przekonać — wręczył jej paczuszkę.

Rozwinęła ją, odsłaniając wytworną czarnozłotą flaszeczkę, na której wytłoczony był fantastyczny napis Bejoule „Le Reve”.